dts 24

30 kwietnia 2026 | nr 4 (659)
gazeta bezpłatna | nakład: 20 000*
*obejmuje dystrybucję wersji elektronicznej

Weźże wyjdź z domu! (zabierz ze sobą gazetę)

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Bartosz SZAREK
Teraz, teraz, teraz

To, co zostaje po drodze

Zawsze wierzyłem, że umiejętność fantazjowania jest formą przetrwania, a przetrwanie – formą wzrastania. Już jako dziecko zacząłem nadawać sobie w wyobraźni pewien kształt. Wybiegałem myślą w przyszłość i próbowałem do niego dorosnąć. Tym kształtem było dla mnie zostanie pisarzem, a całe moje życie stało się poligonem – swoistą szalą, na której postawiłem wszystko na rzecz tamtego chłopięcego marzenia.

Dlaczego? Już nie pamiętam, ale sen wciąż trwa. Bo może jest tak, jak w tym filmie: że ci, którzy nie potrafią, uczą. A ci, którzy nie potrafią uczyć – uczą wuefu. Przecież nikt z nas nie przeżył życia tak, jak je sobie wyśnił. I choć nie wierzę, że w nasz los wpisany jest jakiś wyższy cel, niezmiennie widzę w nim potencjał, który nieustannie domaga się uwagi. Wystarczy spojrzeć, ile form i kierunków przybiera na co dzień. Każda nasza odsłona upomina się o nią, a każdy moment niesie w sobie obietnicę wszystkiego. Naszym zadaniem jest jedynie nadawać jej kształt. Ale jak to zrobić? Kiedy moi uczniowie pytają mnie: Czy mam iść w to, czy w tamto? Nie wiem – próbowałem tego, próbowałem tamtego, i nic, odpowiadam, żeby próbowali dalej. Żeby robili swoje. Żeby szli za głosem serca... Powiecie: banał, komunał, frazes – ale coś w tym jest. Jest w tobie coś, co wie, kiedy jesteś tam, gdzie powinieneś być. Coś, co wyczuwa, kiedy jesteś na właściwym torze – i kiedy z niego zjeżdżasz. A jeśli zjeżdżasz wyłącznie dla pieniędzy, to już przegrałeś swoje życie.

A więc szerokości, chłopcy! Bo może jest też tak, że gdybyście wiedzieli, iż jedno, tak poprzedza sto nie każda odmowa nie trąciłaby porażką, lecz byłaby jedynie punktem światła na drodze do zwycięstwa. Kształtem, który formuje się w ruchu – czymś, co niespiesznie wznosi się i opada na horyzoncie, przypominając, że celem nigdy nie jest sam cel, lecz droga. I dalej. Ku pełni.

TYGODNIÓWKA Marka STAWOWCZYKA

1 Maja
JELEŃ Z CZERWONĄ SZTURMÓWKĄ

Jak to mawiają mądrzy ludzie „młodym ku edukacji, starszym ku przypomnieniu". Oj, w niejednym oku łza się zakręci na wspomnienie 1-majowych pochodów w PRL-u. Przymusowa manifestacja poparcia dla władz socjalistycznej ojczyzny, dla kilku pokoleń Polaków przez długie lata była tak naprawdę jedyną okazją do piknikowej majówki. Klasa robotnicza zapieprzała wówczas w swoich fabrykach sześć dni w tygodniu, żeby wykonać plan pięcioletni, więc dodatkowy dzień wolny od pracy był rzeczą bezcenną. A jeśli pogoda dopisała, to już idealnie! Dziewczyny miały okazję w 1-majowym pochodzie ulicami miasta pokazać się w wiosennych sukienkach, a chłopaki napić piwa na piknikowych straganach, bo w sklepie o piwo łatwo nie było. Najgorzej miała szkolna młodzież, bowiem przed wyjściem na pochód nauczyciele polowali na jeleni, którzy poniosą szturmówki. Pół biedy, jeśli los wetknął ci w dłoń biało-czerwoną! Ofiary losu z czerwonymi sztandarami miały skutecznie popsuty majowy piknik i stawały się obiektem drwin kolegów. Było to coś na kształt dzisiejszego hejtu w socjalistycznym wydaniu. Przede wszystkim jednak noszenie szturmówki skutecznie utrudniało zerwanie się z pochodu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Ci ze szturmówkami musieli bowiem wrócić do szkoły i zdać je za pokwitowaniem po pochodzie. **(pzp)**

Wojciech MOLENDOWICZ
Z gór widać lepiej

Co lubią czytać myśliwi do porannej kawy

Przed laty uliczny bard w mieście przez „ch" pisanym, oznajmiał światu, co następuje: „Najmilsza chwila poranka - popularny, wódki szklanka". Poranny zestaw to oczywiście kwestia gustu i czasów. O gustach się nie dyskutuje, ale czasy są ciężkie, nawet popularnych nie uświadczysz w kiosku. A nawet kiosków już nie ma. Ale wracając do gustów. Ja dla przykładu lubię do porannej kawy trafić na jakieś zgrabne zdanie napisane przez bliźnich. Oczywiście, kiedy czytam czyjeś fajne tekściki, kluje mnie lekko pod żebrem, że to jednak ktoś inny tak ładnie napisał. Weźmy dzisiaj. Zbigniew Hołdys opublikował coś takiego, choć głowy nie dam, że on jest autorem: „W Polsce mamy 150 niedźwiedzi i 132 tysiące myśliwych. Niedźwiedzie zabiły tylko 3 osoby od 1945 r., a myśliwi 28 osób tylko w ciągu ostatnich 10 lat. Czy pogłowie myśliwych nie wymknęło się nam spod kontroli?". Hołdysa nie Hołdysa ta wrzuta, ale widać, że ktoś strzela celniej niż myśliwi. A co do celności strzelania. Wpadło mi w oko zdjęcie, na którym agentka FBI celuje z giwery w jedną stronę, a patrzy w drugą. Co ty Molendowicz wiesz o zabijaniu – zapytałby retorycznie klasyk - ale podobno podczas strzelania należy patrzeć na obiekt, w który chcemy trafić. Nawet jeśli mamy ochotę odwrócić się z obrzydzeniem, bo nie darzymy celu sympatią. Przy okazji ilustrowanego zdjęciem wydarzenia, czytam smaczne zdanie do porannej kawy. Anonimowy autor napisał: „Prosimy FBI o rozpiskę zamachów na Donalda Trumpa w maju. Łatwiej nam będzie zaplanować prace w ogrodzie". Pojechał po całości... Szukałem też czegoś do kawy w lokalnym wydaniu, ale tu znacznie gorzej o smaczne ciasteczko. Trafiłem ledwie na zakalec u aktywnej fejzbukowiczki - nazwijmy ją - Mandoliną. Cóż zresztą będę oceniał, poczytajcie sami, czym żyją wasi sąsiedzi (pisownia oryginalna): „Żydowskie Długi wobec IIRP to biliardy Euro wszystkie żydowskie majątki przed II wojną były zastawione w polskich bankach na 115% i nigdy nie spłacone". I choćbyś tłukł człowieku 115 lat głową o beton, to nic podobnie lekkostrawnego nie wymyślisz.

Teraz Polska
MAŁA WIELKA KASA

Zobaczcie, jakie rzeczy produkowało się kiedyś w Nowym Sączu! Lada moment minie 25 lat od momentu, kiedy nowosądecka firma Optimus IC została laureatem konkursu Teraz Polska za wyprodukowanie najmniejszej na świecie kasy fiskalnej. Nazywała się Bravo i służyła głównie do obsługiwania sprzedaży obwoźnej. To było 18 maja 2001 r.
Co ciekawe, kasę fiskalną Bravo można było jeszcze niedawno kupić na sprzedajemy.pl. Sprzedający z Zakopanego ciekawie zareklamował swój towar: „Kasa kiedyś fiskalna Bravo produkcji Optimusa, może posłużyć do zabawy lub na części". Cena takiej zabawki? Siedem dyszek. Ktoś najwyraźniej uznał, że warto tyle wydać, bo na towarze widnieje wielka pieczęć „SPRZEDANE!". Informacja dla ciekawskich: kasa Bravo wystawiona była na sprzedaż pomiędzy takimi urządzeniami jak łódka zanętowa oraz migomat Bester. Grunt to dobrze zanęcić! (**kas**)

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY
CENTRUM REKREACJI
OLIMP
Centrum Rekreacji OLIMP
Siłownia
Hala sportowa
Boisko
Sauna
Taniec
i wiele więcej!
Odwiedź nas już dziś!
REKLAMA

SEZAM
JUBILER

www.jubilersezam.pl

REKLAMA

W NUMERZE

strona 11

Legendarny komentator piłkarski odwiedził Nowy Sącz i jedną wypowiedzią dla DTS nalał Sądeczanom tyle miodku do serduszek, że teraz trzeba postawić sobie fundamentalne pytanie: jak tu nie kochać „Szpaka”?

strona 13

Tomasz Budzioch jest prawdopodobnie jedynym facetem, o jakim słyszeliście, który montuje zabezpieczenia na helideckach. Czyli co robi? Siedzi kilkadziesiąt metrów nad powierzchnią Morza Północnego albo jakiegoś oceanu na platformie wiertniczej i zakłada siatki.

strona 17

„Teraz wjechałam motocyklem do Arabii Saudyjskiej, która również jest jakby trochę drugoplanowym graczem w tej wojnie, więc nie widziałam po drodze nawet jednego żołnierza”. Sądecka podróżniczka Maja Sontag znalazła się (teoretycznie) w środku wojny na Półwyspie Arabskim.

strona 24

Adam Leszkiewicz rodzinnie związany jest z Łużną, maturę zdawał w Liceum w Bobowej, a obecnie jest prezesem jednej z największych grup zbrojeniowych w Europie. Już ponad 23 tys. osób pracuje w PGZ.

strona 29

Na próbę otworzyli pod Galerią Sandecja Foodtrucka. Sprzedawali po 700-800 kanapek dziennie! Laura i Karol Mikulcowie z Lumberjacks sprzedali w marcu 40 tysięcy burgerów.

strona 55

Inżynier i kierowca kultowego Jelcz, Wrocławianin rodem z Nowego Sącza, dwukrotnie uczestniczył w rajdzie Paryż-Dakar. W 1971 r. za kierownicą Jelcza 315 M wyruszył do Hindukuszu. W 1975 r. wiózł zaopatrzenie polskich himalaistów pod Broad Peak Middle. Tadeusz Barbacki. Tak, z tych Barbackich.

strona 62

Tragicznego wieczora Zuzanna Leśniak debiutowała w przedstawieniu „Pan Twardowski" z Andrzejem Zauchą w roli głównej. Pierwszy ich wspólny występ okazał się dla obojga również ostatni! Do dzisiaj sądecki wątek tej historii jest mało znany, a najmniej chyba na samej Sądecczyźnie.

strona 69

„Frankfurt jest bardzo wygodny dla ekspatów. 30 procent mieszkańców to obcokrajowcy, a blisko połowa ma korzenie nieniemieckie, czyli są na przykład drugim pokoleniem imigrantów. Miasto jest więc jednym z tych miejsc, w których nie czujesz się jak obcy". Michał Klocek, czyli sądeczanin w Hyundaiu.

REKLAMA

Jakub Marcin BULZAK
Pije Kuba do Jakuba

Wariat

Słownik mówi, że to potoczne określenie osoby zachowującej się nierozsądnie, dziwacznie lub szalenie. Obserwując coraz bardziej otaczającą nas rzeczywistość (©Kazimierz Rudzki) mam wrażenie, że doświadczamy jakiegoś nadzwyczajnego wysypu wariatów. Wariat to również dawne pejoratywne określenie osoby chorej psychicznie. Powyższa obserwacja wskazywałaby, że być może ten poważny problem zdrowotny skalą występowania bije na głowę uważane za liderów statystyk nowotwory, choroby układu krążenia, czy cukrzycę. A największy dramat jest taki, że diagnozowanie tego typu schorzeń dalece nie nadąża za powszechnością zjawiska. I piszę to bez cienia ironii. Być może nie każdy potoczny wariat to od razu przypadek medyczny. Ale może tak być. Wówczas należałoby pospieszyć z profesjonalną pomocą. Jednak bez względu na powód generujący zachowania nierozsądne, dziwaczne lub szalone, dobrze by było, żebyśmy nie udawali, że są one normalne. Żebyśmy z tak zachowujących się ludzi nie czynili społecznych autorytetów. Żebyśmy nie powielali głoszonych przez nich chorych tez i poglądów. Żebyśmy nie robili klaki ich poczynaniom, dla których niestety wymarzonym theatrum stała się przestrzeń internetu. Rzucone w ich stronę obcesowe: „Lecz się!" z pewnością nie będzie grzeczne, ale za to prawdziwe... To, co próbowałem tu nieudolnie wyrazić, 70 lat temu udolnie uczynił Czesław Miłosz w „Traktacie moralnym":

Strzeż się wariatów. Ci są mili,

Póki w zakładach ich więzili,

Albo trzymali w zwykłej stajni.

Są dziś wariaci m i a r o d a j n i.

I każdy macha swą pałeczką

I patrzy z góry, moje dziecko.

Zaiste, wariat na swobodzie

Największą klęską jest w przyrodzie.

W obiektywie DTS
ZDJĘCIE KWIETNIA?

Naszym skromnym zdaniem właśnie to prezentowane, na którym dyrektor WSB-NLU Sławomir Piętka spożywa wielkanocny żurek w pozycji absolutnie niesprzyjającej konsumpcji. Zupy szczególnie, wszak garnitur można zachlapać! Ujęła nas z jednej strony dynamika tej fotografii, z drugiej jej prawdziwość i codzienność, wszak chleb powszedni dostrzegamy w lewej ręce dyrektora. A przecież żurek bez kromki chleba to jak wesele bez orkiestry. Patrząc na tę fotę aż by się chciało gromko za narodowym wieszczem zakrzyknąć: „Na dyrektora z gabinetu, co milczkiem wypróżnial rondel"...

(rzór)

Fot. (micz)

Atelier art. fotograficzne „Aga" Aron Gartenberg, Krynica

Piękna katastrofa

SAMOLOT W CENTRUM KRYNICY

No więc było tak. Wyobraźcie sobie, że właśnie wpadliście na majowy weekend do Krynicy. Pogoda – jak to mawiają - brzytwa, spacerujecie w miłym towarzystwie legendarnym deptakiem Perły Polskich Uzdrowisk. To tutaj swoje stopy odcisnęły największe sławy rodzimego show biznesu (dawniej estrady) i polityki. Właśnie pociągacie łyk wody mineralnej z ceramicznego dzbanuszka o zakrzywionym dziubku i nagle... BUM! Coś spada z nieba prosto na jeden z głównych traktów spacerowych uzdrowiska. Samolot? Ale skąd wziąć samolot na tym końcu świata, gdzie pociąg kończy bieg, bo nie ma dokąd dalej jechać. Przecież jest dopiero 22 maja 1930! Niemal z zegarkiem w ręku 96 lat temu. To był jednak samolot! Katastrofa lotnicza w samym centrum miasta, nieopodal dworca kolejowego i słynnego sanatorium dzisiaj funkcjonującego jako „Nad Kryniczanką". No więc to jednak najprawdziwszy samolot! Nieduży SPAD 61C1 pilotowany przez mjr. Witolda Prosińskiego. Maszyna należała do 122 Eskadry Myśliwskiej wchodzącej w skład 2 Pułku Lotniczego w Krakowie. Pilot katastrofę przeżył. Jak widać na załączonym obrazku wydarzenie spotkało się z ogromnym zainteresowaniem miejscowej ludności, która tłumnie zgromadziła się na wieść o rozbitym samolocie. Sensacja? To nawet w Nowym Jorku byłaby sensacja, a co dopiero tutaj. Łatwo też zauważyć, że kryniczanie nie zabrali ze sobą telefonów komórkowych i zamiast robić zdjęcia, ludzie po prostu przyglądają się temu, co widzą. Młodszym Czytelnikom może się tu wydać niewyobrażalne – oni po prostu patrzą! Pewnie dlatego z krynickiej katastrofy zachowały się tylko dwa zdjęcia zrobione przez prężne w tamtym okresie krynickie atelier fotograficzne. Jedno z nich właśnie prezentujemy. (**fly**)

Towarzystwo Przyjaciół Chorych

Sądeckie Hospicjum

Nie pozwól umierać w cierpieniu i samotności przekaż

1.5 %

KRS 0000039177

www.hospicjum.nowysacz.pl

REKLAMA

PRZYSZEDŁ CZAS, BY ODKOPAĆ „PRZYSTANEK CZASU"

No więc było mniej więcej tak: do wielkiej plastikowej beczki, identycznej w jakiej pokolenia sądeczan kisiły kapustę na zimę, 5 stycznia 2001 r. sądeczanie włożyli 30 przedmiotów, które następnemu pokoleniu mają opowiedzieć o mieszkańcach miasta z przełomu XX i XII wieku. Minęło trochę lat i w DTS ktoś złośliwie napisał, że nie chce być złośliwy, ale: „(...) Nie chcemy złośliwie przypominać, ale za dwa miesiące minie 20 lat, jak „Przystanek czasu" został zakopany obok sądeckiego ratusza. Ci, co beczkę zakopywali, bawią teraz wnuki, które za pięć lat przyjdą z łopatą na rynek i beczkę wykopią (...)". Właśnie minęło pięć lat od napisania tego zdania i 25 lat od momentu kiedy „Przystanek czasu" został zakopany u stóp ratusza. Kończył się wiek XX. Bezpowrotnie.

9 maja 2026 r. „Przystanek czasu" zostanie odkopany o godz. 13:30. Istnieje dokument opisujący co się wydarzyło 25 lat temu:

Słowo o pomyśle

To jest „Przystanek czasu" nasz prezent dla Was, nasi kochani potomkowie. Zakopaliśmy tę beczkę na zakończenie XX wieku, byście po 25 latach ze zgromadzonych tu przedmiotów mogli dowiedzieć się czegoś więcej o nas. Beczkę wymyśliliśmy w kilkuosobowym gronie siedząc wieczorem w lokalu Jerzego Pazdana o nazwie „Kupiecka", który wówczas znajdował się w podziemiach przy Rynku. Samą beczkę podarowała firma „Konspol" za co jej serdecznie tu dziękujemy, a nazwę „Przystanek czasu" wymyślił w swojej głowie przyozdobionej czajnikiem – Andrzej Szarek, za co zresztą nie wziął pieniędzy.

No i na razie zdradzimy tylko tyle i aż tyle. Jako współodpowiedzialni za zakopanie „Przystanku czasu" czujemy się w obowiązku odkopać teraz najsłynniejszą sądecką beczkę. Nie ukrywamy, że czujemy się też lekko podekscytowani tym faktem. Z obawą również myślimy, o niektórych przedmiotach, jakie znalazły się w tej kapsule wysłanej potomnym, wszak ich termin przydatności – choć długi – to chyba jednak nie opiewał na ćwierć wieku. Co nas czeka w środku? Czy będziemy zaskoczeni przekazem jaki wystosowaliśmy do potomnych? Czy współcześni sądeczanie będą się z nas śmiali czy może podziękują nam, że chciało się nam przygotować dla nich „Przystanek czasu"? Pytań się nasuwa wiele, odpowiedzi na niektóre przynajmniej, poznamy niebawem.

Wojciech Molendowicz

Adam
NOWAKOWSKI
Beta Verse

Kiedy pośpiech potrafi się zestarzeć

Na Sądecczyźnie są rzeczy stałe i pewne. Węgierska stoi, Dunajec płynie, a Sądeczanka powstaje. W zapowiedziach, komunikatach, wizualizacjach. To nie droga, to lokalna forma religii. Słyszysz, że będzie, czekasz, cierpisz i wierzysz. Co jakiś czas kapłan od infrastruktury mówi z powagą „jesteśmy coraz bliżej" i trzeba uczciwie przyznać, że to jest święta prawda. Bo czy możemy być dalej?
Czysta poezja rozwoju, coś, co jest absolutnie niezbędne, strategiczne, dziejowe i pilne, więc przez dekady opowiada się o tym, aż pilność nabiera charakteru zabytkowego i nawet pośpiech potrafi się zestarzeć. Droga, którą gdyby można budować komunikatami, pewnie połączyłaby Nowy Sącz z Lizboną.
Sądeczanka stała się już częścią naszej regionalnej tożsamości, to nasz lokalny jednorożec, taki drogowy potwór z Loch Ness. Jedni mówią, że bez tej drogi region się udusi, drudzy, że droga owszem, ale nie tak, trzeci, że tak, ale inaczej, kolejni, że inaczej, ale później. Może my nie powinniśmy jej budować? Może w tym właśnie tkwi jej siła? A co, gdy już powstanie? Przecież nauczyliśmy się już z tym żyć, nie pytamy „kiedy", pytamy bardziej filozoficznie: „czy jeszcze za naszego życia". Od lat spaja region lepiej niż niejeden most. To zupełnie inny poziom relacji z inwestycją, bardziej metafizyczny.
Nie kpię z samej potrzeby budowy. Sądeczanka jest potrzebna, to sprawa jasna. I właśnie dlatego cały ten serial jest tak komiczny. Ta droga staje się też pomnikiem naszej lokalnej nowoczesności. Nie tej prawdziwej, tylko tej opowiadanej. Pomnikiem czasu straconego, wspomnieniem po epoce, w której przez tyle lat nie dało się zrobić czegoś oczywistego. Sądeczanka powstanie i jestem tego pewien, choć bardzo prawdopodobne, że pewnie wtedy, gdy w Europie zakażą jeżdżenia wszystkim, co pachnie benzyną.

Fot. Jerzy Cebula, zdjęcie pochodzi z książki „Nowy Sącz 366 dni".

KTO JEST ŚWINIA I KANALIA?

30 lat temu 9 maja 1996 r. odbyły się pierwsze w Nowym Sączu juwenalia studentów WSB-NLU. Rozpoczęcie i przekazanie młodzieży przez prezydenta na kilka dni symbolicznych kluczy do miasta odbyło się na sądeckim Rynku. Impreza przebiegała pod zachęcającym do zabawy hasłem „Kto się uczy w juwenalia, ten jest świnia i kanalia". Kilka lat później, podczas juwenaliów 2003 studenci WSB zaprezentowali m.in. musical własnego autorstwa „Cudowne marzenia". Jeśli ktoś rozpoznaje się na tym zdjęciu, albo widzi tu kogoś znajomego proszony jest o kontakt z redakcją DTS. (**śik**)

Stadionowe obyczaje

SĘDZIA KALOSZ TO NASZE DZIEDZICTWO KULTUROWE

Jakie są najważniejsze słowa w futbolu? Oczywiście piłka, karny, gwizdek, poprzeczka, liniowy, corner i coś tam jeszcze w ten deseń. Ale przez dziesięciolecia bardzo ważnym określeniem w polskiej piłce nożnej było również „sędzia kalosz".
A kto dał światu kalosza? Oczywiście piękna i bogata w talenty Sądecczyzna! Konkretnie Krynica-Zdrój.

Historia z gumiakiem w roli głównej, jaka wydarzyła się w perle uzdrowisk polskich, delikatnie i na trwałe zapisała się w światowych kronikach. Ponieważ u niektórych fakt ten wciąż budzi zdziwienie, przypominamy krótki fragment tekstu Ireneusza Pawlika z DTS poświęcony hokejowym Mistrzostwom Świata w Krynicy właśnie.
Był rok 1931:
(...) Oprócz 4. lokaty na MŚ reprezentanci Polski zdobyli też tytuł wicemistrzów Europy, kopiując sukces sprzed dwóch lat (w krynickich MŚ nie wystartowali obrońcy tytułu mistrzów Europy – Niemcy). Niestety i przy tej okazji dali znać o sobie nasi pseudokibice. Kiedy w meczu z Czechosłowacją belgijski sędzia Andre Poplimont odesłał polskiego hokeistę na ławkę kar, na lodzie wylądował kalosz rzucony z trybun. Za bandę wyekspediował go najlepszy czeski hokeista Josef „Pepi" Maleczek. To ponoć wtedy ukuto idiom „sędzia kalosz" (...).

No i wszystko jasne.
W Krynicy ktoś zawołał do sędziego, że kalosz leży na lodzie i tak się spodobało, że blisko 100 lat później kibice nadal lubią to określenie. Obecnie zawołanie „sędzia kalosz" należy zaliczyć do najlżejszych obelg kierowanych przez widownię do sędziego. Innych cytować nie będziemy, bo nawet telewizja wycisza mikrofony na murawie, kiedy towarzystwo się rozpędzi z fantazjami, co najchętniej zrobiłoby sędziemu. I tu najlepiej postawmy kropkę. **(szu)**

Piłka i biznes

REPREZENTUJEMY POLSKĘ W 70 KRAJACH ŚWIATA

W najnowszym numerze branżowego magazynu „Press" (media, reklama, public relations) znalazła się m.in. debata o sponsoringu sportu. Wzięli w niej udział przedstawiciele takich firm zaangażowanych w marketing sportowy jak Totalizator Sportowy, Orlen, czy Biedronka. W dyskusji gościł również Janusz Komurkiewicz, członek zarządu Fakro ds. marketingu. Całą debatę można przeczytać w magazynie „Press", albo zobaczyć w wersji wideo na stronie press.pl. U nas tylko krótki cytat z tego spotkania. I choć słowa Janusza Komurkiewicza padły jeszcze przed meczem Szwecja – Polska, po którym stało się jasne, że nasza reprezentacja nie jedzie na tegoroczne Mistrzostwa Świata, to konsekwencja Fakro we współpracy z drużyną narodową pozwala przypuszczać, że jesienią znowu zobaczymy logo sądeckiej firmy na bandach reklamowych Stadionu Narodowego.
Janusz Komurkiewicz:
„(...) Z naszą reprezentacją związani jesteśmy ponad 21 lat. Oczywiście przeżywaliśmy chwilę glorii, ale też chwile trudne, kiedy reprezentacja przegrywała, kiedy kibice odwracali się od niej i też często od PZPN-u. Ale zawsze robiliśmy to pod hasłem: reprezentujemy Polskę, kibicujemy razem. Firma Fakro jest już obecna w 70 krajach na całym świecie, wszędzie tam reprezentujemy Polskę i dlatego stwierdziliśmy że to właśnie reprezentacja Polski w piłce nożnej będzie naszym najlepszym ambasadorem. Bo to nie jest tylko tak, że mamy podpisaną umowę i reprezentacja promuje naszą markę czy nasze okna. My utożsamiamy się z drużyną narodową (...)" **(ivie)**

Liczby, liczby...

KOGO GONI RODADO?

Właśnie odkryliśmy drobny sądecki wkład w historię polskiej piłki nożnej. Całkiem niedawno pojawiła się informacja, że napastnik Wisły Kraków Ángel Rodado przeszedł do historii Betclic 1. Ligi. Dublet w meczu z Miedzią Legnica sprawił, że Hiszpan ma już 73 gole na zapleczu Ekstraklasy. To oznacza, że awansował na 2. miejsce w klasyfikacji najlepszych strzelców w historii rozgrywek według danych serwisu Transfermarkt, obejmujących statystyki od 1991 r.
A kto jest tym jedynym, który znajduje się przed Rodado? Piłkarz z Nowego Sącza, Arkadiusz Aleksander, autor 87 bramek! Aleksander jest obecnie współwłaścicielem Sandecji i więcej goli w I lidze (prawdopodobnie) już nie strzeli, z kolei Ángel Rodado jest obecnie kontuzjowany, a poza tym (prawdopodobnie) awansuje z Wisłą do ekstraklasy, więc sądecki rekord strzelecki pozostaje niezagrożony. **(str)**

Wstydliwa rocznica
DZIELNA POSTAWA BRAMKARZA SANDECJI!

30 maja obchodzić będziemy ważną rocznicę w historii sądeckiej piłki nożnej. Ważną, okrągłą, podniosłą i bardzo wstydliwą. 80 lat temu, 30 maja 1946 r. Sandecja przegrała w ówczesnej A klasie z Cracovią 0:17. Dokładnie tyle, ile rywal z Krakowa potrzebował, by awansować do tworzonej właśnie ligi państwowej. Źródła milczą, by wyglądający na ustawiony wynik meczu wzbudził podejrzenia obecnych na meczu dziennikarzy, działaczy piłkarskich, albo chociaż milicjanta na Błoniach. Tym sposobem Cracovia od 80 lat szczyci się swoją najwyższą wygraną w oficjalnych rozgrywkach.

Gdyby w 1946 r. istniały zakłady bookmacherskie, to ten, kto obstawił taki wynik, byłby bardzo bogaty. A skoro Cracovia potrzebowała 17 bramek do awansu, to pewnie ktoś wcześniej wiedział, że właśnie tyle wpadnie. Dzisiaj pewnie by to tak łatwo nie przeszło. Odpowiednie służby wrzuciłyby to na bęben i sprawdziły czy w jakimś Singapurze, Angoli, albo w kolekturze na Grenlandii, ktoś akurat nie postawił tysiaka na 17 bramek dla Cracovii.

Najobszerniejszą relację z tych zawodów w 1946 r. zamieściło „Echo Krakowa" pisząc m.in.: „(...) Niespotykaną, w rozgrywkach klasy A przewagą ilustruje najlepiej fakt, że Sandecja w ciągu całego meczu zaledwie 8 razy zdołała się przebić w okolicę pola karnego przeciwnika, a Rybicki obronił dwa, zresztą niegroźne strzały. Dość powiedzieć, że wynik mógł być dużo wyższy, gdyby nie zabawki napastników Cracovii i... mimo puszczonych 17 bramek - dzielna postawa bramkarza Sandecji - Orleckiego (...)". Z kronikarskiego obowiązku dodajmy, że widzów było 2 tysiące, sędziował obywatel Flumenkier, bilety na trybunę środkową kosztowały 70 zł, z kolei dla studentów i wojskowych były po 10 zł. Ale tylko do stopnia sierżanta. Wiadomo, wyższą szarżę stać na więcej.

Ludzie obok piłki
I JAK TU NIE KOCHAĆ „SZPAKA"

Człowiek kwietnia w naszym wymyślonym na poczekaniu subiektywnym i samozwańczym rankingu? Dariusz Szpakowski! Legendarny komentator piłkarski odwiedził Nowy Sącz i jedną wypowiedzią dla DTS oraz Michała Śmierciaka nalał Sądeczanom tyle miodku do serduszek, że teraz trzeba postawić sobie fundamentalne pytanie: jak tu nie kochać „Szpaka"? Ciekawostka! Szpakowskiemu Nowy Sącz kojarzy się przede wszystkim z jednym nazwiskiem: Wiśniowski! Niby oczywiste, ale tylko do pewnego stopnia. Niespodzianka, bo „Szpakowi" nie chodziło o słynnego Andrzeja Wiśniowskiego, ale o Łukasza, znanego dziennikarza sportowego. Czyli takiego trochę kolegę z pracy Szpakowskiego.

Jak jednak zauważył nasz czujny i dociekliwy Czytelnik Marek Kmak, to nie był pierwszy występ komentatora nad Dunajcem. Dariusz Szpakowski był już w Nowym Sączu kilka lat wcześniej podczas otwarcia piwiarni Warka. Wówczas „Szpakowi" towarzyszył Dariusz Dziekanowski, a obydwu panów przypytał dla „Dziennika Polskiego" właśnie Marek Kmak.

OGRÓD CHIŃSKI W MUSZYNIE

CUD POLSKI 2024
WEDŁUG CZYTELNIKÓW NATIONAL GEOGRAPHIC TRAVELER MAGAZINE

ODKRYJ MUSZYNĘ

WWW.MUSZYNA.PL

ZAMEK W MUSZYNIE

razem z:

radio ZET

ROZPOCZĘCIE SEZONU ROWEROWEGO 2026

10 maja 2025 r. godz. od 10^{00} do 15^{00}

Miejsce imprezy:
Ogrody Tematyczne

TURYSTYCZNE BESKIDY

AKTYWNY WYPOCZYNEK

Rozmawiał WOJCIECH MOLENDOWICZ

GDZIEŚ MIĘDZY STAVANGER A ABERDEEN

Rozmowa z Tomaszem Budziochem.

- Mieszkasz w Gorlicach i masz jedną z najbardziej nietypowych prac na świecie, która rzuca Cię w różne miejsca na globusie. Gdybym miał nazwać Twoją rzadką specjalność, to chyba jesteś monterem systemów bezpieczeństwa na lądowiskach śmigłowców...

- Można to tak nazwać. Rzeczywiście nawet w skali świata to dość specyficzna praca. Jest ledwie kilka firm, które produkują takie systemy bezpieczeństwa, a ta, dla której pracuję – ja i kilkanaście innych osób – jest jedną z wiodących. Jej siedziba znajduje się w Finlandii, a fabryka siatek zabezpieczających w Tallinie w Estonii.

- Rozumiem, że to nie są takie zwykłe siatki?

- To specjalne siatki przeznaczone do helidecków, czyli lądowisk dla helikopterów. Mają specjalny skład, są zrobione są z poliestru z domieszką juty i innych włókien. Posiadają właściwości absorbujące energię upadku. Jeżeli ktoś by na taką siatkę spadł, to nie odbija się jak na ogrodowej trampolinie, ale jego lądowanie jest dosyć miękkie. Ważną właściwością tych siatek jest duża odporność na czynniki atmosferyczne: morską wodę, promieniowanie UV, ptasie odchody. A takie czynniki to duży problemem na platformach i statkach.

- Skoro takich firm jest niewiele na świecie, to znaczy, że zapotrzebowanie na tego typu usługi jest ograniczone, bardzo specjalistyczne.

- ciąg dalszy następna strona

Fot. Archiwum Tomasza Budziocha

REKLAMA

REKLAMA

- Ktoś zrobił nawet takie zestawienie, z którego wynika, że helidecków, czyli lądowisk dla helikopterów na statkach i platformach jest na świecie ok. 30 tysięcy. Są też lądowiska na dachach hoteli, ekskluzywnych jachtach, miejscach związanych z wojskiem. Łącznie jakieś 50 tysięcy. Tu dodajmy, że te siatki mają długi okres użytkowania. Obowiązkowo trzeba je wymieniać po 10 latach, więc zapotrzebowanie na tego typu usługi siłą rzeczy jest ograniczone.

- Spróbujmy sobie to zwizualizować. Twoje miejsce pracy trochę przypomina sceny z Jamesa Bonda albo innych filmów akcji. Na dachu drapacza chmur ląduje śmigłowiec i wysiadają jacyś ważni ludzie...

- Tak to mniej więcej wygląda. I siatki, jakie tam montujemy, zabezpieczają ich przed ewentualnym spadnięciem z takiego lądowiska. A helidecki usytuowane są w różnych dziwnych miejscach. Na przykład na statkach zaopatrzeniowych, które obsługują platformy wiertnicze, lądowisko jest na dziobie i w części wisi ono nad wodą. Z kolei na platformach lądowisko jest najczęściej usytuowane 60-70 metrów nad powierzchnią wody. Gdyby ktoś spadł z takiej wysokości, to szansa na szczęśliwy finał upadku jest minimalna. Efekt jest podobny jak przy upadku z wysokości na beton. Dlatego właśnie helidecki są specjalnie zabezpieczane. Siatki chronią nie tylko ludzi, ale też towary. Bagaż, który przylatuje z pracownikami, może być zdmuchnięty przez silny wiatr, nie tylko przez maszynę. Śmigła helikoptera są po wylądowaniu ustawione w takiej pozycji, że podmuch jest stosunkowo niewielki. Być może brzmi to trochę jak przepisy BHP, choć w wydaniu, z jakim nie mamy na co dzień styczności. Na lądzie o tych sytuacjach mamy mgliste pojęcie.

- Kiedy rozmawiamy, wróciłeś właśnie z pracy...

- Jak zawsze, albo właśnie wróciłem, albo niebawem wyjeżdżam. Ostatnio byłem w Norwegii na platformie Draupner. Gdybym wytyczył linię prostą na mapie między Stavanger w Norwegii a Aberdeen w Szkocji, to jest usytuowana mniej więcej w połowie drogi na Morzu Północnym. To platforma gazowa, ale nie wydobywcza, tylko przepompownia. Do niej schodzą się rurociągi z platform, gdzie są odwierty i które wydobywają gaz. Przez platformę Draupner przechodzi około czterdziestu procent norweskiego gazu, który jest wysyłany do Europy. Wiem, że mówię o bardzo nietypowym miejscu.

- Absolutna większość naszych czytelników, w przeciwieństwie do Ciebie, nigdy nie będzie miała szansy odwiedzić takich miejsc.

- Faktycznie, nie można tam pojechać na wycieczkę. Do niektórych zakładów na lądzie – do fabryk samochodów, do hut, kopalń – organizowane są wycieczki. Można zobaczyć, jak takie zakłady funkcjonują. Na platformę nie da się tak po prostu polecieć. Jednak każdy, kto w różnym charakterze będzie się tam wybierał, musi przejść całą serię szkoleń bezpieczeństwa, które są absolutnie niezbędne.

Fot. Archiwum Tomasza Budziocha

- Twoja praca jest niebezpieczna czy raczej emocjonująca?

- Na początku, kiedy się tam leci pierwszy-drugi raz, to oczywiście jest to emocjonujące. Już sam fakt, że istnieją rozmaite procedury przy wsiadaniu do helikoptera czyni ten wyjazd ekscytującym. Zwłaszcza na Morzu Północnym, gdzie przebieramy się w specjalne kombinezony, które w momencie, gdyby helikopter wpadł do morza, pozwolą nam przetrwać w zimnej wodzie przez ileś godzin. Kiedy pierwszy raz ubierasz taki kombinezon, to odczuwasz miły dreszczyk adrenaliny. Z czasem to oczywiście mija, nie wyzwala już większych emocji i zaczynasz się nudzić. Czasem leci się godzinę czy półtorej na jakieś dalsze instalacje i wówczas miałbyś ochotę poczytać książkę, ale w helikopterze się nie da. Dawniej zabierałem książki, ale po kilku próbach stwierdziłem, że to nie ma sensu. Śmigło, które się przecież cały czas kręci, powoduje migotanie światła, które jest strasznie męczące dla oczu. To trochę jakbyś próbował czytać w dyskotece przy lampie stroboskopowej. Bardzo podobny efekt.

- To co się robi w helikopterze lecącym nad Morzem Północnym?

- Teraz w helikopterze to się najczęściej śpi [śmiech]. Jeżeli ktoś da radę spać, bo w kabinie jest bardzo głośno. W wielu miejscach jest nawet wymagana podwójna ochrona słuchu. Wkłada się stopery do uszu i na to jeszcze słuchawki. Ale na przykład w Norwegii na niektórych lotach w słuchawkach leci muzyczka.

- A kiedy już dotrzesz na platformę...

- To czas się spędza w pracy [śmiech], bo po to się tam leci. Oczywiście nasza praca wymaga w miarę dobrej pogody. Mamy coś, co w skrócie nazwałbym oceną ryzyka, gdzie jest między innymi napisane, przy jakich warunkach pogodowych możemy pracować. Wiadomo, że jeżeli jest bardzo silny wiatr, a my pracujemy na krawędzi lądowiska i akurat ściągnęliśmy stare siatki zabezpieczające, to siedzimy kilkadziesiąt metrów nad wodą. Jeżeli wiatr wieje 80-90 kilometrów na godzinę, to absolutnie nie ma możliwości, żebyśmy się w tym miejscu znaleźli. Przy takich warunkach ciężko jest ustać na nogach, a co dopiero pracować. I wtedy mamy weather standby, czyli zatrzymanie pracy ze względu na pogodę. Co robimy? To zależy w jakim jesteśmy sektorze. Na przykład w brytyjskim rozrywką zawsze obecną na platformach jest dart, czyli rzutki. Często jest bilard, a zawsze siłownia. Gry komputerowe, planszowe, bardzo popularne są szachy, jest biblioteka. W Norwegii standard socjalny na platformach jest bardzo wysoki. Każdy ma swój pokój, jest sauna i doskonałe wyżywienie. Trzy posiłki dziennie plus przerwy kawowe. Dobrze to wygląda, ale kiedy zła pogoda utrzymuje się dłużej, to ten bezruch zaczyna być irytujący i męczący.

- Bywało nerwowo w twojej pracy?

- W sensie bezpieczeństwa staramy się unikać takich sytuacji, które byłyby potencjalnie niebezpieczne. Ze strony klienta czy operatora platformy jest kładziony bardzo duży nacisk na bezpieczeństwo. Patrząc z zewnątrz wydawać by się mogło, że posunięty czasami do absurdu. Normy bezpieczeństwa są bardzo wyśrubowane. Zwłaszcza po wypadkach czy katastrofach z lat 80. i 90., na których kanwie oparty był słynny był film „Deepwater Horizon". Od tego czasu wiele się pozmieniało na korzyść pracowników i wypadków na platformach jest już bardzo niewiele. Ale w takim specyficznym miejscu, jakim jest platforma wiertnicza, nawet drobny wypadek to jest strata czasu, a tym samym strata pieniędzy. Poza aspektami czysto ludzkimi, kiedy komuś coś złego się przydarzy, trzeba pamiętać, że każdy taki incydent łatwo się sprzedaje medialnie i oczywiście źle wpływa na wizerunek firmy. A to może czasami zabijać cenami jej akcji na giełdzie.

- Specyfika Twojej pracy polega również na tym, że niemal nigdy nie wiesz, gdzie akurat pojedziesz. Po prostu dzwoni telefon i musisz być gotowy.

- ciąg dalszy następna strona

ALE, ŻE MUZYKA POWAŻNA W STARYM SĄCZU? SERIO?

FESTIWAL Omnia Beneficia
FESTIWAL 1679.org

REKLAMA

- Tak to wygląda. Nigdy wcześniej nie wiem, gdzie będzie mój następny wyjazd. Dowiaduję się tego najczęściej z około tygodniowym wyprzedzeniem. Dostaję wówczas informację, gdzie jadę, jaka praca nas czeka i ile orientacyjnie potrwa. Nie jest to typowa praca na etacie. Pracownicy platform pracują w swoim rytmie i oni zawsze wiedzą, kiedy mają rotację. Najczęściej pracują w systemie dwa tygodnie na platformie i dwa tygodnie wolnego. Tak jest w Wielkiej Brytanii, ale w Norwegii to jest dwa tygodnie na platformie i cztery tygodnie wolnego.

- Wykonujesz zlecenia niemal na całym świecie.

- Tak, ale połowa wszystkich zleceń to jest Morze Północne – sektory brytyjski, norweski i rzadziej niemiecki – tam głównie na instalacjach wiatrowych. Najrzadziej w sektorach holenderskim i duńskim. Natomiast druga połowa zleceń to jest w zasadzie reszta świata. Na przykład Zatoka Meksykańska, a obecnie Zatoka Amerykańska, albo Afryka. Teraz mój najbliższy wyjazd będzie do Angoli, na wysokości granicy z Kongo. Tam jest zwykle sporo pracy, trochę też w rejonie Senegalu. Ale nie wszędzie stawia się platformy wiertnicze, więc trafiają się nam też statki wydobywcze. Używa się ich, kiedy dno jest bardzo głęboko. Wówczas te statki są również magazynami wydobytej ropy. Do nich przypływają tankowce i tę ropę przeładowują do siebie. Teraz, ze względu na wojnę na Bliskim Wschodzie, urwało się trochę zleceń, ale mieliśmy też sporo pracy w Zatoce Perskiej. Wykonujemy zlecenia w Indochinach, Afryce Południowej, a nawet w Australii i Nowej Zelandii, gdzie ja akurat nie byłem. W ubiegłym roku pracowałem za to na Mauritiusie, w Indiach, na Sri Lance, w Senegalu i Angoli.

- Istnieje coś takiego jak turystyczny aspekt tej pracy? Jest okazja coś zobaczyć przy okazji?

- Zdecydowanie jest możliwość zobaczenia wielu miejsc i to jest bardzo duży plus tej pracy. Fajnie też podchodzi do tych spraw firma, dla której pracuję. Jeżeli chcę gdzieś zostać dłużej po wykonanej pracy, bo mi się tam podoba, to piszę do nich, żeby mi bilety powrotne zarezerwowali na kilka dni później. Mogę zostać i zwiedzać. Z takim rozwiązaniem najczęściej nie ma problemu. Zostaję oczywiście na swój koszt, ale wiadomo, że lwia część kosztów takiego wyjazdu to są jednak przeloty. A za bilety i wizy płaci firma. Najczęściej do takich miejsc, do których sam bym na pewno nie poleciał. Na przykład na Mauritius.

- Dlaczego nie chciałbyś polecieć na Mauritius jako turysta?

- Bo ta wyspa kojarzyła mi się zawsze z typowym wczasowiskiem, miejscem gdzie się leci na all inclusive. To nie mój model podróżowania. No więc byłem tam i szczerze powiedziawszy, jeżeli ktoś lubi aktywnie spędzać czas i coś zwiedzać, to Mauritius nie jest dla niego specjalnie ciekawym miejscem. Atrakcje, które ludzie tam mają rozpisane na tydzień czy dziesięć dni, to – jak się dobrze zorganizujesz – możesz zobaczyć maksymalnie w półtora dnia.

- Najbardziej nietypowa robota jaką miałeś do wykonania?

- Hm, trudna sprawa... Powiedzmy, że wyjazd na Sri Lankę, gdzie miałem montować oświetlenie na helidecku, czy raczej nadzorować ekipę trzech lokalnych pracowników, Hindusów. Statek cumował niedaleko Kolombo i, jak mi powiedział kapitan, miał być już kilka lat wcześniej zezłomowany. Nawet jak na warunki indyjskie, był w kiepskim stanie. Natomiast firma, której statek był własnością, złapała jeszcze kontrakt na stawianie platformy wiertniczej gdzieś w rejonie Pakistanu. I oni chcieli coś jeszcze z tego statku wycisnąć na koniec, zanim go potną na żyletki. Dlatego montowali oświetlenie, bo klient wymagał, żeby na statku można było lądować helikopterem w nocy. To inwestycja rzędu stu tysięcy dolarów, czyli pewnie w skali całego kontraktu niespecjalnie duży wydatek. Ale, co ciekawe i zaskakujące, okazało się, że firma, dla której montowałem to oświetlenie... pomyliła statki! Gdy przypłynęliśmy do burty małą łodzią, zorientowałem się, że jestem nie na tym statku, na którym powinienem być!

- Jak to? Zawieźli cię na statek i powiedzieli: „To proszę tu zamontować oświetlenie dla helikopterów".

- Tak, ale jak się zorientowali, że się pomylili, to machnęli ręką i stwierdzili, żebyśmy montowali dalej, a na tym drugim, właściwym, zamontujemy później. Takie rzeczy to chyba tylko w Indiach się mogą wydarzyć... [śmiech]

- Jak się to skończyło?

- Statki miały być niby takie same, taką informację miało nasze biuro, ale okazało się, że są zupełnie inne i część instalacji po prostu nie pasowała do tego statku, na którym byłem, więc musiałem potem przylecieć jeszcze raz, kiedy dostarczono już właściwe części. To niecodzienna sytuacja, ale zwykle bywają inne standardy. Czasami zdarzają się niestandardowe instalacje: koledzy na przykład montowali siatki na amerykańskim lotniskowcu. Był też wyjazd na wybitnie drogi jacht do szejka w Zatoce Perskiej. Wybrano nasze siatki, bo uznano, że ładnie wyglądają i pasują do wystroju tego jachtu.

- Fajnie...

- Ja się akurat nie załapałem, ale koledzy pojechali zamontować siatki na wszystkich okrętach marynarki wojennej Bangladeszu.

- Na wszystkich trzech? [śmiech]

- Dokładnie na wszystkich trzech! [śmiech] Jakiś generał sobie wymyślił, że te siatki fajnie wyglądają i mają kolory odpowiednie do tych okrętów wojennych. Generał był tak zadowolony z efektu, że zafundował chłopakom tygodniowe wczasy w Bangladeszu na koszt marynarki wojennej tego kraju! Łącznie ze zwiedzaniem największych atrakcji, noclegami w najlepszych hotelach, safari na słoniach, wycieczką do dżungli... Oprócz tygodniowych wakacji dostali za ten czas pieniądze, jakby byli wtedy w pracy.

- Cudowną macie pracę!

- Jak widać zdarzają się naprawdę fajne momenty.

Rozmawiał WOJCIECH MOLENDOWICZ

MAM WRAŻENIE, ŻE TA WOJNA TOCZY SIĘ WIRTUALNIE

Rozmowa z Mają Sontag, sądeczanką przemierzającą świat na motocyklu.

- Maja, trochę się martwiliśmy o Ciebie, bo wjechałaś do krajów arabskich, kiedy rozpętał się tam konflikt...

- Ja tu już jestem dłuższą chwilę. Wsadziłam w listopadzie siebie i motocykl do samolotu i przyleciałam z Etiopii do Dubaju. Ten konflikt rozpoczął się, gdy już dobrą chwilę byłam w podróży przez kraje Półwyspu Arabskiego. Dzieje się! Ale ja ani przez moment nie widziałam tej wojny. Kiedy to wszystko się zaczęło, szczęśliwie byłam w Omanie. A Oman jest nazywany Szwajcarią Krajów Zatoki Perskiej, bo jest zawsze taki pokojowy i wyważony, m.in. w rozmowach z sąsiadami i światem. Więc nie widziałam żadnych dronów, żadnych rakiet, eksplozji.

Teraz wjechałam do Arabii Saudyjskiej, która również jest jakby trochę drugoplanowym graczem w tej wojnie, więc nie widziałam po drodze nawet jednego żołnierza. Co nie oznacza, że tego konfliktu nie ma, a jedynie to, że ja mam szczęście być w spokojniejszych miejscach. Ale też trzymałam się daleko od siedzib władz, baz wojskowych i ropociągów, więc bezpośrednio nie widzę tego konfliktu. Ale pośrednio mnie to dotyka, no bo ludzie uważniej mi się przeglądają, turyści tu nie przyjeżdżają. Siada tu cały biznes turystyczny. I wszyscy się tym martwią oczywiście. Nieustannie są anulowane różne loty. Ja mam już kupione jakieś najdalsze etapy mojej podróży i też nie wiem, czy wtedy wylecę. Czuć niepewność jutra, ale w podróży jest trochę tak, jakby tego jutra nie było. Jestem tu chyba jedyną turystką, która została, bo wszyscy jakimiś sposobami się ewakuowali.

- To może trochę smutno, że sama na tych piaskach zostałaś. Dosłownie czujesz, że się pusto zrobiło?

- Wiesz, ja mam problem ze śledzeniem bieżących informacji. Ograniczyłam je sobie, żeby nie zwariować. Coś tam delikatnie podglądam, ale żyjemy w świecie sensacji i mam wrażenie, że do świata Zachodu, do Europy docierają jakieś mocno wyolbrzymione informacje stąd. Napompowane sensacją. Momentami wydaje mi się, że ta wojna dzieje się gdzieś wirtualnie. Tutaj, jadąc przez pustynię, nie doświadczam jej.

- Ale spotykasz po drodze ludzi, rozmawiasz z nimi. Oni czują niepokój, zmieniło się coś w bezpośrednich w kontaktach? Jesteś przecież człowiekiem Zachodu...

- ciąg dalszy strona 19

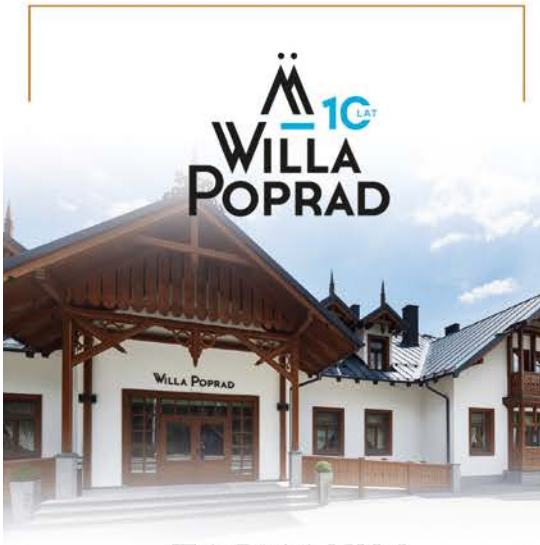

ZASMAKUJ
W UROKACH ŻYCIA

SALA BALOWA

Wymarzone przyjęcia w eleganckim stylu, idealne na wesela, bankiety, jubileusze i duże uroczystości

KLUB

Klimatyczny klub z parkietem tanecznym, idealny na imprezy okolicznościowe i firmowe

RESTAURACJA

Autorskie dania, regionalne smaki i elegancka atmosfera

biuro : 501 513 400
restauracja : 502 176 259

biuro@willapoprad.com

Rytro 306,
33-343 Rytro

willa_poprad

Willa Poprad

www.willapoprad.pl

REKLAMA

SĄDECKIE

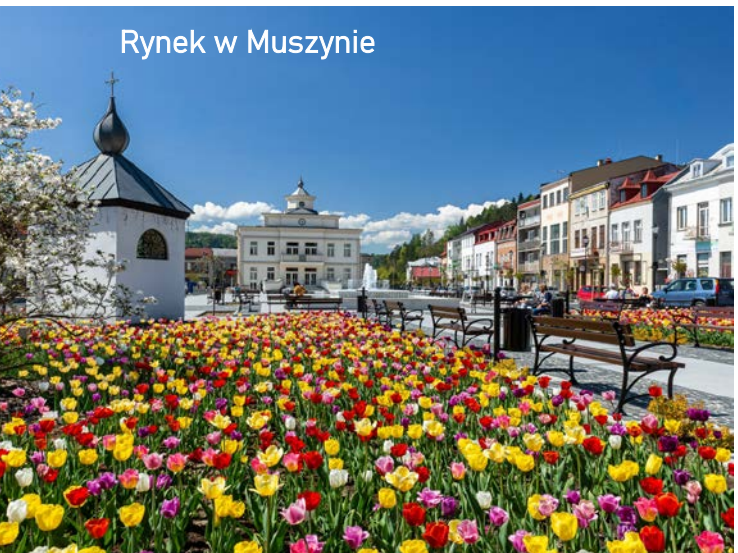

Zaprasza

Zapraszam do odwiedzenia i odkrywania Powiatu Nowosądeckiego

Tadeusz Ziemko
Starosta Nowosądecki

POWIAT
NOWOSĄDECKI

SADECKIEzaprasza
www.sadeckie.eu

- Czego doświadczam? Że dla wszystkich wokół jestem po pierwsze człowiekiem, który jest w podróży i potrzebuje pomocy. I to jest dla nich ważne. Więc tutaj nikt nie ocenia innych przez pryzmat polityki zagranicznej kraju, z którego się pochodzi.

- Co się zmieniło dla Ciebie po przeskoku z Afryki w inny świat na Półwyspie Arabskim?

- Początkowo w ogóle nie potrafiłam się odnaleźć, więc musiałam dać sobie chwilę, żeby jakoś się tutaj urządzić. Bo tutaj wszystko rządzi się zupełnie innymi prawami, od najprostszych codziennych rzeczy poczynając. Po blisko dwóch latach w Afryce nie byłam nią może zmęczona, ale potrzebowałam tej zmiany i jakiejś nowej energii w mojej podróży.

Na pewno podróżowanie jest tu dużo łatwiejsze. Mogę rozbić namiot gdziekolwiek, bo jest bezpiecznie, bo są przestrzenie. W Afryce wszędzie otaczali mnie ludzie. To było przytłaczające. Ale chyba najważniejsza różnica jest taka, że tu ludzie mają pieniądze. I to czuć. W Afryce było ciągle „come to see my shop" i po prostu ciągną cię, żebyś coś u nich kupił, a inni z kolei starają się naciągnąć cię, żeby im coś kupić. Przez lata kolonializmu biały człowiek jest dla nich cały czas madam i sir. To było dla mnie takie...

- Krępujące?

- Tak. Nieustannie czułam, że oni od razu gdzieś niżej się pozycjonują względem mnie. I to dla mnie było ciężkie. Kiedy wchodzę do sklepu to staję na końcu kolejki. A oni wszyscy: „No nie madam, proszę tam pójdź, do początek!". I nie umiałam im wytłumaczyć, że przyszłam ostatnia, stoję za tym panem i czekam na swoją kolej. Dla mnie to było ciężkie, źle to znosiłam. Z drugiej strony różne pomocowe programy nauczyły tych ludzi, że coś samo do nich łatwo przyjdzie.

Ludzie podchodzili, błagali, żebrali „proszę mi kupić chleb, proszę mi kupić dezodorant" itd. Wszędzie to było – w sklepie, przed sklepem... „Proszę mi kupić wodę" – mówi mężczyzna, który z głodu nie cierpi, co widać, tylko po prostu zobaczył mnie, że będę robić zakupy, więc łatwo mu przychodzi proszenie o cokolwiek. Tak są nauczeni, bo też łatwo dostają różne rzeczy z programów pomocowych. No i myślisz sobie „dlaczego nie, przecież mogę mu kupić tę wodę, albo chleb." Ale dobrze wiem, że to nic nie zmieni, a tylko utwierdzi te osoby w przekonaniu, że tak w zasadzie ten świat działa. Wystarczy poprosić i ktoś ci coś kupi, bo stoi w tej samej kolejce. Zawsze wtedy mówiłam, że chętnie zapłacę im za jakąś drobną pracę, np. za umycie motocykla, albo jakąś inną pomoc. Niech wykażą jakąś inicjatywę zarobkową, a ja to będę wspierać. Niech to będzie przysłowiowy pucybut, ale niech coś zaproponuje. Jak np. pewna pani, która stała z wagą łazienkową na środku ulicy i za drobną opłatą mogła cię zważyć. Oczywiście ta waga jest okrutnie zwichrowana i pokazuje ci twoją wagę jakbyś weszła na nią z całym bagażem, bo nagle masz 120 kg! Ale ta pani z popsutą wagą ma godność. Nie żebrze, tylko zarabia. Oczywiście w sposób, w jaki w tym miejscu można zarabiać. No więc bardzo byłam tym wszystkim jakaś taka przytłoczona, zmęczona, więc z ulgą przeniosłam się w miejsce, gdzie ludzie nie patrzą na ciebie jak na bankomat. Tu jest odwrotnie – nikt nie chce od ciebie dolara, tylko to oni cię zasypują różnymi podarkami. Zatrzymuję się w restauracji, czy w jadłodajni na śniadanie, a ktoś płaci za mnie rachunek! Oczywiście to jest równowartość jakichś 12 złotych, ale sam fakt, że ktoś przyszedł i zapłacił mój rachunek. W Arabii Saudyjskiej spotykają mnie sytuacje dokładnie odwrotne niż w Afryce.

- Nawet oglądając Twoje zdjęcia można wyczuć, że czujesz się bezpiecznie i komfortowo.

- Bardzo! Na każdym kroku można odczuć, że te kraje się rozwijają, a przez to naprawdę jest bezpiecznie. Możesz zostawić telefon na stole, pójść do toalety, a kiedy wrócisz telefon na pewno będzie tam, gdzie go zostawiłeś. Albo zatrzymuję się gdzieś, żeby się wybrać w góry. Przebieram się z ciuchów motocyklowych, zostawiam przy motocyklu pełen bagaż, idę w góry na kilka godzin, a kiedy wracam wszystko jest na swoim miejscu, tak jak zostawiałam.

- ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

AKADEMIA NAUK STOSOWANYCH W NOWYM SĄCZU

WYBIERZ DOBRY KIERUNEK

STUDIUJ W NOWYM SĄCZU

REKRUTACJA już od czerwca

6 WYDZIAŁÓW

34 KIERUNKI

sprawdź naszą ofertę

www.ans-ns.edu.pl

REKLAMA

Więc naprawdę, po okresie afrykańskim czuję, że teraz jest dla mnie taki easy travelling! Jest bezpiecznie, jest przestrzeń, ludzie są życzliwi, że ciągle ktoś pyta, czy wszystko u mnie w porządku, czy czegoś nie potrzebuję. Ciągle słyszę: „Welcome to Saudi Arabia", „Welcome to Oman", „Welcome to Emirates". Jestem w jakimś zupełnie innym wymiarze.

- Miło słyszeć, że czujesz się tak komfortowo, ale przeczytam Ci nagłówki newsów z ostatniej doby z Arabii Saudyjskiej: „Kluczowy rurociąg znowu działa po ataku". „Arabia Saudyjska odzyskuje eksport ropy". „Przywrócona pełna przepustowość eksportu". Dużo dobrych wiadomości. Wiesz o tym?

- Nie! Początkowo trochę się tym wszystkim nakręciłam, bo nikt nie wiedział, co się za chwilę wydarzy, więc ludzie się po prostu obawiali. Mnie bardziej od doniesień agencyjnych interesuje to, co mówią i czują ludzie. Póki oni się czują bezpiecznie, to i ja się czuję bezpiecznie. Polityka przez wielkie P naprawdę dzieje się na zupełnie innym poziomie, gdzieś bardzo daleko od

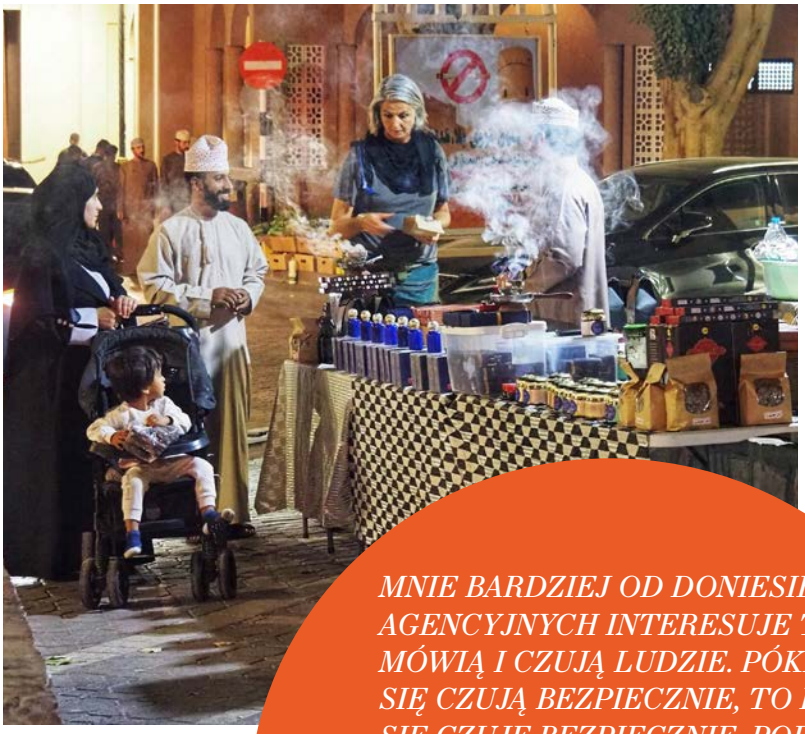

MNIE BARDZIEJ OD DONIESIEŃ AGENCYJNYCH INTERESUJE TO, CO MÓWIĄ I CZUJĄ LUDZIE. PÓKI ONI SIĘ CZUJĄ BEZPIECZNIE, TO I JA SIĘ CZUJĘ BEZPIECZNIE. POLITYKA PRZEZ WIELKIE P, NAPRAWDĘ DZIEJE SIĘ NA ZUPEŁNIE INNYM POZIOMIE, GDZIEŚ BARDZO DALEKO OD MIEJSC, KTÓRE WŁAŚNIE ODWIEDZAM. TUTAJ NA DOLE SĄ LUDZIE, KTÓRZY PO PROSTU ŻYJĄ Z DNIA NA DZIEŃ I MAJĄ SWOJE PROBLEMY

Fot. Facebook Maja Sontag

miejsc, które właśnie odwiedzam. Tutaj na dole są ludzie, którzy po prostu żyją z dnia na dzień i mają swoje problemy. Zdecydowanie bliższa jest mi ta mikroskala. Zdecydowanie większym moim zmartwieniem są alerty pogodowe. Tutaj zdarzają się takie ulewy, a ja nie miałam pojęcia, że pustynia może być tak zalana wodą! I to stwarza śmiertelne niebezpieczeństwo. Tworzą się jakieś porywiste rzeki, pojawia się mnóstwo wody, która meandruje po pustyni, nie mogąc znaleźć ujścia. To są rzeczy bardzo niebezpieczne.

- I ulewa jest dla Ciebie bardziej niebezpieczna niż wojna w krajach arabskich.

- Tak, bo to się dzieje zdecydowanie bliżej mnie niż wojna. Ludzie, którzy piknikują na kocach w oazach przy niewielkich strumyczkach, nagle stają wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa, bo w mgnieniu oka wszystko wokół wypełnia się rwącą falą. I ludzie giną, bo te miejsca stają się w kilka chwil kanionami wypełnionymi szalejącą wodą. I takie niebezpieczeństwa są mi zdecydowanie bliższe, niż jakiś spadający dron, którego nie widziałam na oczy. I ludzie mówią mi: „Nie jedź, bo dostajemy alerty, że może być niebezpiecznie". Ale jadę dalej przed siebie, jakby jutra miało nie być, bo co mam zrobić? Pewnie wpadłabym w jakąś paranoję, gdybym wszystko czytała i przejmowała się wszystkim, co się dzieje na świecie.

- Od Świąt Wielkanocnych minęło już trochę czasu, ale... Jest u Ciebie takie zdjęcie, zrobione jakby na środku pustyni i wielkiego piasku: rozbity namiot, przed nim krzesełko i motocykl. Pod zdjęciem życzenia od Ciebie do wszystkich. Enigmatyczne: świętego spokoju i radości! Filozoficznie, trochę jak legendarni ojcowie pustyni.

- Pamiętajmy, że jadę przez kraje muzułmańskie, więc gdyby nie życzenia od przyjaciół, to po niczym innym nie dałoby się zauważyć, że to Wielkanoc. Faktycznie byłam sama na pustyni, miałam jakieś jedzenie z puszki, ale to naprawdę były dla mnie bardzo fajne święta. Był święty spokój, którego wielu ludziom – jak podejrzewam – na co dzień brakuje! Ja się delektowałam tym momentem zatrzymania się w drodze i spokojem pustyni.

- Jakie masz dalsze plany? Jesteś już kolejny rok w drodze swoim motocyklem.

- Teraz lecę do Australii i Wanuatu, by uciekać od upałów tutaj. Potem Polska wrzesień i październik i powrót z początkiem listopada tutaj. Raz na półtora roku muszę wrócić do bazy, do Polski. To jest dla mnie taki moment skalibrowania, bo jednak w podróżny na co dzień spotykam się z różnymi ekstremami. Po prostu potrzebuję posiedzieć w Nowym Sączu w ogrodzie zjeść truskawki, albo wypić truskawkowy koktajl, a najlepiej jeszcze zjeść solidny talerz rosołu. To jest mój taki poziom zero. Muszę przypomnieć sobie świat i ludzi. Być otoczona znajomymi osobami, smakami, zapachami. Tylko wtedy tak naprawdę mój mózg się resetuje. I odpoczywa tak na full. Ja mogę tutaj zatrzymać się w hotelu, odpocząć dzień, dwa, ale jednak cały czas jestem w stanie pewnej czujności. A w domu, w Sączu wszystko puszcza i najzwyczajniej odpoczywam. Ale jest też szereg rzeczy do załatwienia. Trzeba coś kupić, przywieźć jakieś części do motocykla, przebadać się. Ale w listopadzie tutaj wrócę. I będę kontynuować tę podróż. Teraz przerzucam się do Australii na trzy miesiące. Motocykl zostaje w Dubaju. Latem z uwagi nieludzkie temperatury nie da się jeździć. W Australii znajomi pożyczą mi swój motocykl. Ale kupiłam już bilet z Sydney na Wanuatu. Akurat była okazja, a skoro będę już w Sydney, to czemu nie skorzystać, skoro jest tanie latanie na pobliskie wyspy. Zawsze chciałam zacząć zwiedzać Oceanię. A w październiku czy listopadzie, kiedy tutaj wrócę, to mam nadzieję, ten świat arabski będzie już dużo spokojniejszy. W tej chwili Syria, Irak i Kuwejt są zamknięte dla turystów i nie ma możliwości przejechania drogą lądową dalej niż do Jordanii. Więc tak czy inaczej chwilowo tu ugrzęzłam, zatem jest okazja wyjechać i wrócić.

noi Resort
woda i las

Wyjątkowy resort nad Jeziorem Rożnowskim

Ciesz się relaksem bez konieczności dalekich podróży!

Znamirowice 202
33-312 Tęgoborze
tel. 506 068 544

www.noiresort.pl

REKLAMA

NOWE MIEJSCE

Stworzyliśmy wyjątkową przestrzeń dla dzieci i rodziców w Nowym Sączu!

Najnowocześniejsza sala zabaw w stylu dżungli już na Was czeka.

DŻUNGLOVE

ADRES
ul. Wyspiańskiego 28,
Nowy Sącz

GODZINY OTWARCIA
Pon - Czw
12:00- 20:00
Pt - Nd
10:00 - 20:00

KONTAKT
kontakt@dzunglove.pl

Przygoda czeka- wpadnij do dżunglove!

DŻUNGLOVE – BIZNES WYROSŁY Z MACIERZYŃSTWA

Marzena Wysowska: „W Dżunglove dbamy o dobrostan dziecka i spokój rodzica"

Czasem los przynosi propozycję, która wywraca życie do góry nogami. Marzena Wysowska, właścicielka sali zabaw Dżunglove, w szczerej rozmowie opowiada o tym, jak po latach całkowitego oddania macierzyństwu weszła w świat biznesu, nie tracąc przy tym swoich wartości, i dlaczego w jej sali zabaw rodzic nie jest tylko „dodatkiem" do dziecka.

Skąd wziął się pomysł na Dżunglove? To była wizja, czy raczej impuls?

Szczerze? Ten biznes właściwie sam do nas przyszedł. Pojawiła się okazja i potrzebna była błyskawiczna decyzja. Wiedziałam jednak, że jeśli mam to robić, to tylko na moich zasadach i w oparciu o wartości, którymi żyję: ideę Montessori, pozytywną dyscyplinę i dbałość o dobrostan. Projekt wymagał ogromu pracy, bo poprzedni inwestor zostawił elementy, które kompletnie do mnie nie pasowały. Czułam, że to będzie trudny i czasochłonny proces, a przecież w domu czekały dzieci, które do tej pory miały mnie na wyłączność.

No właśnie, jesteś mamą czwórki dzieci w wieku od 2 do 15 lat. Jak udaje Ci się pogodzić macierzyństwo z budowaniem biznesu od podstaw?

Mam w domu wesołą ekipę: 15, 10, 6 lat i najmłodszy, dwuletni synek. Przez lata świadomie oddawałam się macierzyństwu i te doświadczenia ogromnie wpłynęły na to, jak Dżunglove wygląda dzisiaj. Decyzja o wejściu w biznes oznaczała, że czas dla dzieci musiał się skurczyć, co nie było łatwe, ale dzięki ogromnemu wsparciu męża i całej rodziny ten mechanizm działa.

Wspomniałaś, że Twoje doświadczenie jako mamy było fundamentem przy projektowaniu Dżunglove. W większości sal zabaw rodzic jest traktowany

„po macoszemu". U Ciebie jest inaczej. Dlaczego?

Bo jako mama nieraz czułam tę specyficzną, rodzicielską samotność. W Dżunglove postawiłam na równowagę. Chciałam, aby przestrzeń dla rodziców pozwalała im poczuć się jak w prawdziwej, dobrej kawiarni. Celowo oddzieliliśmy strefę zabaw od strefy wypoczynku, by hałas był jak najmniej odczuwalny. Rodzic ma u nas odpocząć, napić się dobrej kawy, a nie tylko „przetrwać".

To podejście widać też w samym wystroju i menu. Nie ma tu krzykliwych kolorów ani typowego „śmieciowego" jedzenia.

Zależało mi, aby dzieci nie były przebodźcowane. Wybraliśmy motyw dżungli, dużo zieleni i rośliny oczyszczające powietrze. Co do jedzenia – jako mama wiem, jak męczące jest odmawianie dziecku kolejnej cukrowej przekąski, dlatego stawiamy na zdrowsze propozycje. Mamy też biblioteczkę, którą sama uzupełniam, a dla starszaków minibo-isko przetestowane przez mojego syna oraz salę gier. Planuje jeszcze dodać kącik gier planszowych. To wszystko dzieje się nie bieżąco, w swoim naturalnym tempie. Bez szaleńczego pośpiechu, ale za to świadomie.

Dżunglove to jednak nie tylko codzienna zabawa, ale także uwielbiane przez dzieci imprezy urodzinowe. Jakie podejście do ich organizacji przyjęłaś? Czy to również jest oferta „szyta na miarę"?

Tutaj również trzymamy się zasady „mniej znaczy więcej". Podjęliśmy świadomą decyzję, że nie organizujemy więcej niż dwa przyjęcia jednocześnie. Zależy mi, aby dzieci i goście indywidualni mieli przestrzeń i komfort, unikając nadmiernego zgiełku.

Wspomniałaś wcześniej o wartościach, takich jak pozytywna dyscyplina czy idea Montessori. Czy planujesz przełożyć je również na konkretne wydarzenia lub warsztaty?

Tak, to kolejny krok. Chciałabym, aby Dżunglove stało się miejscem spotkań i edukacji zarówno dla dzieci, jak i rodziców. Na razie jednak dajemy sobie czas na szlifowanie tego, co już mamy – bez szaleńczego pośpiechu, za to świadomie. Chcę, aby oferta warsztatowa była dopracowana w każdym szczególe, dlatego te wydarzenia zaczną pojawiać się w naszym kalendarzu nieco później.

To wszystko, co mówisz, brzmi jak bardzo przemyślana droga – od doświadczonej mamy czwórki dzieci do bizneswoman, która nie uznaje kompromisów w kwestii jakości. Czego mogę Ci życzyć na nadchodzący czas?

Przede wszystkim tego, by rodzice faktycznie odnajdywali u nas spokój i widzieli, że sala zabaw może być przyjazna dla całej rodziny. I oczywiście czasu, bym mogła dalej godzić te wszystkie role, które są dla mnie tak ważne.

TEATR NOWY
NOWY SĄCZ

25/05
18:30

"MIŁOŚĆ I ZDRADA"
KOMEDIA KTÓRA BAWI
DO ŁEZ

JAGIELLOŃSKA 36
REZERWACJA
506 205 595

Z OKAZJI DNIA
MAMY
bilety w cenie
40 zł

REKLAMA

Rozmawiał WOJCIECH MOLENDOWICZ

CHCESZ SIĘ CZUĆ BEZPIECZNIE, TO MUSISZ BYĆ SILNY I SIĘ ZBROIĆ

Rozmowa z Adamem Leszkiewiczem, prezesem Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

- Potrafi Pan obudzony w środku nocy wymienić siedemdziesiąt spółek wchodzących w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej? A może nie ma potrzeby, żeby Pan je wszystkie pamiętał?

- Pewnie bym wymienił jakieś 90 procent, a może nawet i więcej... Ale chyba nie ryzykowałbym, żeby kogoś nie pominąć, bo dla PGZ wszystkie spółki są ważne! I nie można ich klasyfikować wielkością przychodów, skalą zatrudnienia, czy produktami, które trafiają na wyposażenie Polskich Sił Zbrojnych. Każda spółka ma swoją specyfikę i nawet jeśli pracuje w niej pięć czy sześć osób - bo i tak bywa – to ona jest ważna dla grupy. Staramy się bowiem tworzyć zintegrowaną grupę kapitałową. Ale nie w nazwach rzecz, nie w hierarchii ważności, tylko w tym, żebyśmy potrafili budować spójne portfolio produktowe. Abyśmy się wzajemnie nie konsumowali i nie rywalizowali wewnętrznie. Mamy działać razem przy różnych kompetencjach firm, ich doświadczeniu i historii. Są bowiem w Grupie spółki ponad stuletnie i zdecydowanie młodsze, niebędące jeszcze 20 lat na rynku. Suma tych doświadczeń i kompetencji to wspólny potencjał Polskiej Grupy Zbrojeniowej.

- Jak się koordynuje pracę takiej wielkiej grupy zakładów, odległych pod względem historii, specjalizacji i lokalizacji?

- To właśnie nasz główny cel: usprawnianie i doskonalenie systemu zarządzania organizacją grupy, żeby tworzyła jeden organizm, a nie zlepek konkurujących wzajemnie podmiotów. Nie wolno tego zostawić swojemu biegowi, wychodząc z błędnego założenia, że przecież każda z tych firm jakoś sobie radzi, więc po co ulepszać coś, co i tak działa. Zaniechanie aktywnego zarządzania Grupą jako całością spowoduje, że nie uzyskamy tych efektów, które są nam potrzebne. Mamy tu różne podmioty i właśnie tą różnorodnością trzeba tak kierować, by na samej górze piramidy była spójna Polska Grupa Zbrojeniowa. W tym kontekście przygotowujemy zmiany. Z jednej strony wprowadzamy procesy konsolidacyjne w Grupie oraz rozwiązujemy trudne tematy, także podejmując decyzje związane z likwidacjami. Nie chciałbym używać tu może zbyt górnolotnego porównania, ale trochę to przypomina dyrygowanie wielką orkiestrą. Kiedy każdy będzie grał na swoją nutę, to efekt będzie żałosny. Pięć-sześć takich procesów likwidacyjnych w tej chwili się dzieje w PGZ, ale z drugiej strony próbujemy też budować nową strukturę domenową opartą o sie-

CZĘSTO POWTARZAMY TAKĄ FRAZĘ, ŻE „PRODUKUJEMY NASZE WSPÓLNE, POLSKIE BEZPIECZEŃSTWO". ALE OPRÓCZ TEGO JESTEŚMY OCZYWIŚCIE SPÓŁKĄ PRAWA HANDLOWEGO , A TAKA MA WYZNACZONE OCZYWISTE CELE ZWIĄZANE Z WYNIKAMI FINANSOWYMI.

dem kluczowych grup produkcyjnych. Robimy to właśnie po to, żeby te poziomy zarządzania przenosić w dół. Chcemy budować odpowiedzialność, decyzyjność, skuteczność i efektywność na różnych szczeblach. Jest oczywiste, że ręcznie nie da się sterować taką liczbą spółek i nie na tym ma to polegać.

Każdy zarząd ma zespoły, które zbierają informacje, koordynują działania, wyznaczają standardy korporacyjne i tworzą systemowe rozwiązania. Tymi mechanizmami buduje się szkielet, strukturę organizacyjną i potem to działa. Zarządzamy przez cele, zarządzamy zadaniowo i projektowo. To wszystko pozwala nam wykorzystywać maksymalnie kompetencje poszczególnych osób, zespołów i spółek. Oczywiście napotykamy problemy i nie twierdzę, że to wszystko fajnie idzie. Różni są ludzie, różne doświadczenia i różne uwarunkowania lokalne. Te spółki są rozsiane po całej Polsce. Mówimy o blisko 70 podmiotach, ale trzeba pamiętać, że zakładów produkcyjnych jest więcej, bo niektóre spółki mają kilka lokalizacji. A w każdej spółce musimy odnaleźć to, co jest wartościowe dla Grupy. Każda z nich uczestniczy w budowaniu wyników finansowych i operacyjnych całej Grupy. Na końcu tego procesu, który tu mogłem jedynie zasygnalizować, ważne jest, aby mieć zintegrowaną profesjonalną grupę biznesową.

- Pańskim głównym zadaniem jest w tej chwili realizacja dwóch celów - wynik ekonomiczny - jak w każdej spółce prawa handlowego - i cel równoległy, czy nawet ważniejszy – budowa bezpieczeństwa Polski?

- Tak. Jesteśmy spółką, która w stu procentach należy do Skarbu Państwa i posiada strategiczny charakter. Mamy wyznaczone cele związane z byciem ważnym elementem systemu bezpieczeństwa. Często powtarzamy taką frazę, że „produkujemy nasze wspólne, polskie bezpieczeństwo". Ale oprócz tego jesteśmy oczywiście spółką prawa handlowego, a taka ma wyznaczone oczywiste cele związane z wynikami finansowymi. Po prostu dążymy do tego, żeby nasze produkty były sprzedawane. Naszym zadaniem jest m.in. zwiększanie eksportu. Ale też – jak w każdej innej firmie - żebyśmy zmniejszali koszty i racjonalnie gospodarowali swoimi finansami. Po to, by na końcu zbilansować się i uzyskać pozytywny wynik finansowy i operacyjny. Wszystko inne jest pochodną albo służy realizacji tych celów. Także wtedy, kiedy mówimy o profesjonalizacji i o ubiznesowieniu naszej misji.

- Czyli wszystko jak w każdej innej firmie, tylko z nadrzędną misją zwiększenia bezpieczeństwa Polski i jeszcze lepszego uzbrojenia polskiego wojska?

- Dokładnie. Choć działamy trochę na styku spraw państwa i administracji publicznej, a z drugiej strony obowiązuje nas wspomniany kodeks spółek handlowych. No ale taka jest nasza rola i w tym się musimy odnaleźć.

- Jak się zostaje szefem jednej z największych grup zbrojeniowych w Europie? Dzwoni telefon od premiera, a premierowi się nie odmawia?

- Nie! Istnieją procedury określone w ustawie o zarządzaniu mieniem państwowym z 2016 r. W oparciu o te przepisy organizowane są procedury konkursowe. Każdy może w konkursie wystartować, po spełnieniu oczywiście określonych wymagań. Wyboru dokonuje rada nadzorcza, bo ona ma te kompetencje zapisane

- ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

w statucie spółki i KSH. Rada nadzorcza często posiłkuje się firmami headhunterskimi. Tak było ze mną, kiedy startowałem w konkursie na prezesa Grupy Azoty. Więc ten wybór opiera się o podstawy formalnoprawne. Trzeba chcieć i trzeba mieć pomysł, co się chce zrobić, bo to jest bardzo istotne. Każdy z managerów musi przedstawić wizję rozwoju firmy i określić cele, które chcę realizować na tym stanowisku. Jeżeli to wszystko przekona radę nadzorczą, to zostaje się na przykład prezesem lub członkiem Zarządu.

- Skoro padła tu nazwa Grupy Azoty, którą Pan wcześniej kierował. Jakby Pan porównał – mówiąc kolokwialnie – swoją przesiadkę z Azotów do PGZ?

- Polska Grupa Zbrojeniowa jest oczywiście trochę większa. Główna różnica polega jednak na tym, że Azoty są spółką w trudnej sytuacji. I tam aktywność menadżerska, zarządcza polega przede wszystkim na rozwiązywaniu problemów, negocjacjach z wierzycielami, szukaniu bazy do płynności finansowej. Inna jest skala wyzwań. W PGZ jest odwrotnie. Tu jesteśmy na fali wznoszącej, idziemy do przodu. Wyzwaniem jest realizacja określonych zadań, poprawa wizerunku, budowanie portfela produktowego na przyszłość, by wzmacniać polski przemysł zbrojeniowy i produkować wyposażenie potrzebne polskiemu wojsku.

- Przez dziesięciolecia można było odnieść wrażenie, że w Polsce nie produkuje się nic albo prawie nic na potrzeby wojska. A nawet jeśli się produkowało, to i tak nikt o tym nie mówił, bo obowiązywała tajemnica. Obecnie nie ma tygodnia, by premier, minister obrony albo generałowie nie odwiedzali fabryk skupionych w PGZ i nie komunikowali o militarnych nowościach.

- Patrzyłbym na tę sytuację w dwóch płaszczyznach. Jedna jest związana z zagrożeniem, przed którym stanęła Polska. Wojna na Ukrainie jednak zmieniła postrzeganie naszej sytuacji. Nagle widzimy jak realne stały się ryzyka wynikające z tych zagrożeń. Z tego wynika wzrost zainteresowania produktami, które służą bezpieczeństwu, obronności i produkującymi je zakładami. To zagrożenie wpłynęło również na rozwój przemysłu zbrojeniowego. Przez lata tzw. dywidenda pokoju spowodowała, że zajmowaliśmy się innymi rzeczami. Trochę zaniedbując infrastrukturę zbrojeniową i kompetencje ludzkie. Dzisiaj to odbudowujemy, bo widzimy zagrożenie, a jednocześnie to służy polskiemu przemysłowi. Polska Grupa Zbrojeniowa zatrudnia już około 23 tysięcy osób. To pokazuje skalę. Ale cały polski przemysł zbrojeniowy to nie tylko PGZ. Liczba osób związanych z tym sektorem mocno wzrasta, nie wiem czy obecnie już nie do stu tysięcy. Na naszej platformie zakupowej zarejestrowanych jest 12 tysięcy firm z całej Polski, które kooperują z PGZ. Serce się cieszy, kiedy można podpisywać nowe kontrakty, otwierać nowe linie produkcyjne i całe zakłady. Budujemy i rozwijamy zdolności obronne Polski, a budżet pań-

REKLAMA

I NIE ZGADZAM SIĘ Z TEZĄ, ŻE PRODUKUJEMY ZŁOM. TO JEST BARDZO KRZYWDZĄCE DLA CAŁEGO PRZEMYSŁU ZBROJENIOWEGO! MAMY WIELE PRODUKTÓW, Z KTÓRYCH MOŻEMY BYĆ DUMNI - JAK PIORUN, JAK BORSUK, DRONY, RADARY, CZY MINY.

stwa wspiera ten rozwój poprzez Fundusz Inwestycji Kapitałowych. Inwestujemy środki finansowe, pozyskujemy partnerów z całego świata.

- Czy to nie jest swoisty paradoks, branży zbrojeniowej, że produkując i sprzedając coraz więcej sprzętu, jednocześnie wszyscy marzą, żeby on nigdy nie był potrzebny i nie został użyty.

- Nie da się uciec od tego, że z jednej strony mówimy o zagrożeniu, ryzykach i wojnach, a z drugiej strony o rozwoju przemysłowym. I nie uciekniemy od tej tezy, że w jakiś sposób PGZ i polski przemysł zbrojeniowy rozwija się dzięki temu zagrożeniu. Oby go nie było. Jak nie będzie zagrożenia, to sprzęt będzie leżał w magazynach i pewnie tak będzie najlepiej dla wszystkich. Ale z drugiej strony rozumiemy, że rozbudowując zdolności produkcyjne chcemy więcej produkować, bo tylko wtedy będzie się opłacało w ten sektor inwestować. Dlatego szukamy różnych innych sposobów na zapewnienie stabilnego funkcjonowania w przyszłości. Mówimy np. o zwiększaniu eksportu. Mam na myśli to, że eksport pozwala wyprowadzić nasze produkty poza polski rynek i polskie magazyny. Ważne, aby też pamiętać o technologii dual use, czyli podwójnym zastosowaniu niektórych rozwiązań, również na czas pokoju. Na przykład w zakresie dronów, radarów, w zakresie rozwiązań IT. One mogą być wykorzystywane w celach cywilnych i wtedy brak zagrożenia nie będzie biznesowo negatywnie wpływał na nasz rozwój. To są te kanały, które chcemy wzmacniać i dowartościowywać w pragmatyce działania PGZ.

- Jakiej jakości jest dzisiaj polski sprzęt wojskowy? Jedna z opozycyjnych posłanek jakiś czas temu w ramach dyskusji nad programem SAFE, na argumenty, że miliardy złotych zostaną wydane w polskich firmach, używała określenia, że uzbrojenie produkowane przez PGZ to „złom".

- Generalnie kilka podobnych negatywnych sformułowań słyszałem w ostatnim czasie. Dobrze się stało, że dzięki m.in. SAFE , polski przemysł zbrojeniowy stanął w centrum uwagi i dyskusji publicznej. To jest istotne dla nas i dla naszych pracowników. Gro pieniędzy wydawanych na przemysł zbrojeniowy pochodzi z podatków. W związku z tym wszyscy musimy mieć świadomość, jak ważna jest akceptacja społeczna dla tych wydatków. I dlatego dyskusja o przemyśle zbrojeniowym, jego produktach, o PGZ jest ważna, bowiem buduje wspólne przekonanie, że na tym opiera się nasze bezpieczeństwo. Warto w ten sektor inwestować, także w kontekście rozwoju gospodarczego, rozwoju przemysłu, miejsc pracy, kompetencji, czy technologii. I nie zgadzam się z tezą, że produkujemy złom. To jest bardzo krzywdzące dla całego przemysłu zbrojeniowego! Mamy wiele produktów, z których możemy być dumni - jak Piorun, jak Borsuk, drony, radary, czy miny. Ale jest też wiele produktów, w których nas nie ma, albo nie jesteśmy jeszcze tak mocni, jak byśmy chcieli być. Myślę tu o rakietach, o samolotach. Ale za to jesteśmy mocni w utrzymaniu, w serwisie, w przeglądach, konserwacji.

Jednoznacznie uważamy, że lepsze jest dla nas wszystkich produkowanie w Polsce, w polskich zakładach, niż kupowanie gotowych produktów za granicą.

- ciąg dalszy następna strona

1/2 litra piwa zawiera
25 gramów czystego
alkoholu etylowego.

Sprzedaż alkoholu osobom do lat 18
jest przestępstwem

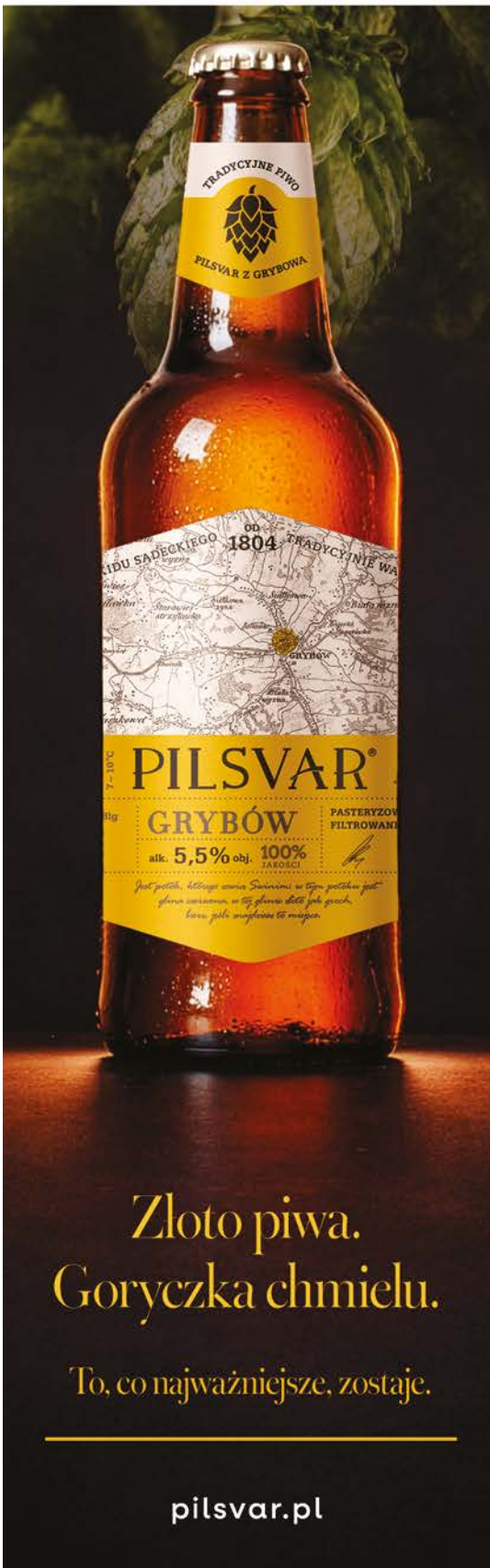

REKLAMA

A mówienie o tym, że mamy złom, jest tak samo negatywne, jak mówienie, że lepiej kupić od Amerykanów czy od Korei niż produkować tutaj. Tak nie jest. Przecież jeśli czegoś nie mamy, to i tak musimy kupić. Ale polonizacja przemysłu zbrojeniowego i local content polegają generalnie na tym, żeby starać się pozyskiwać technologie, licencje, know-how i przenosić produkcję do Polski. Tutaj kooperować, tutaj budować i sprzedawać.

- Na Sądecczyźnie nie ma obecnie żadnej firmy, która mogłaby w przyszłości dołączyć do PGZ?

- To w pierwszej kolejności kwestia pojęcia geograficznego, jak szeroko patrzymy na Sądecczyznę. Nawet dzisiaj bym wskazał przykłady takiej współpracy. Chociażby Kuźnia Glinik w Gorlicach. Zakłady Mechaniczne w Tarnowie też nie są tak daleko. Ale gdyby tak sprawdzić w szczegółach, to można by się pokusić o tezę, że prawdopodobnie wśród kooperantów zakładu w Tarnowie znajdują się jakieś firmy z Sądecczyzny. Tak to działa, a z pewnych powiązań kooperanckich nie do końca musimy sobie zdawać sprawę. Ktoś patrzy na przemysł zbrojeniowy i się zastanawia: „Hmm, no nie, nikt ode mnie tam nie pracuje w tej zbrojeniówce. To jest gdzieś daleko, więc nie jest to dla mnie istotne". Otóż jest to istotne, bo to jest nasze wspólne bezpieczeństwo. Ale też z dużą dozą prawdopodobieństwa wcześniej czy później przemysł zbrojeniowy będzie oddziaływał na lokalne środowisko w jeszcze większym stopniu. Przecież Jasło też nie jest tak daleko, a mamy tam Gamrat. W Sanoku Autosan pełną parą produkuje samochody dla Jelcza. Zwróćmy uwagę, że zakłady zbrojeniowe czy produkujące w tym obszarze są wokół nas bliżej czy dalej. I być może ktoś z Sądecczyzny już w takich zakładach pracuje. Myślę więc, że Sądecczyzna też jest w przemysł zbrojeniowy zaangażowana i być może także ta rozmowa będzie służyć uświadomieniu mieszkańcom Nowego Sącza i Sądecczyzny, że wzmacnianie potencjału obronnego Polski i rodzimego przemysłu zbrojeniowego to nie są rzeczy abstrakcyjne dziejące się gdzieś daleko ode mnie. W jakimś sensie każdy z nas – myślę tu o czytelnikach DTS - w tym uczestniczy. Nie tylko poprzez podatki, ale także poprzez poczucie własnego bezpieczeństwa i poprzez identyfikację z polskim wojskiem, z polskim żołnierzem, no i mam nadzieję, również z Polską Grupą Zbrojeniową, czyli narodowym championem w zakresie przemysłu zbrojeniowego w Polsce.

Adam Leszkiewicz – ur. w Krakowie, przez lata związany z Łużną i Bobową, gdzie kończył tamtejsze LO. Menedżer, urzędnik państwowy i samorządowy, w latach 2007–2009 podsekretarz stanu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, w 2009–2011 podsekretarz stanu w Ministerstwie Skarbu Państwa, w 2012–2016 prezes zarządu Grupy Azoty ZAK, 2024–2025 prezes zarządu Grupy Azoty w Tarnowie, od 2025 prezes Polskiej Grupy Zbrojeniowej. Absolwent Uniwersytetu Papieskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie.

Rozmawiały
MAGDALENA DURLAK i PATRYCJA TUREK

CHCIAŁEM SIĘ WOŁOWINĄ PODZIELIĆ ZE ŚWIATEM

Rozmowa z Laurą i Karolem Mikulcami właścicielami firmy Lumberjacks w Nowym Sączu

- Lauro, Karolu, ludzie uwielbiają wasze burgery, przyjeżdżają z całej Polski, żeby ich spróbować. Powiedzcie nam, kto był pomysłodawcą waszego przedsięwzięcia i dlaczego akurat burgery?

Karol: *- Ja byłem pomysłodawcą. Lumberjacks zaczął się tak naprawdę od momentu, kiedy moi rodzice założyli zakłady mięsne. A ja miałem okazję dorastać w tych zakładach, pracować tam i uczyć się fachu, a w szczególności zdobywać wiedzę o wołowinie. W pewnym momencie po prostu chciałem się tą wołowiną podzielić ze światem. Kiedy pracowałem nad klasyfikacją kulinarną wołowiny, pomyślałem, że potrzebowalibyśmy takiego Lumberjacksa, żeby - w cudzysłowie, brzydkie słowo - zutylizować przód wołowy, czyli bardzo dobrej jakości mięsko. W klasyfikacji kulinarnej powstaje niesamowitej jakości centra wołowa. I ten przód jest niesprzedawalny w Polsce, bo - niestety - kark rozbratel ma za dużo marmurku, czyli tłuszczu międzymięśniowego. Nie wiem, czy wchodzić głębiej w takie detale, bo to taki temat, o którym mógłbym przez cały dzień opowiadać. Ta historia jest długa i intensywna. Chyba nigdy jej publicznie nie opowiadałem i tak naprawdę pierwszy raz tutaj o tym mówię. Dziękuję za tę możliwość...*

- Opowiadaj...

- No więc Lumberjacks powstał w 2014 r. Zaczynałem od opatentowania nazwy. To była pierwsza moja myśl. Spodobała mi się ta nazwa, była bardzo mocna. I co najważniejsze jeszcze była wolna, m.in. jeśli chodzi o wszystkie domeny i social media. Więc pierwsze, co zrobiłem to wydałem wszystkie oszczędności. Nie było ich może aż tak dużo, ale zamiast pojechać na wakacje wydałem wszystko na nieistniejącą jeszcze firmę.

Zaczęło się od tego, że przeszły patenty dla Lumberjacksa. W 2015 r. powstał Foodtruck, czyli przetestowanie pewnych rozwiązań w ciężarówce pod siedzibą firmy moich rodziców. Potrzebowaliśmy odpowiedzi na pytanie, czy w ogóle mieszanka wołowa spodoba się konsumentom i gościom Foodtrucka. Potem zaparkowaliśmy pod Galerią Sandecja i tam w pierwszym miesiącu sprzedaliśmy chyba 9 tysięcy burgerów! I to był niesamowity wynik, jeśli chodzi o Foodtrucka i jego możliwości. Sprzedawaliśmy dziennie po 700-800 kanapek! Świetny wynik.

- ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

Ale to jeszcze nie było to. Foodtruck nigdy nie był tym, czego docelowo chciałem. Foodtruck miał po prostu przetestować rynek, czy te soczyste burgery komuś się spodobają. A rynek był przyzwyczajony, że burgery były bardziej suche, a nie takie, jak oferuje Lumberjacks. Dlatego nie zaczynaliśmy od stałego lokalu.

Później, kolejnym etapem sprawdzenia się w boju było Kilińskiego 64. Tam chcieliśmy sprawdzić nasze możliwości. Ponieważ pracowałem w zakładach mięsnych i miałem niesamowite doświadczenie w rozbiorze wołowym i technologii, sam zaprojektowałem całą kuchnię. Dysponowaliśmy 84 metrami kwadratowymi, więc na takiej powierzchni to było duże wyzwanie logistyczne. Chciałem wszystko zaprojektować tak, żeby oprócz jakości smakowej na talerzu lądowała też jakość wynikająca z timingu. Nikt nie chce czekać na burgera godzinę-dwie. To jest teoretycznie proste danie, ale też skomplikowane, bo składa się z wielu elementów. Przede wszystkim z tej klasyfikacji kulinarnej, o której opowiadałem, bo to jest serce Lumberjacksa. Codziennie mielimy świeżą wołowinę. Kalkulowaliśmy codziennie, ile potrzebujemy mięsa i to też jest nasz wyróżnik. Do tego tradycyjnie wędzony bekon. Jaki on jest pyszny! Bez nastrzyku – to trzeba zaznaczyć! Jest przepyszny! Chrupki, codziennie krojony i smażony w 150 stopniach. Ale jakie było wasze pytanie, bo chyba zapomniałem... A kto wpadł na pomysł firmy? Trochę się rozpędziłem.

- Laura, a jaka była w Twoja rola w projekcie Lumberjacks?

- Od początku pokochałam ten projekt tak samo jak Karol i tak samo w niego uwierzyłam. Całą swoją miłość po prostu przelałam i przelewam każdego dnia na Lumberjacksa. Jestem w tym z całą sobą i mam nadzieję, że to widać, słychać i czuć. Na samym początku nie chciałam się pokazywać. Ale świat tak szybko idzie do przodu i social media są tak dynamiczne, tak szybko się to wszystko zmienia, że ja też małymi kroczkami, powolutku i jestem w tym miejscu, w którym jestem teraz. Wszystko, co robię, to działania intuicyjnie jeżeli chodzi o marketing.

A odpowiadając na wasze pytanie - moja rola polega na byciu Lumber mamą. To jest bardzo szerokie pojęcie. Jestem mamą - opiekuję się naszym zespołem, zajmuję się marketingiem i robię wiele innych rzeczy. M.in. tę robotę papierkową związaną z firmą. Z kolei wszystkie receptury, które widzicie i macie okazję testować to jest praca Karola i jego pomysły. Wszystkie produkty są wymyślone przez niego, a my z zespołem jesteśmy testerami każdej nowości, jaką mamy wprowadzać. No więc jestem Lumber mamą i to jest bardzo trafne określenie dla mojej roli.

Karol: *- A ja bym nie ograniczał roli Laury tylko do Lumber mamy. Przecież w budowaniu firmy były lepsze i gorsze momenty, jak to zawsze bywa kiedy coś tworzysz. I Laura była dla mnie niesamowitym wsparciem, jeśli chodzi o projekt. Jestem jej za to bardzo wdzięczny. Szczególnie kiedy przychodziły te gorsze momenty, kiedy nie chciało się rano z łóżka wstawać, na przykład po covidzie. Nie chcę ich tutaj przypominać, ale bądźmy autentyczni, bo w naszej strategii marketingowej kierujemy się*

REKLAMA

Bank Spółdzielczy w Limanowej

Twój partner finansowy

Zapraszamy do naszego Oddziału w Nowym Sączu

Oferujemy kompleksowe rozwiązania:

- rachunki osobiste i firmowe
- karty debetowe i kredytowe
- bankowość mobilną i internetową
- lokaty terminowe
- konta oszczędnościowe
- kredyty
- ubezpieczenia

33-300 Nowy Sącz
ul. Długosza 43/1

tel. +48 18 44 19 910
tel. +48 18 44 44 478
nowysacz@bs.limanowa.pl

Poniedziałek - Piątek: 8:30 - 16:00

www.bs.limanowa.pl

Odwiedź naszą placówkę i przekonaj się, że warto z nami współpracować.

Fot. FB Lumberjacks

autentycznością. No więc, żebym ja mógł się zająć tym, co najbardziej lubicie, czyli smakiem i jakością, Laura dbała o stronę marketingową. Myślę, że my się idealnie dopełniamy. Jesteśmy takim dream teamem, gdzie jedno ciągnie drugie i wydaje mi się, że to jest klucz naszego działania i sukcesu.

- To można zauważyć m.in. w waszych social mediach, szczególnie na TikToku, gdzie faktycznie widać jak się uzupełniacie i jak wasze wspólne działanie rzutuje na Lumberjacksa.

Karol: - *Bardzo dziękujemy za te słowa. Na tym to miało polegać. Zastanawiałem się, czy nie powinienem więcej mówić i opowiadać w social mediach, ale tak po ludzku nie miałem na to czasu. Wolałem się zajmować projektem kiosku, opakowań, projektem menu boardów, sesją zdjęciową, a przede wszystkim jakością i recepturami. Bo nawet receptury wszystkich sosów też zostały przeze mnie stworzone. Mam nadzieję, że wam smakują. A który sos najbardziej lubicie z naszej gamy?*

- Kurczę, nie wiem, czy pamiętam. Z nazwami będzie ciężko. Jest taki ostry, ale nie pamiętam niestety nazwy.

- A właśnie, bo ma papryczki chili w środku.

- Tak, zdecydowanie ten jest najlepszy. I frytki z posypką!

Karol: - *To przy okazji tych frytek każdemu polecam inspirowanie się podróżami! Byliśmy w Izraelu. Akurat podpisywaliśmy kontrakt na mięso koszerne, ale nie będę tego wątku rozwijał, bo byśmy potrzebowali dodatkową godzinę.... No więc będąc z kontrahentami w Izraelu, zjedliśmy frytki. No i one były dość specyficzne. Nie były to frytki solone. Ja jestem mocno otwarty na nowości, więc do kucharza i do kelnera zagadnąłem co tam jest w tych frytkach. No i receptura szybko została poznana. To mgiełka soku z cytryny robi efekt wow w tych frytkach! Nie tylko sól.*

Generalnie wszystko w Lumberjacks powstawało organicznie, na zasadzie obserwacji świata. Nawet projekt kiosków. Nie miałem na to pomysłu. Wiedziałem tylko, że nie może być tak samo jak u globalistów, podobnie jak inne jest nasze menu. Wszystko, za co się wezmę, musi być inne, musi być po prostu unikatowe. To jest bardzo ważne. Nie musi być najlepsze, ale jedyne w swoim rodzaju i staram się tak właśnie robić. Jeśli chodzi o kioski, zainspirowałem się czymś zupełnie z innej branży.

- ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

Fot. FB Lumberjacks

Oglądając Prime Video i Netflixa stwierdziłem, że to po prostu tak ma wyglądać. Że to będzie na tyle fajne, że nawet jak babcia z wnuczkiem podejdzie do Lumberjacksa pod kiosk, to też ogarnie flow kafelków. No i dalej - aplikacja mobilna będzie identyczna jak kiosk. Nad tym pracujemy, choć potrwa to jeszcze pewnie z rok-dwa.

- Niedawno widzieliśmy, że odwiedził was znany youtuber, recenzent z branży kulinarnej Książulo. Jak się z tym czujecie, jak to wpłynęło na Wasz biznes?

Laura: - *Na pewno wpłynęło bardzo pozytywnie i cieszymy się z tej wizyty. W ogóle się nie spodziewaliśmy, że nas odwiedzi, więc to było spore zaskoczenie. Karol może anegdotkę opowiedzieć z tego dnia, bo pewnie ludzie jej nie znają....*

Karol: - *No więc jeśli chodzi o wizytę Szymona, to byliśmy zaskoczeni. Ja akurat wykonywałem ostatnie zdjęcie Walkerjacka, kiedy ktoś złożył zamówienie. Ale nie wiedziałem kto, kolejny klient, więc po prostu robiłem swoje. Bo ten Walkerjack jest ciężki do zrobienia, tam idzie cebula czerwona, grillowana, nie wiedziałem jak ją ułożyć, no patologia totalna. No więc robię swoje, Gabrysia przyjęła zamówienie, czyli to słynne zamówienie Gabrysi, ludzie ją często za to chwalą. Mega! To wszystko siadło i ona przychodzi taka zestresowana po tym, jak już on złożył zamówienie, żebym pomógł im na kuchni. A ja mam taką zasadę w Lumberjacks, że stawiamy na ludzi i jak Laura robi swoje, to nie wchodzę jej w paradę. Ja też robię swoje, każdy robi swoje. Ja już nie jestem na etapie smażenia burgerów. Owszem, potrafię wysmażyć 1500 burgerów w 10 godzin, bo robiłem to, ale kurczę, nie buduję przecież Lumberjacksa sam! Budujemy go całą ekipą. I odpowiedziałem jej, że ja robię swoje, a wy róbcie swoje, tak jak zawsze robicie. Gabrysia odeszła, wszyscy robią swoje. Skończyłem sesję foto, a tu nagle Szymon przychodzi i pyta o... toaletę! No ja nie wiem, kurczę, jak to powiedzieć?*

- Nie skojarzyłeś, kto jest u was?

Karol: - *Nie! Byłem w fotograficznej wizji twórczej. Dwie godziny robi się tę kanapkę, a później masz 30 minut żeby ser ładnie leżał i sos nie kapał. A tu przychodzi Szymon i pyta o toaletę! No to tłumaczę: w lewo, w prawo, do góry – zapraszam! I tyle, ale nie miałem momentu żeby wpływać na to, co on powie o swoim zamówieniu. Ja nie znam specyfiki pracy kogoś, kto ocenia jedzenie. Tak to wyglądało.*

A jaki to miało wpływ na biznes, bo takie było pytanie. Odchodzę od tematu, ja tak mam od dziecka. No więc wpływ tej wizyty był dla nas bardzo pozytywny. Rynek zrozumiał Lumberjacksa i jak oglądałem recenzję, to byłem bardzo zadowolony z tego, że ktoś opowiedział markę i smaki naszymi oczami!

Najbardziej ucieszyło mnie, że ktoś zrozumiał, iż oferujemy światu tę jakość w rozsądnych pieniądzach. I za to jestem najbardziej wdzięczny Szymonowi, że po prostu dał nam możliwość, żeby szersze grono odbiorców dowiedziało się o tym. Jest tak, jak wspomnieliście, że teraz przyjeżdżają do nas ludzie z całej Polski. Słyszałem, że ktoś planuje przyjechać nawet ze Szczecina. Powiem tylko, że w poprzednim miesiącu udało nam się sprzedać ponad 40 tysięcy burgerów. Liczba ogromna! Ale żeby była jasność przed Szymonem też się przecież dużo działo! W poprzednim roku lokal sprzedał 400 tysięcy kulek i 230 tysięcy kanapek, więc też świetnie sobie radził, ale nie tak jak teraz.

Teraz faktycznie łapiemy oddech i możemy się dalej rozwijać. Przy tym pułapie cenowym, który mieliśmy przez rok, tak naprawdę szliśmy na oparach, czasami dokładaliśmy, czasami było na zero, czasami lekki plus. Ale cały kapitał, który spółka zarabiała, szedł w rozwój.

KRZYSZTOF KAWA

NOWY SĄCZ NADAL BĘDZIE W MOIM SERCU

Wicemistrzyni olimpijska Klaudia Zwolińska zmieniła barwy, ale nie porzuca rodzinnych stron

Klaudia Zwolińska została zawodniczką Krakowskiego Klubu Kajakowego, ale to nie oznacza, że opuszcza Sądecczyznę, skąd się wywodzi. – *Nigdzie się nie wyprowadzam* – zapewnia nas.

Wicemistrzyni olimpijska z Paryża i podwójna mistrzyni świata z australijskiego Penrith zdecydowała się w kwietniu nawiązać współpracę z miastem Kraków. Jej przejście ze Startu do KKK, dzięki któremu nowosądecki klub uzyskał solidną rekompensatę finansową, ma szerszy kontekst.

Zwyciężczyni plebiscytu „Przeglądu Sportowego" na Najlepszego Sportowca Roku 2025 otrzymywała w ostatnim czasie mnóstwo propozycji zmiany barw z całej Polski i wiosną stało się jasne, że zdecyduje się wybrać jedną z nich.

– *Odchodząc, wcale nie odcinam się od macierzystego klubu* – wyjaśnia Klaudia Zwolińska.

- ciąg dalszy następna strona

Klaudia Zwolińska podpisuje specjalne olimpijskie wydanie DTS Paryż 2024

REKLAMA

1793
KRYNICZANKA
NATURALNA WODA MINERALNA

WYBIERASZ TO CO NAJLEPSZE

WWW.KRYNICZANKA.PL

– Dla mnie było ważne, by Start żył w zgodzie z moim kolejnym klubem, bo zdaję sobie sprawę, że w sportach niszowych bez współpracy nie ma rozwoju. Albo zrzeszymy się, będziemy działać i spoglądać w jednym kierunku, albo ta dyscyplina nigdy nie wzmocni się medialnie. To było bardzo dla mnie istotne i sądzę, że byłoby mi dużo ciężej przejść do innego klubu, niż do tego, z którym współpracuję od lat. Reprezentując barwy Startu, zawsze miałam bardzo dobre relacje z Krakowskim Klubem Kajakowym. Tak samo zresztą, jak wszyscy inni zawodnicy z Nowego Sącza. Kajakarze z Krakowa zawsze są u nas mile widziani. Kolokwialnie mówiąc, jest między nami sztama – dodała.

W tym regonie tkwi wielki potencjał

Ważnym aspektem zmiany jest fakt, że w Nowym Sączu wciąż nie powstał planowany od lat tor do kajakarstwa górskiego, na którym pochodząca ze wsi Kłodne zawodniczka mogłaby trenować. Co więcej, oferta dla 27-latki zawierała także wsparcie w jej szeroko rozumianej aktywności, podjętej w celu propagowania ulubionej dyscypliny. Stąd tytuł Ambasadora Krakowa, którym została obdarzona przez władze królewskiego miasta.

Kajakarka dobitnie jednak podkreśla, że zmiana barw nie oznacza opuszczenia rodzinnych stron.

– Tak jak do tej pory będę mieszkać w powiecie limanowskim. Z mojego domu do Krakowa wcale nie jest daleko, a ponadto ja uwielbiam jazdę samochodem – opowiada. *– Chcę tu zostać ze względu na moją rodzinę oraz pracę, jaką wykonuję. Często jestem w rozjazdach, a w Polsce bywam tak rzadko, że gdybym się jeszcze wyprowadziła, to już bym się w ogóle nie widywała z rodziną. Regularnie jeżdżę do Krakowa, bo tam funkcjonuje jedyny tor w kraju, na którym mogę trenować. Niemniej zostaję tutaj i wciąż będę się pokazywać na eventach sportowych po to, by inspirować młodzież i dzieci oraz dorosłych. Zarówno Nowemu Sączowi, jak i klubowi Start bardzo dużo zawdzięczam, więc na pewno nadal będą w moim sercu. W tym regonie tkwi wielki potencjał, dlatego chciałabym doprowadzić do współpracy Nowego Sącza z Krakowem. Wierzę, że Małopolska stanie się kolebką sportów wodnych.*

Wdzięczność dla prezesa Startu

Zwolińska zwróciła się też bezpośrednio do prezesa Startu Bogusława Popieli, dziękując za wyrozumiałość wobec jej planów oraz wydanie zgody na zmianę barw.

– Myślę, że jesteśmy przykładem do naśladowania, jak dwa największe kluby, które mogłyby rywalizować, potrafią w zgodzie współpracować i walczyć o dobro kajakarstwa w Polsce – powiedziała. *– Jako zawodniczka jestem na torze sama, ale za moimi sukcesami stoi mnóstwo osób, w tym także z mojego macierzystego klubu. Kieruję specjalne podziękowania do pana prezesa, któremu wiele zawdzięczam. Wiem, że moment, kiedy odchodzę do innego klubu, nie jest dla niego najbardziej przyjemny. Wiem jednak, że jest osobą, która zdaje sobie sprawę, że aby rozwijać sport, trzeba się godzić na różne sytuacje, które nie do końca są komfortowe, ale w dłuższej*

Klaudia Zwolińska w prezydentem Krakowa Aleksandrem Miszalskim i prezesem KKK Zbigniewem Miązkiem Fot. Magdalena Pachut/ZIS

perspektywie na pewno takie się staną. Zwolińska, podobnie jak Grzegorz Kotowicz, prezes Polskiego Związku Kajakowego, ubolewa, że obecnie Nowy Sącz nie dysponuje torem, na którym mogłyby się wychowywać kolejne pokolenia slalomistów.

– *We Francji jest dwadzieścia sztucznych torów do kajakarstwa górskiego, a u nas tylko jeden. Za sprawą Klaudii mamy medale igrzysk i mistrzostw świata, ale proszę sobie wyobrazić, ile moglibyśmy ich mieć, gdyby w Polsce były chociaż dwa tory* – powiedział Kotowicz.

Reagując na te słowa, prezydent Krakowa Aleksander Miszalski zapewnił prezesa Startu, że w rewanżu za tak zgodne przekazanie zawodniczki do Krakowskiego Klubu Kajakowego postara się lobbować w Ministerstwie Sportu i Turystyki na rzecz dofinansowania budowy toru w Nowym Sączu.

Udana wyprawa do Oklahomy

Reprezentowanie Krakowa otwiera nowy rozdział w karierze Zwolińskiej, która wciąż jest głodna sukcesów. – Zmianę traktuję jako szansę na jeszcze lepsze przygotowania do występów i możliwość dalszego rozwoju. Mój cel sportowy to letnie igrzyska olimpijskie w Los Angeles i kolejne medale – podkreśla.

Zmiana barw niczego nie zmienia w kwestii jej sztabu szkoleniowego. Nadal będzie ściśle współpracować z pochodzącym ze Szczawnicy Rafałem Polaczykiem, który na co dzień mieszka w Krakowie, oraz z głównym trenerem kadry Jakubem Chojnowskim, który jest związany z KKK.

Sezon nasza reprezentacja otworzyła marcowym występem w zawodach ICF World Ranking w Oklahoma City, zapoznając się z torem, na którym w lipcu odbędą się mistrzostwa świata, a za dwa lata zawody olimpijskie. Pierwsza wizyta w amerykańskim ośrodku Riversport Rapids dała Polakom wiele ciekawych spostrzeżeń.

– *To techniczny tor, bardzo wymagający. Dodatkową trudność sprawiają panujące tam warunki pogodowe, bardzo ciężkie również dla organizatorów. Nie dość, że jest wietrznie, to jeszcze występują duże wahania temperatur, w ciągu zaledwie dwóch dni nastąpił wzrost o ponad 30 stopni. Takie ekstremalne warunki mogą się przekładać na wyniki. Musimy być przygotowani na szybką adaptację, bo wiele rzeczy może się zmieniać ze startu na start* – podkreśla Zwolińska.

Ona sama cieszy się z faktu, że obiekt jest bardzo selektywny. – *Lubię tory, które wymagają umiejętności technicznych. Wolę je od takich typowo „fizycznych", na których liczy się tylko siła i nie trzeba zbyt dużo myśleć o technice* – tłumaczy, a najlepszym potwierdzeniem jej słów było zwycięstwo, jakie odniosła za oceanem w konkurencji K-1.

Rusza walka o igrzyska 2028

Sukces w Oklahomie odniósł także 38-letni Mateusz Polaczyk.

– *Fajnie było pokazać się w pierwszych zawodach sezonu z tak dobrej strony, tym bardziej, że był to dla nas nowy tor i nowe miejsce. W zasadzie to były takie małe mistrzostwa świata już na początek sezonu, bo do Oklahomy przyjechała cała czołówka* – opowiada były kajakarz Pienin Szczawnica. – *Teraz czekają nas kwalifikacje do kadry. Oczywiście do dobrej formy jeszcze daleko, ale na pewno wykonałem masę bardzo dobrej pracy. To były dopiero pierwsze zawody, więc na lepsze pływanie trzeba poczekać do drugiej części sezonu, kiedy rozpoczniemy walkę w Pucharze Świata i kwalifikacjach olimpijskich* – dodaje.

Plan przygotowań Zwolińskiej jest nieco inny, niż pozostałych zawodników, gdyż jako potrójna medalistka ubiegłorocznych mistrzostw świata jest zwolniona z walki o miejsce w kadrze. Niemniej, tak jak wszyscy inni, musi się starać o przepustkę na igrzyska roku 2028. Tym razem kwalifikacje olimpijskie rozpoczną się wyjątkowo wcześnie, bo już w połowie tego roku, właśnie na mistrzostwach świata w Oklahomie.

– *To przede wszystkim walka o miejsce na igrzyska dla Polski, dlatego będzie to dla mnie priorytet. Do tego mam w tym roku starty w Pucharze Świata, mistrzostwa Europy, mistrzostwa Polski oraz zawody o Puchar Prezydenta Miasta Krakowa. Ten sezon będzie więc wyjątkowo długi i wyczerpujący. Będę go musiała ze swoim sztabem bardzo dobrze zaplanować* – kwituje Zwolińska.

KOPALNIA SOLI WIELICZKA

Odwiedź Kopalnię Soli „Wieliczka"

Trasa Turystyczna - zachwycająca podróż przez historię i kulturę. Idealna na rodzinną wyprawę.

Trasa Górnicza - prawdziwy ekwipunek, realne zadania i niezapomniana przygoda dla odkrywców.

Kup bilet online

www.kopalnia.pl

REKLAMA

KOŃSKIE ZACISZE
BOBOWA

Stajnia z pasją

Jeśli kochasz konie i marzysz o miejscu, gdzie Twoje konie mogą cieszyć się doskonałą opieką, a Ty chcesz rozwijać swoje umiejętności jeździeckie, to Końskie Zacisze jest miejscem, którego szukasz.

W naszym zaciszu :

- znajdziesz **LUKSUSOWY PENSJONAT DLA KONI**
- umówisz się **NA JAZDĘ KONNĄ**
- zarezerwujesz **LOKAL NA SWOJĄ IMPREZĘ**

Szczegóły poznasz na naszej stronie intenetowej oraz facebooku.

tel. 601 702 207
konskie-zacisze.pl

KOŃSKIE ZACISZE BOBOWA – PROFESJONALNA BAZA DLA KONI I JEŹDŹCÓW

Planując zwiedzanie Sądecczyzny i okolic oraz szukając miejsc związanych z aktywnym wypoczynkiem, nie sposób pominąć miejscowości **Jankowa** nieopodal Bobowej. To właśnie tutaj funkcjonuje **Końskie Zacisze Bobowa** – nowoczesny ośrodek jeździecki, który łączy funkcję profesjonalnego pensjonatu dla koni z ofertą rekreacyjną. To miejsce, które stawia na konkretne rozwiązania i wysoką jakość infrastruktury.

PENSJONAT DLA KONI NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE

Dla właścicieli wierzchowców kluczową kwestią jest bezpieczeństwo i komfort zwierzęcia. Ośrodek jeździecki został zaprojektowane tak, aby spełniać standardy nowoczesnej stajni. To idealne rozwiązanie dla osób szukających stałego miejsca dla swojego konia w tej części Małopolski

CO WYRÓŻNIA TAMTEJSZĄ INFRASTRUKTURĘ?

- **Nowoczesna stajnia**: jasne, przestronne boksy wyłożone specjalistyczną gumą, zapewniają zwierzętom odpowiednią przestrzeń i higienę. Solarium i myjki z ciepłą wodą dają możliwość pielęgnacji koni na wysokim poziomie.
- **Całoroczna hala treningowa:** duży atut ośrodka, który pozwala na systematyczną pracę z koniem bez względu na opady deszczu, śnieg czy silny wiatr a także duże upały.
- **Profesjonalne podłoża:** zarówno na hali jak i zewnętrznej ujeżdżalni wysokiej jakości podłoże jeździeckie z piasku kwarcowego umożliwia bezpieczny trening koni sportowych.
- **Codzienne padokowanie:** konie mają do dyspozycji rozległe pastwiska i wybiegi, co jest niezbędne dla ich zdrowia, kondycji fizycznej oraz komfortu psychicznego. Do dyspozycji pozostaje również karuzela dla koni, która zapewnia im dodatkową dawkę ruchu.

Dzięki takiemu zapleczu i wykwalifikowanemu personelowi właściciele mogą mieć pewność, że ich konie są pod fachową opieką, a warunki treningowe nie odbiegają od tych w największych ośrodkach w kraju i za granicą.

NAUKA JAZDY I REKREACJA

Końskie Zacisze Bobowa to nie tylko oferta dla profesjonalistów. Ośrodek prowadzi również **naukę jazdy konnej**. To świetna propozycja dla turystów odwiedzających Sądecczyznę oraz mieszkańców okolic Bobowej, którzy chcą spróbować swoich sił w siodle. Zajęcia prowadzone są przez instruktorów, którzy dopasowują tempo nauki do umiejętności jeźdźca – od pierwszych kroków na lonży po skoki przez przeszkody.

DODATKOWE MOŻLIWOŚCI

Uzupełnieniem oferty ośrodka jest klimatyczny lokal na wynajem. Choć głównym profilem działalności pozostaje jeździectwo, istnieje możliwość zorganizowania w Końskim Zaciszu kameralnych spotkań okolicznościowych. Stylowe wnętrze i bezpośrednie sąsiedztwo stajni nadają takim wydarzeniom unikalny charakter, którego trudno szukać w typowych domach weselnych czy restauracjach.

Jeśli szukasz miejsca, gdzie pasja do koni idzie w parze z porządną infrastrukturą, Końskie Zacisze Bobowa to adres, który warto zapisać. Szczegółowe informacje o dostępności boksów w pensjonacie oraz rezerwacji lekcji jazdy można znaleźć na stronie **końskie-zacisze.pl** oraz na oficjalnym profilu na Facebooku.

Tworzymy środowisko nauki oparte na uważności, jasno określonych zasadach i dobrze przygotowanej przestrzeni. Dzieci uczą się poprzez działanie, doświadczenie, systematyczną pracę, uczą się w spokojnym, uporządkowanym środowisku rozwijając samodzielność, odpowiedzialność i umiejętność współpracy.

Montessori Społeczna Szkoła Podstawowa "Splot" z Oddziałami Dwujęzycznymi

Zespół Szkół Społecznych „Splot" z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Jana Karskiego w Nowym Sączu

www.splot.info
e-mail: splot@splot.info
tel. 184434339

Społeczne Liceum Ogólnokształcące „Splot" z Oddziałami Dwujęzycznymi im. Jana Karskiego

Indywidualny dobór przedmiotów w zakresie rozszerzonym.
Patronat Wydziału Inżynierii Lądowej Politechniki Krakowskiej.
Wymiany międzynarodowe.
Lekcje z native speakerem.
Małe klasy.
Szkolne sesje egzaminacyjne.
Wyjazdy naukowe.

Rozmawiał WOJCIECH MOLENDOWICZ

NIE DA SIĘ ODDAĆ CHWIL ZABRANYCH NAJBLIŻSZYM

Rozmowa z dr. Robertem Bakalarzem, byłym ordynatorem oddziału onkologii sądeckiego szpitala, obecnie koordynator oddziału onkologicznego w Kujawsko-Pomorskim Centrum Pulmunologii w Bydgoszczy.

- Pański niedawny wpis na Facebooku zainspirował mnie do poproszenia o tę rozmowę: „Opuszczenie nowosądeckiej onkologii było dla mnie bardzo trudnym przeżyciem. Czułem się przybity. Zostawiałem tam długo budowany zespół wyjątkowych osób. Uważałem ten zespół za jedyny i niepowtarzalny".

- I to wszystko jest prawda. Napisałem to w szczególnym momencie, w dniu moich urodzin. To było pod wpływem sercowej potrzeby (śmiech)...

- Zrobiło się sentymentalnie.

- No trochę się zrobiło. To jest związane z moimi wewnętrznymi przeżyciami, którymi, tak naprawdę dotąd się nie dzieliłem publicznie. Część osób mogła pomyśleć, że opuściłem sądecki szpital i onkologię, bo wybrałem lepszą pracę, może zdecydowały względy finansowe albo coś jeszcze. Otóż nie. Tak naprawdę ta zmiana podyktowana była względami czysto rodzinnymi. Moja partnerka dostała ciekawą ofertę rozwoju zawodowego. Mogła ziścić swoje marzenia, których niestety nie miała możliwości zrealizować w Nowym Sączu. A chyba każdy mężczyzna wie, co znaczy szczęśliwa kobieta w domu...

- Pańskie serce było rozdarte, kiedy stanął Pan przed wyborem Nowy Sącz czy Bydgoszcz?

- Było potężnie rozdarte. Do dzisiaj pamiętam rozmowę z panią dyrektor Lidią Zelek. To było dla mnie ogromnie trudne. Poszedłem i złożyłem wypowiedzenie, ale po wcześniejszej naszej szczerej rozmowie. I raczej rzadko mi się zdarza, żeby, z powodów jakichś trudności głos mi drżał, a przecież przywykłem do podejmowania trudnych decyzji.

- Czasami na granicy życia i śmierci pacjenta?

- Nie chciałbym tu wyolbrzymiać, ale akurat w mojej specjalizacji jestem zmuszony podejmować trudne decyzje. Mam za sobą już niejedną nieprzespaną noc z tego powodu, bo człowiek zawsze analizuje czy dana decyzja była najlepszą z możliwych. Dlatego też m.in. tyle czasu poświęcam po godzinach dla pracy. Bo przygotowuję i rozważam najbardziej optymalne scenariusze leczenia dla pacjentów. Ponieważ często jest to kwestia - jak pan wspomniał - życia i śmierci jakiegoś człowieka. Nigdy nie chcę takich decyzji podejmować na chybcika. Poza tym nigdy nie traktowałem pracy jak przymusu, że muszę przyjść, odbębnić i już myślę o tym, co będę robił po południu.

- ciąg dalszy strona 41

REKLAMA

REKLAMA

WIŚNIOWSKI

Najlepsze rolety?

ROLETY NA

Inteligentne sterowanie

Nowoczesny design

Skuteczna izolacja

Łączy to, co najlepsze

- Zabiera Pan w głowie pracę do domu?

- Wielokrotnie tak, ale ja jej nawet nie muszę zabierać do domu, bo pracuję po godzinach. Dlatego staram się nie zabierać do domu - mnie po prostu w tym domu nie ma (śmiech). Spędzam w pracy wiele godzin po to, żeby pozamykać pewne sprawy i każdy następny dzień móc zacząć już z poukładanymi w głowie danymi, planami postępowania, leczenia i najwłaściwszych decyzji. A nie chcę robić tego w domu, bo wtedy jest to trudniejsze. A jeśli jeszcze ma się małe dziecko, to człowiek bardziej odczuwa, że zabiera czas dziecku, bo trzeba je odsuwać na dalszy plan. Wolę więc zostać dłużej w pracy. Dziecko niestety nie widzi przez to ojca, ale ja mam spokój i mogę skupić się tym, co w danym momencie wydaje mi się najistotniejsze. Zawsze tak robiłem. Dlatego ktoś ze znajomych mi powiedział, że właściwie to ja większość życia spędziłem w pracy. W dużej mierze jest to prawda. Niestety powiedziała mi to również moja starsza córka, którą bardzo kocham i mieliśmy zawsze bardzo dobry kontakt. Kiedy dorosła, powiedziała mi: „Nie wiesz, ile razy ja na ciebie czekałam, a ty ciągle tylko pracowałeś, pracowałeś i pracowałeś".

- Co Pan wtedy pomyślał?

- Pomyślałem, że to nie było właściwe postępowanie, że robiłem źle. I wtedy zrozumiałem, jak ważny jest każdy dzień, jak ważny jest uśmiech człowieka, któremu można poprawić komfort życia i to życie wydłużyć. A prywatnie wydawało mi się, że w domu wszystko będzie na mnie czekało. Czyli jak miałeś małą dziewczynkę, to ta dziewczynka zawsze będzie mała. Natomiast moja córka bardzo szybko dorosła. Jest już kobietą kończącą studia, a ja nawet nie wiem, kiedy ten czas minął. I wtedy zrozumiałem, że czasu nie da się cofnąć. Że chwil zabranych najbliższym, nie da się im oddać. Dużo później, kiedy urodziła się moja druga córka pomyślałem, że chciałbym już nie popełnić tych samych błędów.

- Jest Pan na dobrej drodze, żeby ich nie popełnić?

- Chyba coś zmieniłem. Przestałem dyżurować, a zawsze miałem bardzo dużo dyżurów. Dyżur to cała doba w pracy, a ja brałem po pięć, sześć, siedem, nieraz nawet i osiem dyżurów w miesiącu. Oprócz tego, że siedziałem po godzinach, to jeszcze jedną trzecią czasu byłem non stop w szpitalu przez całą dobę. Teraz stwierdziłem, że nawet jak się później wraca do domu, ale jednak jest się w tym domu, jak dziecko śpi przy ojcu, jak jeszcze może trochę się z tym ojcem pobawić, jest to ten bezcenny czas, którego nie mogę jej zabierać. I to zmieniłem w swoim życiu. Zrezygnowałem z dyżurów.

Druga rzecz, którą zmieniłem: w Bydgoszczy pracuję w wysokospecjalistycznym ośrodku leczenia jednego nowotworu – raka płuc. Mam dwie specjalizacje z chorób płuc i z onkologii klinicznej, więc te specjalizacje mocno mi się tutaj zazębiają i nakładają w pracy na takim oddziale. Zresztą od zawsze z tyłu głowy miałem, że fajnie byłoby taki właśnie oddział poprowadzić. Dlatego, że onkologia w tej chwili rozwija się ogromnie dynamicznie. A rak płuc w częstotliwości chyba prześcignął już w ostatnich latach raka piersi. Możliwości terapeutyczne zaś, jeśli chodzi o najnowocześniejsze postępowanie, w tym nowotworze są obecnie najbardziej rozbudowane....

- A gdyby Pan mógł cofnąć czas i wrócić do momentu, kiedy starsza córka była mała, to zrezygnowałby Pan z tej dodatkowej pracy? Jak by Pan rozstrzygnął dylemat: więcej czasu dla pacjentów czy więcej czasu dla córki. Wybrałby pan córkę?

- Myślę, że lepiej bym to wypośrodkował, zbalansował. Jak robię to teraz. Ale zasadniczo to trudne pytanie.

- No chyba trudne.

- Ale ja powiem, dlaczego jest trudne. Otóż według mnie specjalista, jeżeli chce być dobrym lekarzem, to musi przejść katorżniczą pracę. Musi przejść duże obciążenie dyżurami, musi stanąć wobec różnych, nieraz dramatycznych i nagłych decyzji.

- ciąg dalszy nastepna strona

REKLAMA

REKLAMA

Fot. Wojciech Molendowicz

Czytanie po nocach, doucza-nie się od starszych kolegów i w trakcie pracy doczytywanie, żeby być na bieżąco. Z takiego swobodnego podejścia na zasadzie, że siedzę w domu i piję kawkę, nigdy nie wykuje się prawdziwie dobrego le-karza. Takiego, który będzie odważnie podejmował decyzje, który przede wszystkim będzie wiedział, że każda jego decyzja może mieć poważne następ-stwa. Niestety do tego trzeba - moim skromnym zdaniem – spędzić setki i tysiące godzin w pracy. Trzeba to przejść, zobaczyć, przeżyć i przedyżu-rować. Więc nie żałuję, że jako bardzo młody lekarz przez większość czasu prawie nie wychodziłem ze szpitala. Jeżeli czegoś żałuję, to tego, że kiedy już miałem jedną specjalizację i potem robiłem drugą, to należało wtedy przystopować z dodatkową pracą dyżurową.

Czyli najpierw trzeba być zmuszonym do podejmowania trudnych decyzji. Inaczej z ta-kiego lekarza nie stworzymy kogoś, kto będzie w przyszłości podejmował odważne decyzje. Ja to widziałem i widzę w pra-cy przez dziesiątki lat. Znałem mnóstwo lekarzy, którzy bali się podjąć decyzję, dopóki jej nie skonsultowali z pięcioma innymi osobami. Ktoś powie: „To bardzo dobrze, że się kon-sultuje". Zgadzam się z tym, zawsze trzeba się konsultować. Tylko lekarz specjalista to musi być człowiek, który jest zdolny podejmować trudne de-cyzje samodzielnie. Nawet jeśli jest czas na konsultacje, to nikt nie weźmie odpowiedzialności za moją decyzję. Tego się na-bywa latami, ale tylko ciężką pracą i zarwanymi nocami.

- Chciałem jeszcze wró-cić do starszej córką, która miała żal, że nigdy nie było Pana w domu, a teraz już kończy studia. Ona będzie lekarką?

- Myślę, że byłaby bardzo dobrym lekarzem, ale chyba się mocno przyczyniłem do tego, że nim nie będzie. Wi-dząc pracę swojej matki i moją stwierdziła, że wszytko tylko nie medycyna. Jest humanist-ką i zdecydowanie powiedziała już w szkole, że przez to wła-śnie, jak rodzice pracowali, ile czasu poświęcali pracy, ona nigdy nie będzie lekarzem i nie chce mieć z medycyną nic wspólnego. Mam nadzieję, że młodsza córka, która ma dopiero trzy i pół roczku, inaczej się do tego nastawi. Starsza córka, kiedy najwięcej pracowałem była w najtrud-niejszym okresie. Człowiek wracał wykończony z pracy, czasami mówiło się, że ma się już dość wszystkiego. A ona to wszystko widziała, słyszała i uznała, że nigdy na medycy-nę nie pójdzie. Być może uda mi się coś innego zaszczepić w młodszej córce. Teraz jestem starszy i mam więcej dystansu do wszystkiego.

- Z tego jednego wpisu na Facebooku wyszła nam powiastka życiowa i filo-zoficzna.

- Przepraszam, jeśli zmę-czyłem czytelników. Obawiam się, że wiele osób może tego nie zrozumieć, bo przecież w No-wym Sączu mnie się świetnie pracowało. Miałem wielu przyjaciół przez tych jedena-ście lat. A w Bydgoszczy od-wrotnie - nie mam tu żadnych kontaktów. Przed przyjazdem nie znałem tu kompletnie niko-go. Nawet miasta nie znałem, bo przecież, jadąc nad morze, mija się Bydgoszcz bokiem. Można powiedzieć, że zacząłem swoje życie w jakimś sensie od początku. Tutaj taka dygre-sja: kiedyś będąc na wczasach w Hiszpanii rozmawiałem z miejscowymi. Zauważyłem, że było bardzo dużo ofert na sprzedaż mieszkań w faj-nym turystycznym miejscu nad morzem. Nie mogłem zrozumieć dlaczego tak się dzieje? A oni mi wytłumaczyli: „Wielu Hiszpanów ma takie podejście, że zaczynają swoje życie, dajmy na to, w górach. Budują dom, pracują, robią tam karierę, zakładają rodzi-nę. Mija dziesięć lat, wszystko sprzedają, wyprowadzają się nad morze i nad morzem zaczynają od nowa". Ale nie muszą już budować, bo kupują sobie gotowe za to, co gdzieś sprzedali. Zaczynają nową pracę i wszystko na nowo. Pomyślałem wtedy, jakie to jest niepolskie i jakie to szalone. Ale dzisiaj na własnej skórze odczułem, że jeśli nie chcemy się zestarzeć mentalnie - bo fizycznie to trudno mi jest za to odpowiadać - to potrzebuje-my zmian. To jest taka moja dygresja na marginesie prze-prowadzki z Kielc do Nowego Sącza, a teraz do Bydgoszczy. I wydaje mi się, że zmiany po-wodują, iż zmuszeni jesteśmy do ruchu, do budowania cze-goś, zaczynania w jakimś sen-sie od nowa. Do zawieszania sobie coraz wyżej poprzeczki i nie ma takiej chwili, żebyśmy spoczęli na laurach. Człowiek będąc ciągle w biegu nie ma czasu się zestarzeć. To taka moja teoria. Oczywiście nie jest to równoznaczne z długim życiem, ale wydaje mi się, że może być związane z lepszym życiem.

REKLAMA

W Muszyniance oszczędzamy wodę dla przyszłych pokoleń. Chronimy zasoby przyrody, ograniczamy zużycie energii.

Dbamy o środowisko odzyskując plastik, szkło, papier, by kraina Muszynianki pozostała w najlepszej kondycji!

Muszynianka inwestuje w odnawialne źródła energii, konsekwentnie angażujemy się w działania na rzecz ochrony środowiska naturalnego. Kontynuując tę proekologiczną strategię Muszynianka stała się akcjonariuszem w PolKa, by jako jeden z liderów tworzyć w Polsce funkcjonalny System Kaucyjny.

Zgodnie z unijną dyrektywą już w 2025 roku producenci będą zobowiązani do zbiórki 77 proc. sprzedanych butelek i ich recyklingu.

Muszynianka

www.muszynianka.pl

PATRONAT HONOROWY:

Krzysztof Jan Klęczar
Wojewoda Małopolski

WOJEWODA MAŁOPOLSKI

Wójt Gminy Łącko
i Gminny Ośrodek Kultury w Łącku
serdecznie zapraszają na

PATRONAT HONOROWY:

Witold Kozłowski
Wicemarszałek Województwa Małopolskiego

MAŁOPOLSKA

ŚWIĘTO KWITNĄCEJ JABŁONI

ŁĄCKO, 9-10 MAJA 2026 r.

SOBOTA - 9.05.2026 r.

ŁĄCKO FEST RUN - cykl imprez biegowych
11^{00} PÓŁMARATON ŁĄCKI – bieg 20 km (start Rynek w Łącku)
11^{30} GRUSZA – marsz 20 km (start Rynek w Łącku)
12^{00} GÓRSKI BIEG KWITNĄCEJ JABŁONI O PUCHAR WÓJTA GMINY ŁĄCKO – bieg 10 km (start Wola Kosnowa – Tomaszki)
12^{30} JABŁOŃ – marsz 10 km – (start Wola Kosnowa – Tomaszki)
14^{00} ŚWARNE ŚLIWKI – biegi dla dzieci i młodzieży (start stadion Orlik w Łącku)

14^{00} - WALNE ZGROMADZENIE CZŁONKÓW TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW ZIEMI ŁĄCKIEJ
(Restauracja Zajazd Kałużna w Zabrzeży)

14^{00} - KONFERENCJA SADOWNICZA
(Sala Konferencyjna w CKiEM W ŁĄCKU)

14^{00} - OTWARTE ZAWODY WĘDKARSKIE na DUNAJCU
(Zbiórka u ujścia Czarnej Wody do Dunajca)

17^{00} - 2B DANCE - Pokazy Taneczne
(Amfiteatr na Jeżowej)

18^{00} - Koncert zespołu młodzieżowego GOK

18^{30} - Wręczenie nagród z zawodów biegowych

19^{00} - Koncert zespołu POTOCK

21^{00}-24^{00} - ZABAWA TANECZNA POD GWIAZDAMI KRUCA BANDA

NIEDZIELA - 10.05.2026 r.

9^{00} - Msza św. w kościele parafialnym w Łącku

10^{20} - Przemarsz korowodu do Amfiteatru na Jeżowej

11^{00} - UROCZYSTE OTWARCIE ŚWIĘTA KWITNĄCEJ JABŁONI

Program regionalny z udziałem Orkiestry Dętej im. Tadeusza Moryto,
ZESPOŁÓW REGIONALNYCH:
Małe Łącko, Czarny Potoczek, Mali Zagorzynianie, Mali Maszkowianie, Kiyrpecki, Górale Łaccy

16^{30} - KABARET EWG

18^{30} - LANBERRY

20^{30} - GROMEE

GMINA ŁĄCKO

GOK w Łącku

WSTĘP WOLNY

SPONSORZY

RESTAURACJA POD JABŁONIĄ
TERMY BUKOVINA
STEFAR
OWOPOL Rusnarczyk & Koza
ŁĄCKI BANK SPÓŁDZIELCZY
OWOC ŁĄCKI
MAURER
MRÓWKA ŁĄCKO
KOMPLEX-BUD Łukasz Wójcik

ORGANIZATOR ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN W PROGRAMIE

Rozmawiał WOJCIECH MOLENDOWICZ

MIAŁAM POCZUCIE, ŻE KRYNICA LEŻY GDZIEŚ NA KOŃCU ŚWIATA

Rozmowa z Grażyną Kaim redaktor naczelną „Przełomu" Tygodnika Ziemi Chrzanowskiej.

Fot. Renata Gabrielska

- ciąg dalszy strona 47

REKLAMA

REKLAMA

5. Dziecięcy Festiwal Kulturalny

MOK MIEJSKI OŚRODEK KULTURY W NOWYM SĄCZU

25 maja – 3 czerwca 2026

Miejski Ośrodek Kultury w Nowym Sączu

5. Festiwal Piosenki Dziecięcej *Tęczowe Do...Re...Mi...*

Koncert *Kocham Cię Mamo*

1. Sądeckie spotkania muzyczno-taneczne *Na Peronie Kultury*

Spektakl *Królewna Śnieżka i krasnoludki*

Spektakl *O Rybaku i Złotej Rybce*

Spektakl *O Dwóch takich, co ukradli księżyc*

www.mok.nowysacz.pl

'26 Sądecka Jesień Kulturalna

MOK

Patronat Honorowy: Prezydent Miasta Nowego Sącza Ludomir Handzel

AMFITEATR

12 WRZEŚNIA 2026

PERFECT

& Łukasz Drapała

NOWY SĄCZ

www.sadeckajesienkulturalna.pl

- Ludzie płacą niemałe pieniądze, żeby pobyć trochę w Krynicy. A ty porzuciłaś Krynicę przed laty.

- Porzucilam? Ja po prostu z niej wyjechalam, w konkretnym celu, na studia. Porzucić kogoś/coś, to chyba coś innego niż w moim przypadku. O porzuconym miejscu czy człowieku zapomina się. A ja ciągle myślę o Krynicy. Ona zajmuje bardzo ważne miejsce w moim sercu. Wyjechalam z Krynicy, jak wielu młodych ludzi, na studia do Krakowa. Ale, wyjeżdżając na te studia, czulam, że ja na stałe już do Krynicy nie wrócę. Mialam poczucie, że Krynica leży gdzieś na końcu świata. Żeby tam dotrzeć, potrzeba było wielu godzin podróży. Jeszcze dobitniej uświadomila mi to koleżanka z pokoju w akademiku, którą zaprosilam do Krynicy. Pojechałyśmy pociągiem, a ona powiedziała: „Grażyna, tutaj się kończą tory? Są tylko w jedną stronę? Pociąg już dalej nie jedzie?" Dla mnie było to coś oczywistego, ale ona była zwyczajnie zszokowana.

- I wtedy pomyślałaś: „Ja muszę stąd uciekać"?

- Ale to nie była ucieczka! Myśląc o dorosłym życiu, uznalam, że pewnie zostanę w Krakowie, bo stamtąd jest wszędzie bliżej niż z mojego końca świata. Wyjeżdżając, przeczuwalam, że na stałe nie wrócę. I tak się stało. Potem przeniosłam się z Krakowa do Trzebini i Chrzanowa. Tam pociągnęło mnie serce i tam był mój narzeczony.

- I skąd można dojechać do Krakowa i Katowic w 20 minut.

- Komunikacyjnie to jest inny świat i tory prowadzą w dwie strony (śmiech)...

- A w tym dawnym świecie, w Krynicy masz takie miejsca, za którymi tęsknisz?

- Regularnie przyjeżdżam do Krynicy. Jakkolwiek to zabrzmi, jednym z moich ważnych miejsc jest cmentarz, gdzie od lat spoczywa mój tato, a od niedawna również mama. Ale ja wszędzie, gdzie jestem, lubię spacerować po cmentarzach. No dobrze, ale jak teraz do Krynicy przyjeżdżam, to - mówię to z ogromnym bólem – wydaje mi się strasznie jarmarczna. Właśnie to słowo najlepiej oddaje obecny klimat mojego miasta. A zwłaszcza jego głównej ulicy Piłsudskiego. Bywa, że z koleżanką wzdychamy do tej spokojnej Krynicy, gdzie nie było tyle pstrokatych straganów. Kiedyś czuło się tam kurortowy klimat. Ja wiem, że Krynica mocno się rozwinęła i mówimy o dwóch zupełnie innych miastach. W moim miasteczku na ulicy przed domem graliśmy w badmintona, jeździliśmy na rowerze, a jeśli przejechał od czasu do czasu samochód, to się schodziło na bok. No dobrze, rozpędzilam się... Ważnym moim miejscem była kiedyś Jaworzyna. Powtarzam się, ale to też była zupełnie inna Jaworzyna niż dziś. Cicha i pusta. Czas podstawówki i liceum to były właściwie wieczne biwaki, weekendy rzadko spędzało się w domu. Co tydzień wychodzilam w góry albo ze szkolnym PTTK, albo z harcerzami, albo z paczką znajomych. Najmniej zmienila się – głównie myślę o alejkach spacerowych – Góra Parkowa. Klimat pozostał. Zawsze lubilam tam chodzić. Mieszkaliśmy na ulicy Pięknej i mialam widok z okien właśnie na Górę Parkową. Najpiękniejsza była jesienią, taka kolorowa. Teraz głównym elementem krajobrazu jest wieża. No i jako nastolatki lubiliśmy łazić po deptaku. Słowo „łazić" bardzo do tej czynności pasuje. A zimą Krynica mojego dzieciństwa zasypana była śniegiem. Dla pieszych przekopane były tunele, czasami naprawdę wysokie.

- Sentymentalnie się zrobiło, więc zmieniamy lokalizację. Przenosimy się do Trzebini i do Chrzanowa. Wybrałaś do życia miejsce, które wielu chętnie zamieniłoby właśnie na Krynicę...

- Jak na przykład Wojciech Molendowicz (śmiech). Ani Chrzanów, ani Trzebinia to nie były lokalizacje mojego pierwszego wyboru. To nie było moje wymarzone miejsce na Ziemi. Powiedzialam, że stąd był mój narzeczony i tutaj mieliśmy jakieś lokum. No i myślalam o przyszłej pracy, a szlam na dziennikarstwo i wiedzialam, że ja chcę ten zawód uprawiać. Terminowalam w „Gazecie Wyborczej" w Krakowie, „Dziennik Polski" poszukiwał dziennikarzy, więc uznalam, że jakoś z tej Trzebini będę musiała dojeżdżać.

- ciąg dalszy następna strona

MATERIAŁ WŁASNY MOK

REKLAMA

- Ostatecznie związałaś się z zupełnie inną redakcją.

- Bo w poszukiwania włączyla się rodzina mojego narzeczonego. Powiedzieli, że w Trzebini jest świetna gazeta i może bym tam spróbowala. To byl czas odradzania się polskiej samorządności i chrzanowski „Przelom" byl gazetą coraz popularniejszą. Byl rok 1995, ja świeżo po studiach, a wtedy bylam bardziej skłonna do słuchania podpowiedzi niż obecnie. Pamiętam do dziś pierwszą rozmowę, kiedy zasiadlam przed Alą Molendą i Piotrkiem Tarczyńskim na długą rozmowę. Wciągnął mnie ten wir i tak mijały mi na współpracy z nową redakcją kolejne miesiące...

- Ja dokończę to zdanie: i tak minęło Ci w „Przelomie" 30 lat, z czego ponad 20 jako redaktor naczelna.

- Tak właśnie się stalo. Bardzo duże znaczenie miało to, że ja po drodze przeszlam całą redakcyjną ścieżkę awansu. Po mnie już nikt w „Przelomie" takiej szansy nie dostal. Zamurowalam to przejście i koniec.

WYJECHAŁAM Z KRYNICY, JAK WIELU MŁODYCH LUDZI, NA STUDIA DO KRAKOWA. ALE WYJEŻDŻAJĄC NA TE STUDIA CZUŁAM, ŻE JA NA STAŁE JUŻ DO KRYNICY NIE WRÓCĘ. MIAŁAM POCZUCIE, ŻE KRYNICA LEŻY GDZIEŚ NA KOŃCU ŚWIATA

- Zasiedziałaś się?

- Wiesz, jak jest w pracy. Występuje sinusoida emocji. Są momenty znużenia, potem jest fajnie i znowu niefajnie. To normalne. I jak już się rozglądalam za jakąś zmianą, to proponowano mi np. awans na redaktora prowadzącego, potem sekretarza redakcji, aż wreszcie na naczelną. Ale oprócz tych funkcji ciągle piszę. No i to jest tak strasznie dużo różnej roboty, że już nie mialam czasu się tym znużyć...

- Grażyna ja, Cię nie namawiam do jakichś podsumowań tych 30 lat, ale skoro już rozmawiamy na wysokim C, to może jest to jednak jakaś okazja na takie zdanie.

- To były dla mnie bardzo rozwojowe lata! Ja się potężnie rozwinęlam. Ta praca po prostu mnie ukształtowala. Nauczyla mnie odwagi, buńczuczności, przyzwoitości... Czego jeszcze? Systematyczności mnie nie nauczyla (śmiech). Ale oddzielania życia prywatnego od życia zawodowego już tak.

- W sensie „nie biorę roboty do domu"?

REKLAMA

- Nie, tego absolutnie mnie nie nauczyla! Od 30 lat biorę robotę do domu, nalogowo. Nieprecyzyjnie się wyrazilam. Chodzi mi o to, że jeżeli np. atakuję kogoś na lamach za jego działania zawodowe na publicznym stanowisku, to nie znaczy, że ja go nie lubię jako Iksińskiego, jako człowieka. Tego się w „Przełomie" nauczylam, a to wcale nie jest takie latwe. A z zabieraniem roboty do domu... Mawiam, że ja tylko czasami przerywam pracę. I tak przez 30 lat. Nigdy nie jest tak, że już nic nie ma do zrobienie. Ta praca to jest perpetuum mobile, można pracować cały czas. Więc ja tylko przerywam pracę. No dobrze, od jakiegoś czasu staram się, mieć luźniejsze weekendy.

- I po 20 latach na stanowisku naczelnej czujesz, że jesteś ciągle bardzo energetyczna?

- Jestem, ale potrafię moją energią zarządzać. Poniedziałek, wtorek i środa to są te dni, kiedy faktycznie cały czas pracuję. W czwartek, kiedy gazeta się ukazuje, już jest zdecydowanie luźniej. Staram się mój czas tak organizować, żebym miała go trochę wolnego, na spotkania ze znajomymi albo, żeby pojechać w góry.

- Czyli jednak od 30 lat biegasz jak chomik w kołowrotku. Widziałaś na pewno, jak to wygląda.

- No trochę tak jest. Ale jeśli wiesz, jak z tego kołowrotka wyjść, to może podzielisz się ze mną receptą?

- Przecież nie wiem jak wyjść! Ale słucham Ciebie z ogromną satysfakcją, bo wydawało mi się, że tylko ja tak mam. Trochę mi ulżyło. Kiedyś „Przełom" należał do największych tygodników lokalnych w Polsce. Teraz są ciężkie czasy dla prasy lokalnej.

- Sytuacja na rynku mediów lokalnych zaczęła się zmienić stopniowo wraz z rozwojem internetu. Prasa lokalna od lat jest na równi pochyłej. W tej chwili zostały podjęte jakieś działania na szczeblu centralnym, żeby papier ratować. Ja jednak myślę, że to się dzieje co najmniej o pięć, a może dziesięć lat za późno. Dzisiaj pewnie wszystkie redakcje tygodników lokalnych mają swoje portale, bo bez tego się nie da współcześnie funkcjonować na rynku. Ale dla takich redakcji jak nasza papier zawsze był i jest ważny. Żeby dotrzeć do tych ekskluzywnych treści w gazecie, papierowej czytelnik musi wydać pieniądze na swój egzemplarz „Przełomu". Myślę też, że żadna redakcja podobna do naszej nie jest w stanie stworzyć dwóch contentów – osobnego do gazety i osobnego do portalu, więc te treści siłą rzeczy muszą się jakoś przenikać. Dlatego m.in. w internecie oferowaliśmy tylko fragmenty tekstów, a kto chciał więcej musiał sięgnąć po gazetę. Niestety powszechna jest obecnie tendencja, żeby nie czytać dłuższych treści. Wystarczy, że coś nam mignie przed oczami i już pędzimy dalej, choć pewnie czytelnik niewiele się dowiedział. Ale to niestety obowiązujący model czytelnictwa. No dobrze, nie narzekajmy na ciężką sytuację. Uważam, że jak się skończy prasa lokalna, to społeczeństwo obywatelskie będzie zagrożone. Będzie dużo łatwiej sterowalne, bo samorządy różnych szczebli mają swoje tuby propagandowe i social media. Oni już teraz mają tyle kanałów, żeby dotrzeć do ludzkich umysłów, a jeżeli jeszcze nie będzie prasy lokalnej, niezależnej, która po prostu pokaże czasem, że król jest nagi, to skąd ludzie będą czerpać sprawdzoną, krytyczną wiedzę? A nie jest tajemnicą, że wiele lokalnych tytułów już się pozamykało. Dobrze to widać na przykładzie Ameryki, gdzie w oczy aż kłują białe plamy pozbawione mediów lokalnych. U nas się to dopiero zaczyna.

> ***MAWIAM, ŻE JA TYLKO CZASAMI PRZERYWAM PRACĘ. I TAK PRZEZ 30 LAT. NIGDY NIE JEST TAK, ŻE JUŻ NIC NIE MA DO ZROBIENIE. TA PRACA TO JEST PERPETUUM MOBILE, MOŻNA PRACOWAĆ CAŁY CZAS***

REKLAMA

NOSTALGIA, INNOWACJA I LETNIE SZALEŃSTWO, CZYLI LODY KORAL I BRACIA KORAL W 2026

Sezon 2026 w PPL Koral to czas, w którym tradycja spotyka się z dynamiką współczesnego świata. Choć fundamentem tegorocznej strategii pozostaje „nostalgia" i powrót do smaków kształtujących pokolenia, sezon ten stanowi przede wszystkim precyzyjną odpowiedź na różnorodne potrzeby współczesnego konsumenta. Firma po raz kolejny udowadnia, że bycie liderem rynku wymaga ciągłego dialogu z odbiorcą.

„PRZEŁAMUJEMY LODY" – STRATEGICZNE SPOTKANIE DWÓCH POKOLEŃ

Sezon 2026 w PPL Koral zapowiada się wyjątkowo intensywnie. Po sukcesach minionego roku, który ugruntował pozycję marki, firma wkracza w nowy sezon z jasną misją. Fundamentem tegorocznej kampanii jest duet, który budzi zainteresowanie mediów – Małgorzata Kożuchowska oraz Julia Wieniawa.

Dobór ambasadorek nie jest przypadkowy. Małgorzata Kożuchowska, uosobienie elegancji i doświadczenia, stała się twarzą linii premium BRACIA KORAL. Jej wizerunek przyciąga dojrzałych konsumentów, dla których w lodach liczą się jakość, tradycyjna receptura i wyrafinowany smak. Z kolei Julia Wieniawa – ikona młodego pokolenia, trendsetterka i aktywna twórczyni w mediach społecznościowych – jako ambasadorka marki Koral stanowi pomost między marką a pokoleniem Gen Z i Millenialsów.

Hasło „Przełamujemy lody" zyskuje wymiar metaforyczny. W świecie pełnym podziałów, wspólne celebrowanie chwil – niezależnie od tego, czy serwowane są lody w pucharku, czy klasyka na patyku – potrafi wygasić wszelkie napięcia. Koral udowadnia, że letnia beztroska łączy nawet najbardziej odległe światy.

Spoty reklamowe z udziałem ambasadorek będą emitowane w telewizji w najlepszym czasie antenowym, na platformach VoD, w kinach, radiu i outdoorze, w tym również na ekranach LED oraz w mediach i magazynach lajfstajlowych.

PORTFOLIO 2026 – OD SMAKÓW WSPOMNIEŃ PO LODY FUNKCJONALNE

Tegoroczna oferta to mistrzowski balans między sentymentem a innowacją. Koral doskonale rozumie, że nostalgia to nie tylko smak, ale przede wszystkim emocje, dlatego znaczna część portfolio nawiązuje do przeszłości, tworząc fundament pod nowe wspomnienia. Powróciły lody Pando, Lulek czy Tartufo, czyli smaki, które wielu konsumentów pamięta z własnego dzieciństwa, a dziś mogą podzielić się nimi z kolejnym pokoleniem.

Wśród nowości Koral 2026 w linii premium pojawiły się lody **Grand Biała Czekolada i Pistacja, Grand G.O.A.T. Royal Pistachio** oraz **BRACIA KORAL Biała Czekolada i Pistacja z Sosem Malinowym** w opakowaniu familijnym. W ofercie znajdziemy również młodzieżowe hity we współpracy z influencerami: lody **Baza** o smaku pianek marshmallow i **Ekipa Multiverse**.

W odpowiedzi na rosnące zapytania dotyczące rozwoju oferty w stronę zdrowego stylu życia, portfolio na rok 2026 przeszło istotną ewolucję. Obok kultowych propozycji, silny akcent położono na produkty funkcjonalne. W bieżącym sezonie do dystrybucji trafiły **lody OSHEE Vitamin** jako odpowiedź na potrzebę orzeźwienia z wartością dodaną w postaci witamin.

INSPIRACJA PŁYNĄCA Z DIALOGU

Wiele produktów w portfolio, w tym popularny Świderek, Kostka Śnieżna czy lody familijne na prawdziwej śmietance marki BRACIA KORAL zyskało status ikon rynku nie przez przypadek. Za sukcesami projektów produktowych Koral stoi przede wszystkim analityczne podejście do głosu klientów. Media społecznościowe pełnią rolę laboratorium badawczego. Analiza próśb o powrót dawnych hitów oraz sugestii dotyczących połączeń smakowych stanowi fundament pracy nad nowościami.

KORAL W TERENIE I W SIECI

Strategia marki na 2026 rok nie ogranicza się do klasycznych mediów. Przepis na udane lato to także bezpośredni kontakt z konsumentem poprzez Lód Truck Koral, który wyrusza w trasę po Polsce. Równolegle wystartował konkurs „Wkręć się z Koral!", stymulujący aktywność fanów i pozwalający im dzielić się własnymi historiami. Ten interaktywny wymiar kampanii sprawia, że marka funkcjonuje nie tylko w zamrażarkach, ale przede wszystkim w codziennym dyskursie w mediach społecznościowych, gdzie konsumenci stają się współtwórcami sukcesu PPL Koral.

PROGNOZY NA 2026

Branża lodowa jest silnie uzależniona od warunków atmosferycznych – wysoka temperatura stanowi naturalny akcelerator sprzedaży. Ambicje marki na rok 2026 sięgają jednak dalej niż tylko prognozy pogody. Celem jest budowanie obecności w życiu konsumenta niezależnie od słupka rtęci. Dzięki silnej dywersyfikacji portfolio – od lodów impulsowych po familijne, od tradycyjnych receptur po lody proteinowe – marka dąży do stabilnego wzrostu i wysokiej satysfakcji klientów. Połączenie najwyższej jakości, emocjonalnego zaangażowania i stałego kontaktu z odbiorcą stanowi gwarancję sukcesu w nadchodzącym sezonie. Lato 2026 to czas, w którym wybór lodów staje się celebracją wspólnego spędzania czasu i radości z każdej chwili.

REKLAMA

BRACIA KORAL 1979

PRZEŁAMUJEMY LODY

Wsparcie, kiedy go potrzebujesz:

- Bezpłatna pomoc psychologiczno-pedagogiczna.
- Pedagog i psycholog zawsze do dyspozycji.
- Indywidualne konsultacje, warsztaty i realne wsparcie w trudnych momentach.

Dodatkowe umiejętności za free:

- Bezpłatne kursy i szkolenia podnoszące kwalifikacje.
- Nowe certyfikaty i uprawnienia jeszcze w trakcie nauki.

Kwalifikacje rolnicze i agroturystyczne:

- Szkoła daje uprawnienia do przejmowania i prowadzenia gospodarstw rolnych.
- Możliwość prowadzenia gospodarstw agroturystycznych zgodnie z obowiązującymi przepisami.

Zdobądź zawód. Rób swoje.

Szkoła wielu możliwości

Dołącz do nas!

Internat w atrakcyjnej cenie

CZEKAMY NA CIEBIE!

Hańczowa 80
38-316 Wysowa-Zdrój
www.zsr-hanczowa.pl
tel.: 18 353 20 04
e- mail: sekretariat@zsr-hanczowa.pl
FB: www.facebook.com/zsrhanczowa

OFERTA EDUKACYJNA

Zespół Szkół Centrum Kształcenia Rolniczego w Hańczowej

Organ prowadzący: Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Patronat naukowy nad szkołą sprawuje: Uniwersytet Rolniczy

Partnerzy: WIALAN

BEZPŁATNE KURSY KWALIFIKACYJNE DLA DOROSŁYCH:

ROLNIK
KUCHARZ

Tylko 2 semestry! Pełne Kwalifikacje!

OFERTA KSZTAŁCENIA:

Technikum

- Technik mechanizacji rolnictwa i agrotroniki: dodatkowe umiejętności: obsługa maszyn leśnych - **TYLKO U NAS!**
- Technik turystyki na obszarach wiejskich
- Technik żywienia i usług gastronomicznych
- Technik hodowca koni - klasa patronacka SKH "Gładyszów"

Szkoła Branżowa I stopnia

- Mechanik- operator pojazdów i maszyn rolniczych: dodatkowe umiejętności: obsługa maszyn leśnych - **TYLKO U NAS!**
- Cukiernik - **NOWOŚĆ**
- Kucharz

Centrum Kształcenia Ustawicznego

Wybierz zawód i ogarnij przyszłość:

- Nowoczesne profile dopasowane do realnych potrzeb rynku.
- Mega wyposażone pracownie: agromechanika, gastro, turystyka.
- Prawo jazdy kat. B i T w trakcie nauki.
- Klasy patronackie i uniwersyteckie – uczysz się od ludzi z branży.
- Staże i praktyki w Polsce i za granicą (Erasmus+).
- Praktyka w topowych miejscach.
- Branżowe wyjazdy, szkolenia i projekty zamiast nudnej teorii.

Szkoła, do której chce się chodzić:

- Luźna atmosfera i wsparcie na każdym kroku.
- Nowoczesny, bezpieczny obiekt.
- Klimatyczna lokalizacja w Beskidzie Niskim, obok uzdrowiska Wysowa-Zdrój.

REKLAMA

WAKACJE PEŁNE PASJI I PRZYGÓD. DLACZEGO PÓŁKOLONIE Z AKADEMIĄ BESKIDKA TO NAJLEPSZY WYBÓR DLA TWOJEGO DZIECKA?

Kiedy wybrzmiewa ostatni szkolny dzwonek, przed rodzicami staje nie lada wyzwanie: jak zorganizować dziecku czas, by wakacje były bezpieczne, aktywne i rozwijające? Odpowiedź od ponad dekady pozostaje ta sama – Półkolonie Letnie w Nowym Sączu z Akademią Beskidka. To tutaj pasja spotyka się z profesjonalizmem, a wakacyjna nuda zamienia się w wielką przygodę.

Bezpieczeństwo i zaufanie budowane latami

Akademia Beskidka to nie tylko organizator wypoczynku, to przede wszystkim zespół doświadczonych pedagogów, instruktorów i pasjonatów pracy z dziećmi, którzy sami są rodzicami. Ta perspektywa pozwala na stworzenie oferty, która idealnie trafia w potrzeby obu stron: dzieci marzących o zabawie i rodziców oczekujących najwyższych standardów opieki.

Półkolonie odbywają się w sprawdzonym punkcie przy ul. Nadbrzeżnej 40 w Nowym Sączu - Pensjonat Maja i Chata Zbója. Lokalizacja ta zapewnia nie tylko doskonałą infrastrukturę do zajęć sportowych i rekreacyjnych, ale także logistyczny komfort dla opiekunów. Organizatorzy wychodzą naprzeciw potrzebom pracujących rodziców, oferując opiekę w godzinach od 6:45 do 16:30. Dziesięć godzin wypełnionych aktywnościami to gwarancja, że dziecko spędzi czas produktywnie, a rodzic może spokojnie realizować swoje obowiązki zawodowe.

Program, który inspiruje: Od technologii po survival

Tym, co wyróżnia ofertę Akademii Beskidka na tle innych propozycji, jest niezwykła różnorodność tematyczna. Program na lato 2026 został zaprojektowany tak, by angażować dzieci o różnych temperamentach – od małych artystów i fanów nowoczesnych technologii, po sportowców i odkrywców natury.

Wśród najważniejszych punktów programu znajdziemy m.in.:

Akademia Młodego YouTubera i warsztaty Procreate: Dzieci uczą się, jak kreatywnie i bezpiecznie korzystać z nowych mediów, tworząc animacje na iPadach i poznając tajniki montażu.

Nocne biwakowanie: To absolutny hit każdych półkolonii. Możliwość spędzenia nocy pod namiotami, poza domem, w kontrolowanych, bezpiecznych warunkach to dla wielu uczestników pierwsza lekcja samodzielności i wielkie emocje.

Wielka Spartakiada Sportowa oraz wyjścia na basen: Regularna aktywność fizyczna, która uczy zdrowej rywalizacji i dbałości o kondycję.

Park dmuchańców - to dzieci lubią najbardziej

Przygoda poza miastem: Rabkoland i park linowy w Ptaszkowej

Półkolonie z Akademią Beskidka to nie tylko stacjonarne zajęcia. Każdy turnus wzbogacony jest o atrakcyjne wycieczki. W planach na rok 2026 znalazły się całodniowe wycieczki do **Parku Rozrywki Rabkoland**, gdzie na dzieci czeka moc atrakcji dostosowanych do ich wieku, oraz wyjazd do **Ptaszkowej**, gdzie uczestnicy mogą sprawdzić swoją odwagę w parku linowym.

Zdrowe ciało, zdrowy duch

Dużą wagę przywiązujemy do żywienia. Każdy dzień zaczyna się od wspólnego śniadania o godzinie 8:00. W ciągu dnia dzieci otrzymują drugie śniadanie oraz pełnowartościowy, ciepły obiad serwowany o 15:00. Tak zaplanowany jadłospis dostarcza energii niezbędnej do intensywnych zajęć i wyrabia zdrowe nawyki. Uwzględniamy również specjalne potrzeby żywieniowe dzieci.

Informacje praktyczne i zapisy

Oferta skierowana jest do dzieci w wieku od **6 do 14 lat**. Rodzice mają do wyboru turnusy 5-dniowe lub pełne, 10-dniowe bloki wakacyjne. Biorąc pod uwagę ogromną popularność poprzednich edycji oraz liczne pozytywne opinie, warto zarezerwować miejsce z wyprzedzeniem.

Terminy turnusów 10-dniowych:

29.06 – 10.07.2026
13.07 – 24.07.2026
27.07 – 07.08.2026
10.08 – 21.08.2026

Cena obejmuje pełne wyżywienie, bilety wstępu, transport na wycieczki, materiały warsztatowe, ubezpieczenie NW oraz opiekę wykwalifikowanej kadry.

„Dzieci bezpieczne, zaopiekowane, zadowolone i szczęśliwe – czego chcieć więcej?" – pisze jedna z mam w opiniach na stronie organizatora. To najlepsza rekomendacja, jaką można wystawić.

Nie pozwól, by wakacje Twojego dziecka minęły niepostrzeżenie. Postaw na aktywność, kreatywność i nowe przyjaźnie. Zapraszamy do zapisów na stronie www.akademiabeskidka.pl

Artykuł powstał we współpracy z Fundacją Akademia Beskidka

GALERIA
Trzy Korony

POCZUJ POWIEW MODY!

Kaufland

T.K.maxx

STRADIVARIUS

eobuwie.pl

H&M

Homla

AGNIESZKA MAŁECKA

OSTATNI BARBACKI CO TAK JELCZA PROWADZIŁ

Inżynier i kierowca kultowego Jelcza. Wrocławianin rodem z Nowego Sącza, dwukrotnie uczestniczył w rajdzie Paryż-Dakar. W 1971 r. za kierownicą Jelcza 315 M wyruszył do Hindukuszu. W 1975 r. wiózł zaopatrzenie polskich himalaistów pod Broad Peak Middle. Biwakował pod K2. Przemierzył pieszo lodowiec. Współpracował z ekipą filmową przy serialu „Droga". Polskiej motoryzacji oddał 50 lat życia. Swoimi wspomnieniami podzielił się z Czytelnikami DTS Tadeusz Barbacki z Wrocławia, bratanek Bolesława Barbackiego. Zmarł 26 lutego.

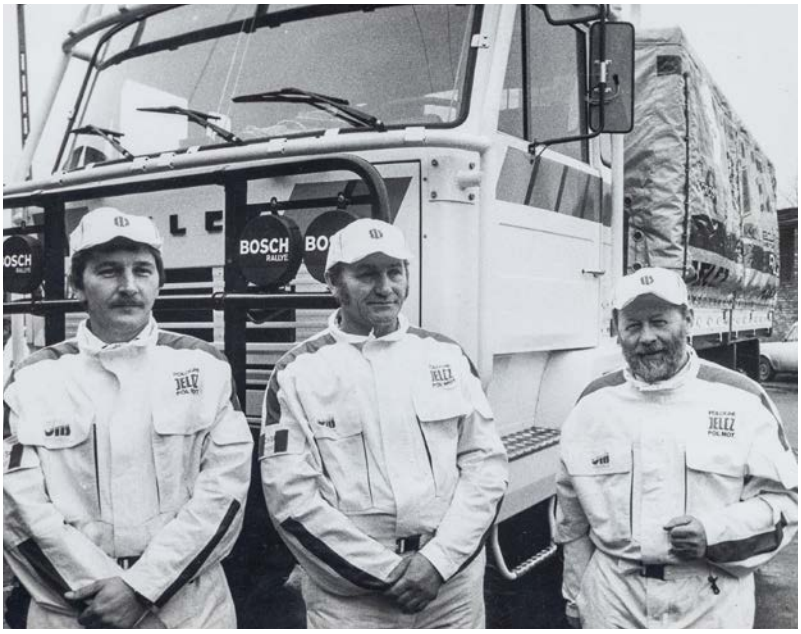

Fot. AM, z arch. T. Barbackiego

Nieraz dostał po łapach od stryja Bola

Tadeusz Marian Barbacki urodził się 27 października 1932 r. w Nowym Sączu. Dzieciństwo spędził przy ul. Jagiellońskiej 60, w willi Marya, gdzie mieszkał wraz z rodzicami: Janiną z Kijasów i Zdzisławem Barbackim oraz rodzeństwem: siostrą Heleną i bratem Witoldem. W willi swoją pracownię miał znany stryj Tadka, artysta malarz Bolesław Barbacki, nazywany w rodzinie „Bolem".

– W czasie wojny, niedaleko domu, otworzono magazyn monopolu tytoniowego, do którego zaraz zlecieli się ludzie i ja także, wraz z kolegą Józkiem Hajdukiem.

– ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

LUMBERJACKS®
WYRĄBANE BURGERY
Lumberjacks Burgers® to najbardziej Wyrąbane Smash Burgery® w Europie, spróbuj i przekonaj się sam!
LUMBERJACKS®
DONE BETTER™
świeżość
szacunek
otwartość
autentyczność
Lokalizacja:
Lumberjacks Burgers
ul.Prażmowskiego 9
Nowy Sącz
Godziny Otwarcia:
Restauracja:
Codziennie 10:30-00:00
Drive Thru:
pt-sob 9:00-2:00
niedz-czw 9:00-1:00
CODZIENNIE
Świeżo mielona wołowina

REKLAMA

Nie było już papierosów, tylko prasowany tytoń i fajki do żucia, tzw. bakuń. Poszedłem do naszego ogrodnika Kamińskiego i dałem mu je, a on w zamian dał mi przedwojenne papierosy, tzw. sylezyjki. Wziąłem i poszedłem do bawiących się w krzakach jaśminu młodych Barbackich. Spróbowaliśmy tych całych sylezyjek. Dla mnie ta próba skończyła się tragicznie, bo się pochorowałem. Wuj Bol i mama Janina przeprowadzili błyskawiczne śledztwo. Cała młodzież została wezwana do pracowni na tzw. łapę. Pasem do golenia stryj Bolo wymierzył każdemu po razie - wspominał Tadeusz Barbacki. W Nowym Sączu ukończył szkołę powszechną oraz średnią. W latach 1950-55 studiował na Politechnice Krakowskiej.

- Zaraz po studiach, jako inżynier mechanik, otrzymałem nakaz pracy w fabryce Jelcza, to były wówczas Jelczańskie Zakłady Samochodowe. Wkrótce objąłem stanowisko kierownika Działu Badań. Moje przygody za kierownicą Jelcza zaczęły się w lipcu 1971 r., kiedy to pojechałem Jelczem aż do Afganistanu - opowiadał.

Celem wyprawy „Hindukusz" było pokonanie 800-kilometrowego pasma górskiego. W ekspedycji uczestniczyła grupy alpinistów z Krakowa (pod przewodnictwem Stanisława Bienia) oraz Wrocławia (pod przewodnictwem Jerzego Wojnarowicza). 39-letni wówczas Barbacki zasiadł za kierownicą seryjnego Jelcza 315 M.

- Trasa liczyła ok. 30 tys. kilometrów. W samochodzie zmieniono układ ssania, aby był sprawny w warunkach dużego zapylenia, zainstalowano dodatkową wentylację, a także specjalny tropikalny daszek nad moją kabiną kierowcy, były też okratowane reflektory. Samochód wyposażono w czujniki temperatury i wysokości. Skrzynia ładunkowa mogła pomieścić na siedzeniach autobusowych 10 osób.

Tadeusz prowadził Jelcza w charakterze kierowcy doświadczalnego, jego zmiennikiem był mechanik i pracownik WSK Mielec Paweł Taraszkiewicz. Hindukusz, oprócz Tadeusza Barbackiego, eksplorowali (z Wrocławia): Stanisław Aniol, Roman Bebak, Mirosław Bogucki (lekarz), Janusz Fereński, Kazimierz Głazek, Kazimierz Piotrowski, Antoni Sidorowicz i Jerzy Wojnarowicz - kierownik). Uczestnicy zwiedzili doliny Mszan i Panja, zdobyli szczyt Rachzom-Zem (6 700 m n.p.m.) a także cztery inne góry nie zaznaczone na mapach. Przejechali przez dolinę Urgent i zdobyli liczący 7 100 m n. p. m. szczyt o takiej samej nazwie.

- Jechałem przez Czechosłowację, Węgry, Jugosławię, Bułgarię, Turcję oraz Iran. Niektóre wzniesienia liczyły nawet do 4 tys. metrów. Zaliczyliśmy wszystkie strefy klimatyczne: od tropików po śnieżne szczyty Hindukuszu. Dziennie robiliśmy ok. 400 kilometrów. Nasz Jelcz spisywał się bardzo dobrze. Zużywałem ok. 35 litrów na paliwa na 100 kilometrów, musiałem cały czas jechać na drugim biegu. Pamiętam, że gdy przejeżdżaliśmy przez pustynię, temperatura sięgała 43 stopni Celsjusza. Zdarzały się nam także burze piaskowe, zwłaszcza na najtrudniejszym odcinku: Herat - Kandahar - Kabul. Wyprawa trwała do października 1971 r. a nasz Jelcz zniósł ją bez większego szwanku.

Jelczem w wysokie góry Atlas i pod Broad Peak

Kolejna podróżą Tadeusza za kółkiem Jelcza była 12-tygodniowa wyprawa w 1972 r., w góry Atlas. Tym razem ekspedycja pod wodzą grotołazów z wrocławskiego Klubu Wysokogórskiego wyruszyła 27 lipca 1972 r.

- Jako kierowca-badacz ponownie zasiadłem za kierownicą Jelcza 315 M. Z jelczańskiej stacji prób i badań jechał Franek Gaca. Jechaliśmy przez Czechosłowację,

Fot. AM, z arch. T. Barbackiego

RFN, Francję, Hiszpanię, Gibraltar, i dalej promem do Maroka. Następnie, już ponownie samochodem, do Algierii w afrykańskich górach Atlas. Po tym, jak uczestnikom udało się pokonać najgłębszą jaskinię Afryki, musieliśmy przebić się przez pustynię. Jechaliśmy samym środkiem Sahary, przez Góry Księżycowe do Assekrem, płaskowyżu w Algierii. Stawialiśmy czoła piaskom, ale i bardzo wysokiej temperaturze, która dochodziła do 50 stopni Celsjusza. Łącznie cała trasa liczyła ok. 20 tys. kilometrów.

W 1975 r. leżący w paśmie Karakorum Broad Peak Middle (8 011 m n. p. m.), oddzielony od szczytu K2 lodowcem Godwin-Austen, był dla polskich himalaistów cennym łupem do zdobycia, gdyż do tamtego momentu nie udało się tam dotrzeć żadnemu z Polaków. Wszystko zmieniło się 28 lipca 1925 r., kiedy na górze stanęli Kazimierz Głazek, Janusz Kuliś, Marek Kęsicki, Andrzej Sikorski i Bohdan Nowaczyk. Był to pierwszy zdobyty przez Polaków ośmiotysięcznik. Klub Wysokogórski Wrocław zorganizował wyprawę, w skład której weszli: Stanisław Aniol, Roman Bebak, Janusz Fereński (kierownik), Wojciech Jonak (lekarz), Zbigniew Jurkowski, Jan Juszkiewicz, Marian Sajnog (kierowca), Andrzej Skoczylas (operator filmowy), Jerzy Woźnica oraz Tadeusz Barbacki za kółkiem Jelcza 315-M.

- Od 2 do 21 maja jechaliśmy z Wrocławia do stolicy Pakistanu, Islamabadu. Na zmianę z Marianem Sajnogiem pokonaliśmy w sumie 9 tys. kilometrów. Razem z Januszem Kulisiem wieźliśmy całe zaopatrzenie ekspedycji. Pozostali uczestnicy dolecieli samolotem. Szczyt udało się zdobyć pięciu kolegom. Niestety, trzech z nich zginęło przy schodzeniu, załamała się pogoda. Zginął Marek Kęsicki, piękny był chłopak, wszystkie kobiety się w nim kochały, Bohdan Nowaczyk i Andrzej Sikorski. Trzech ich poszło... Ja, jako „kaligrafik", zrobiłem im na górze na lodowcu nekrolog. Wyrylem go dwoma młotkami wysokogórskimi, jednego używając jako dłuta, a drugiego jako młotka. Napisy zrobiłem węglem, a potem rylem, nawet ładnie to wyszło. Po dwóch latach ta wielka góra polodowcowa się wywróciła. Ciała kolegów tam zostały, poszły w siną dal...

Tadeusz Barbacki był także pod szczytem K2. - *Tam był obóz Amerykanów, oni się już wtedy zwijali. Andrzej Skoczylas namówił mnie i jedną dziewczynę, byśmy poszli z polskiego obozu do obozu amerykańskiego, dużo wyżej, pod K2. A my przecież byliśmy pod Broad Peak! Poszliśmy jak gówniarze, bo okazało się, że ktoś miał wziąć linę, ale nie wziął. Nie Skoczek (Skoczylas, przyp. AM), ale ktoś inny. Stwierdziliśmy, że nie ma rady, jak już idziemy tym lodowcem, to idziemy. Szliśmy potokami, w potokach lodowcowych w bardzo zimnej wodzie. Jak nie ma szczeliny, w którą nie wpada woda, to i człowiek nie wpadnie. Pamiętam, że ciągle wylewałem wodę z butów. Wracałem ze Staszkiem Aniołem. Szliśmy lodowcem Baltoro ładnych kilka dni. Staszek do dziś dnia opowiadał, jak się układaliśmy do snu, biwakowaliśmy. Do jedzenia kilka herbatników, kilka torebek herbaty, jakaś konserwa na czarną godzinę. Co wieczór, jak rozbijaliśmy obóz, a mieliśmy jedynie płachty biwakowe, a nie namiot, podobno pytałem Staszka: Stasiu, a co będziemy robić jutro? Odpowiadał, że będziemy siedzieć na tym lodowcu, a potem iść. Ja natomiast zawsze musiałem mieć plan, dlatego tam dopytywałem. A myśmy tylko szli i szli do przodu...*

Z Pakistanu Tadeusz Barbacki wracał do Polski ze Stanisławem Aniołem, który był już wówczas ciężko chory. Mieli wracać razem drogą lądową, przez Związek Radziecki. Dojechali jednak do portu nad rzeką Amu-daria, gdzie dobijały statki rzeczne. Stanisław wszedł na pokład. Tadeusza zatrzymali jednak celnicy.

- Staszek wszedł na pokład, za nim ja. Przed wejściem celnicy obejrzeli mój paszport i stwierdzili, że jest w nim wpisany samochód ciężarowy, jakaś broń i inne dziwne rzeczy. Powiedzieli do mnie, że jak im to wszystko pokażę, to wtedy mnie puszczą. I oddali mi paszport. Padł na mnie blady strach, bo rzeczywiście w Afganistanie wpisywali mi coś po arabsku do paszportu. Nie wiedziałem co! Pełno było tych ich krzaczków. No i stoję tak w tym porcie, celnicy gdzieś poszli.

- ciąg dalszy następna strona

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY

Jedna znajomość może zmienić wszystko.

Rekrutacja już otwarta

PRAWO
ZARZĄDZANIE
INFORMATYKA
PSYCHOLOGIA

STUDIA PODYPLOMOWE

REKLAMA

Nagle podjechała Wołga, z której wysiadł jakiś wojskowy, major. Kazał celnikowi otworzyć bagażnik, w środku cztery walizki. Jakiś człowiek podbiegł, wziął dwie i pobiegł na statek. Ja, niewiele myśląc, zrobiłem to samo, do rąk dwie walizki i dawaj szybko po trapie na pokład. No, udało mi się, chcąc, nie chcąc, jako obywatelowi Związku Radzieckiego. Oj, była przygoda. Stasia holowałem później do samej Warszawy.

W 1980 r. i 1982 r. Tadeusz Barbacki uczestniczył jeszcze w wyprawach na szczyt Himalchuli (7 893 m n.p.m.) w Nepalu. Służbowo był także dwa razy w Chinach, w okresie, gdy Jelcze eksportowano na Daleki Wschód.

Paryż-Dakar razy dwa

Wczesnym rankiem, 21 grudnia 1987 r., z Jelcza-Laskowic wyruszyły w trasę do Paryża dwa Jelcze rajdowe: 618 oraz 619. Pod numerem 619 wystartowali: Robert Pratti, Feliks Gaca i Tadeusz Barbacki - szef ekipy. Kolejnego dnia załogi Jelcza stawiły się we Francji, w Reims, gdzie miał miejsce przegląd techniczny samochodów biorących udział w rajdzie. Kolejnym przystankiem był Wersal z tradycyjnym pokazem samochodów i motocykli biorących udział w IX rajdzie Paryż-Dakar. Do przejechania było 13 tys. kilometrów, w tym 8 315 na odcinkach specjalnych. Wystartowało łącznie 539 pojazdów, do mety dotarły 124. Po raz pierwszy, w tym jednym z najtrudniejszych organizowanych na świecie rajdów, brali udział polscy zawodnicy.

- Przygotowano dla nas specjalne Jelcze S442 PD, z napędem na cztery koła, auto ważyło 12 ton. Jechaliśmy na maksymalnych prędkościach, ubrani w specjalne stroje, w kaskach, upał niesamowity. Wszędzie piach i pył, jazda jak we mgle. 6 stycznia okazało się, że ekipa z numerem 618 ma poważne kłopoty z silnikiem i została na trasie. Usterek niestety nie udało się naprawić, a zawodnicy wrócili do Algieru. My dotarliśmy do jednego z najtrudniejszych etapów rajdu na terenie Algierii. Na pewnym etapie była jednak do pokonania olbrzymia góra piaskowa. Wiedzieliśmy, że sami nie damy rady. Na wyposażeniu mieliśmy blachy piaskowe, z których złożyliśmy drogę. Spięliśmy w pociąg samochody z kilku innych ekip, które również stanęły i wspólnie po tych blachach pokonaliśmy tę wielką górę piachu. Po wielu innych perypetiach na trasie rajdu, nasza załoga 619 wrócila do Algieru. Po drodze mieliśmy jeszcze znaleźć na pustyni Jelcza 618 i doholować go do portu. Statkiem wróciliśmy do Polski.

Jednak już rok później, w 1988 r., ekipa Tadeusza Barbackiego ponownie brała udział w kultowym rajdzie. Ale tym razem nie minęły ich trudności i rajdu nie udało się dokończyć.

- Sam udział w obydwu edycjach rajdu był jednak niesamowitą przygodą i niezastąpionym doświadczeniem. Jelczowi oddałem 50 lat życia. Na emeryturę przeszedłem w 1997 r. Oj, dużo się najeździłem w życiu – śmiał się jeszcze w czerwcu 2025 r. Tadeusz Barbacki. Zmarł 28 lutego 2026 r. we Wrocławiu, mając 93 lata. Pochowany został na Cmentarzu Parafialnym św. Rodziny we Wrocławiu.

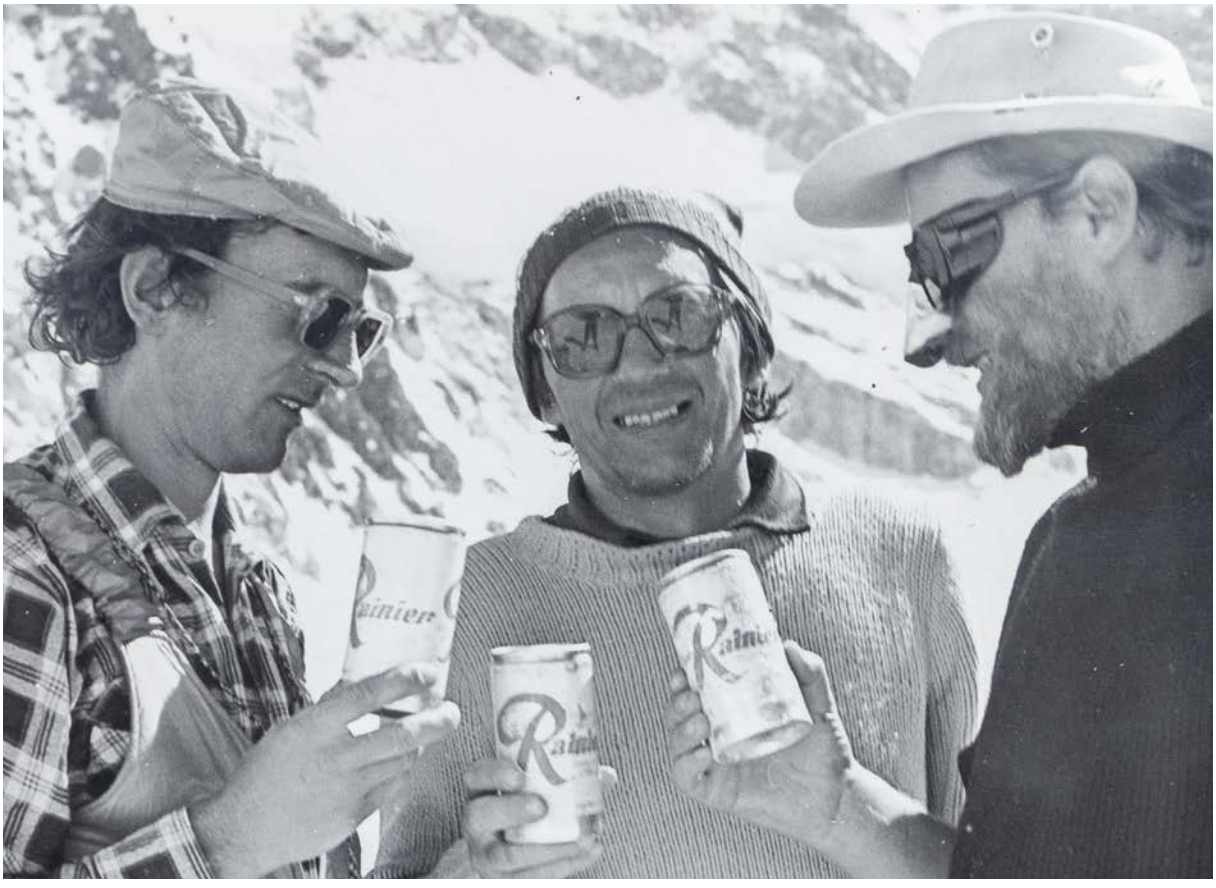

Fot. AM, z arch. T. Barbackiego

REKLAMA

RTX
Fabryka Okien

ul. **Zdrojowa 32** (BOCOŃ)
33-300 Nowy Sącz
pon.- pt. godz. **8.00-17.00**,
sobota godz. **8.00-13.00**

www.rtxokna.eu
dcisowski@rtxokna.eu
tel: 735 767 346

Kömmerling®
TODAY FOR TOMORROW

maco

PILKINGTON™

Rozmawiała SONIA GROŃ

JAZZ NIE LUBI SZTYWNYCH RAM

JAZZ NIE LUBI ZAMKNIĘCIA W SZTYWNYCH RAMACH
Rozmowa z Wojciechem Knapikiem dyrektorem Centrum Kultury „Sokół" w Starym Sączu.

Marzę o tym, by mieszkańcy Sądecczyzny po prostu przyszli, usiedli i dali się uwieść tej muzyce – mówi Wojciech Knapik o Sącz Jazz Festival, dzięki któremu serce Sądecczyzny coraz śmielej bije w rytmie jazzu.

- Zanim zaczniemy rozmawiać o jazzie na Sądecczyźnie, muszę się Panu do czegoś przyznać. Jestem jazzowym laikiem. Jak wytłumaczyłby Pan mnie i tym, którzy w tej muzyce jeszcze się nie zakochali: dlaczego właśnie jazz? Co takiego jazz ma w sobie, czego nie ma inny gatunek muzyczny? I dlaczego warto dać się tej muzyce porwać, zwłaszcza słuchając jej na żywo?

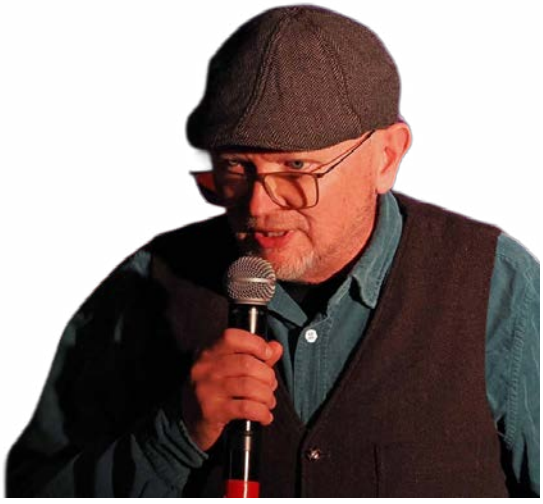

Fot. Archiwum CKSSt

- Jazz to muzyka, która nie lubi zamknięcia w sztywnych ramach. Wydarza się tu i teraz, a improwizacja stoi w niej na pierwszym miejscu. Właśnie dlatego każdy koncert jest czymś wyjątkowym. Nawet jeśli ten sam zespół zagra nazajutrz ten sam repertuar, nie będzie to już to samo — zmieni się energia, emocje, relacja między muzykami, a nawet wpływ publiczności. Myślę też, że jazz jest muzyką dla ludzi otwartych. Dla tych, którzy lubią szukać, odkrywać, dawać się zaskakiwać. Spodoba się słuchaczom, którzy nie oczekują, że wszystko od początku do końca będzie oczywiste i przewidywalne. Jazz wymaga czasem większej uważności, ale właśnie za tę uważność potrafi się pięknie odwdzięczyć.

- Jaka jest historia Pana relacji z muzyką jazzową – to miłość od pierwszego usłyszenia czy raczej status: „to skomplikowane"?

- Zdecydowanie „to skomplikowane". Kiedy byłem nastolatkiem i mieszkałem w Tarnowie, słuchałem zupełnie innej muzyki. To były lata 80., a więc czas eksplozji rocka. Moja wyobraźnia krążyła wtedy wokół koncertów Perfectu, Maanamu, Budki Suflera, Lady Pank i – przede wszystkim – Republiki. Ale zdaję sobie sprawę, że wtedy, w czasach licealnych spędzonych w Tarnowie, ominąłem moment, w którym mogłem zetknąć się z jazzem znacznie wcześniej, bo przecież działał tam całkiem prężny ośrodek jazzowy wokół Tarnowskiej Piwnicy. Drugim takim momentem, kiedy człowiek często zaraża się jazzem, są studia. Ale mnie i wtedy to nie dosięgło. Fascynowała mnie raczej muzyka autorska i poezja śpiewana. Chodziłem na koncerty do Piwnicy pod Baranami - Ewy Demarczyk, Marka Grechuty, słuchałem też Kaczmarskiego i Gintrowskiego. Ważnym doświadczeniem był też Festiwal Piosenki Studenckiej.

Jazz nadal był sobie gdzieś obok. Co więcej, kiedy trafiałem na jazz w radiu, raczej odruchowo przełączałem stację. Na dobrą sprawę w pierwszym koncercie jazzowym uczestniczyłem dopiero jako 35-letni mężczyzna — i niestety nie było to doświadczenie szczególnie udane. Koncert odbywał się w lokalu, powiedzmy szczerze: w knajpie, w warunkach, które tej muzyce po prostu nie służyły. Słabe nagłośnienie, słabe światło, uwaga publiczności po-

dzielona między muzykę, rozmowy i konsumpcję. Miałem poczucie, że to nie jest miejsce, gdzie muzycy mogą pokazać pełnię swoich możliwości.

Na szczęście kolejna próba była już pomyślna. Jazz odnalazł mnie w końcu w Budapeszcie, gdzie bywam regularnie kilka razy w roku. Odkryłem, że bez względu na dzień tygodnia warto wybrać się wieczorem do Budapest Jazz Clubu albo Opusu. Jest duża szansa, że trafi się na naprawdę dobry koncert — czy to któregoś z węgierskich zespołów, czy zagranicznych gwiazd. I właśnie wtedy coś się we mnie przestawiło. Tyle że byłem już grubo po czterdziestce. Dziś wiem, że odkryłem jazz co najmniej kilkanaście lat za późno i naprawdę tego żałuję. Mam poczucie, że bezpowrotnie straciłem dla tej muzyki dużą część swojego życia.

- Skąd w ogóle pomysł, by na Sądecczyźnie powstał jazzowy festiwal? Miał Pan przecież świadomość, że to gatunek niszowy i trudny. Wiedział Pan, że finał na pewno nie będzie tak spektakularny jak w przypadku Pannoniki, gdzie pod sceną szaleją tłumy i gdzie energia dosłownie sięga nieba.

- Pomysł organizacji festiwalu pojawił się w 2019 r. jako kolejne wyzwanie dla Centrum Kultury i Sztuki im. Ady Sari w Starym Sączu. Był to dla nas moment szczególny — wciąż żyliśmy euforią po sukcesie Pannoniki, na której wystąpił Goran Bregović. To było wydarzenie o wielkim rozmachu, które zgromadziło około 8–9 tysięcy osób. Mieliśmy wtedy poczucie, że jako zespół naprawdę dysponujemy „supermocami" i zaczęliśmy szukać kolejnego wyzwania. Nie większego, ale trudniejszego. I właśnie takim wyzwaniem wydał nam się jazz. Nie ocenialbym jednak tego, co robimy, wyłącznie przez pryzmat spektakularności. Ważne, że coraz częściej są to koncerty, które zostają z człowiekiem na długo.

- To wyzwanie wynikało z czystej miłości do tej muzyki czy po prostu z chęci zapełnienia luki w ofercie kulturalnej regionu?

- Jedno i drugie. W tamtym czasie sam byłem co najwyżej średnio zaawansowanym adeptem tej muzyki. Wiedziałem jednak jedno: na Sądecczyźnie jazz jest gatunkiem niszowym. Nasz region nigdy nie dorobił się stałego, cyklicznego wydarzenia jazzowego z prawdziwego zdarzenia. I właśnie dlatego uznaliśmy, że warto spróbować zbudować coś od zera.

- Początki zazwyczaj bywają trudne, pełne prób i błędów. Jaki był start Sącz Jazz Festivalu?

Fot. Archiwum CKSSt

- Pierwsza edycja odbyła się jesienią 2019 r. Marzyło mi się wówczas połączenie sił Nowego i Starego Sącza. Udało się nawet namówić pana Henryka Janusza, który prowadził klub Atelier, na wspólny koncert. Życie szybko zweryfikowało te plany, ale sam pomysł, by stworzyć przestrzeń dla jazzu, pozostał żywy. Początki rzeczywiście były trudne. Na pierwszych koncertach sprzedawaliśmy około pięćdziesięciu biletów. Dość szybko odkryliśmy jednak coś bezcennego: nasza sala na niespełna 220 miejsc jest wręcz stworzona do kameralnych koncertów jazzowych. Nawet przy kilkudziesięciu osobach miało się wrażenie uczestniczenia w czymś bardzo intymnym i prawdziwym. A kilka lat później, kiedy zaczęliśmy wyprzedawać salę, okazało się, że można tam stworzyć atmosferę, której nie powstydziłyby się najlepsze kluby w Londynie czy Nowym Jorku.

- Po edycji 2019 przyszły kolejne, pandemiczne edycje. Jak ta sytuacja wpłynęła na Wasz festiwal?

- Pandemia, paradoksalnie, pomogła naszemu festiwalowi. Jesienną edycję 2020 r. musieliśmy odwołać, ale niespełna trzy miesiące później pojawiło się okno możliwości organizacji „seansów filmowych". Zastosowaliśmy wtedy fortel: koncerty organizowaliśmy formalnie jako seanse filmowe z muzyką na żywo, bo samych koncertów wciąż nie wolno było urządzać, a kina już mogły działać. Na bocznym ekranie wyświetlaliśmy film „Śpiewak jazzbandu", a na scenie występował zespół. Bywało, że publiczność miała łzy w oczach. Właśnie wtedy nawiązaliśmy szczególną więź z odbiorcami, która trwa do dziś.

- Który moment był przełomowy dla festiwalu?

- Zdecydowanie poprzednia edycja. Zaprosiliśmy znakomite składy, m.in. Raya Browna Jr. Większość koncertów była wyprzedana. W tym samym czasie uczestniczyłem w koncercie Kenny'ego Garretta w NOSPR i to doświadczenie tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że to my, w Starym Sączu, organizujemy koncerty jazzowe premium. Bo jazz to muzyka do słuchania na żywo. Prawdziwe spotkanie z jazzem wydarza się dopiero na koncercie.

- Czy to oznacza, że może Pan powiedzieć na głos: udało się! Stworzyliśmy na Sądecczyźnie kulturę słuchania jazzu na żywo?

- Współtworzymy ją, uparcie promując tę muzykę. Wciąż marzę o tym, by mieszkańcy Sądecczyzny trafili któregoś dnia na nasz koncert i zakochali się w jazzie. Wierzę, że przy odrobinie otwartości muzyka improwizowana potrafi naprawdę zmienić sposób patrzenia na świat.

- Czego zatem możemy się spodziewać po nadchodzącej, listopadowej edycji?

- Zorganizujemy prawdopodobnie dziewięć koncertów. To będzie rekordowa edycja, również dzięki dofinansowaniu z Ministerstwa Kultury. Dzięki temu ceny biletów będą niższe, niż wynikałoby to z rangi artystów. Zapraszam do Starego Sącza – miasta, którego serce coraz śmielej bije w rytmie jazzu.

IRENEUSZ PAWLIK

TRZY SERCA, CZYLI TRAGEDIA TEATRALNA

35 lat temu mąż-reżyser zabił żonę-aktorkę Zuzannę Leśniak

Fot. Sączopedia

O podwójnym morderstwie dokonanym 10 października 1991 r. w Krakowie przez 31-letniego francuskiego stażystę reżyserii teatralnej Yvesa Goulais na 26-letniej żonie-aktorce Zuzannie Leśniak i 42-letnim piosenkarzu Andrzeju Zausze napisano wiele. Sam popełniłem wtedy dwa obszerne teksty, które ukazały się w warszawskim miesięczniku „Sukces" i tygodniku „Relax" w Chicago. Inne artykuły koncentrowały się na zabójcy i piosenkarzu. Ja poświęciłem więcej uwagi Zuzannie Leśniak: pojechałem do Nowego Sącza, a ściślej – do Łazów Biegonickich, skąd pochodziła aktorka i skontaktowałem z jej rodziną. Do dzisiaj sądecki wątek tej historii jest mało znany, a najmniej chyba na samej Sądecczyźnie.

Tragicznego wieczora Zuzanna Leśniak debiutowała w przedstawieniu „Pan Twardowski" z Andrzejem Zauchą w roli głównej. Pierwszy ich wspólny występ okazał się dla obojga również ostatni!

Ten debiut młodej aktorki zrecenzowała skrzypaczka Halina Jarczyk w książce „Serca bicie. Biografia Andrzeja Zauchy" (2020) Piotra Barana i Katarzyny Olkowicz: „Byłam bardzo niezadowolona z gry Zuzanny (...) tak strasznie dziś Zuzka denerwowała, na scenie była nadgorliwa, a mnie tacy aktorzy drażnią. Grała pierwszy raz, weszła na zastępstwo, chciała się wykazać".

Gdy zgasły światła rampy, aktorzy opuszczali Teatr STU tylnym wyjściem. Na Zauchę czekała grupka wielbicieli – wtedy rozdał ostatnie autografy. Andrzej i Zuzanna spieszyli na urodziny piosenkarza Andrzeja Sikorowskiego. Wsiedli do żółtego mercedesa zaparkowanego przy ul. Włóczków. Zaucha zapuścił silnik. Wówczas z mroku wyłonił się mężczyzna w długim płaszczu. Podszedł do auta od strony kierowcy. Nastąpiła gwałtowna wymiana zdań i szarpanina. Yves Goulais wydobył spod płaszcza reklamówkę z bronią. Zuzanna z krzykiem wyskoczyła z samochodu. Francuz strzelił – trafił Zauchę w krocze. Nie znalazła potwierdzenia wersja, jakoby aktorka zasłoniła piosenkarza i tylko dlatego została ugodzona. Mąż palnął jej w chore serce. Następnie zmienił magazynek i resztę pocisków wystrzelił do leżącego Zauchy, jeden – w tył głowy. Wpakował w niego łącznie 8 kul.

Zuzanna przewróciła się obok auta, tuż koło rury wydechowej, a że silnik wciąż pracował, spaliny leciały prosto w nią. Wokół rozsypane na bruku kwiaty przeznaczone dla Sikorowskiego. Żyła, poruszała rękami i nogami jakby chciała wstać. Przewieziona w stanie agonalnym do szpitala im. Jana Pawła II, zmarła na stole operacyjnym.

Biblioteka, bieganie i akordeon

Rodzice Zuzanny związani byli z upowszechnianiem kultury na Sądecczyźnie. Matka Stefania założyła bibliotekę w Żeleźnikowej Wielkiej i przepracowała w niej 36 lat. Tę samą, dziś już nieczynną, bibliotekę, w której olśnienie wierszami przeżyła uczennica Małgorzata Lebda, po czym została uznaną poetką. Matka z mężem Karolem, nauczycielem, brali udział w amatorskim ruchu teatralnym, zaś

starsza siostra Elżbieta była kierowniczką domu kultury w rodzinnej wsi – Łazach Biegonickich. Budynek ten postawił dziadek sióstr.

Wyrastając w otoczeniu książek, które rodzice czytali dzieciom w domu na głos, Zuzanna była typem chłopczycy. Z chłopakami grała w piłkę, wygrywała szkolne biegi, startowała w międzyszkolnych zawodach w czwórboju lekkoatletycznym. Dojeżdżając do Liceum Ekonomicznego w Nowym Sączu, biegiem pokonywała 5-kilometrowy odcinek od domu do przystanku autobusowego. W szkole średniej zaczęła grać w piłkę ręczną i od razu trafiła do klubu, w którym trenowała razem z zaawansowanymi zawodniczkami. Intensywny trening szybko spowodował kontuzję kolana i rezygnację ze sportu.

Interesowała się wszystkim, brała udział w olimpiadach z chemii, fizyki, matematyki, historii, polskiego. Nie kolejno, lecz we wszystkich naraz. Sport, olimpiady przedmiotowe i jeszcze nauka gry na akordeonie, który był tak duży i ciężki, że musiała go nosić za nią starsza siostra.

9-latka w serialu

Pierwszego wierszyka nauczyła się na pamięć, mając zaledwie 3 latka. W wieku 9 lat pojawiła się w jednym odcinku serialu telewizyjnego „Trzecia granica". W szkole oczywiście występowała we wszystkich akademiach ku czci. W handlówce założyła teatr amatorski Letarg. Przygotowała i wyreżyserowała widowisko poetyckie „Co pozostanie po ludzkich łowiskach".

W lutym 1982 r., uczestnicząc w takiej imprezie pierwszy raz w życiu, dostała I nagrodę w wojewódzkich eliminacjach XXVII Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego. Razem m.in. z siostrą Elżbietą została współzałożycielką Teatru NSA (Nowosądecka Scena Amatora) przy ul. Kochanowskiego. Ponadto sama przygotowywała dla siebie monodramy – za jeden z nich otrzymała w Krynicy nagrodę indywidualną na IV Wojewódzkim Przeglądzie Zespołów Teatralnych.

Janusz Michalik, kolega z Teatru NSA, tak opowiadał po jej śmierci: „To mądra, uparta w działaniu dziewczyna. Wiedziała, czego chce od teatru, nieraz wyklócaliśmy się o rozmaite interpretacyjne szczegóły. Najważniejsze w życiu i teatrze było dopiero przed nią".

Szkoła aktorska

W szkołach podstawowej i średniej uczyła się świetnie, otrzymywała świadectwa z czerwonym paskiem. Dzięki temu zapewniła sobie studia polonistyczne bez egzaminu, ale złożyła też podanie do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Studiowała na roku m.in. z Beatą Rybotycką i Arturem Dziurmanem, opiekunką ich roku była Anna Polony.

Również i szkołę aktorską opuściła w 1987 r. z wyróżnieniem. W jej indeksie znalazło się wiele piątek z plusem, zwłaszcza z piosenki – uczyła jej wybitna artystka estradowa Marta Stebnicka. 20 lat później tę samą uczelnię ukończyła podobnie utalentowana piosenkarsko inna córa Sądecczyzny – Joanna Kulig. Potwierdzeniem wysokich ocen dla Leśniakówny było wyróżnienie na Przeglądzie Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Docent Stebnicka na wieść o śmierci Zuzanny wysłała do jej rodziny list ze słowami pociechy: „Tylko czas leczy to, czego rozum nie potrafi".

Ślub z przyszłym mordercą

Ze swym przyszłym mordercą Zuzanna zetknęła się w czasie studiów. Yves Goulais, urodzony w stolicy Bretanii – Rennes, inscenizował we Francji sztuki, a w Polsce zjawił się zafascynowany naszą awangardą teatralną: Kantorem i Grotowskim. Zaprosił do Francji studentów krakowskiej PWST z ich spektaklem „Bal w operze" – wśród nich Zuzannę. Potem przyjechał do Polski na półroczne stypendium. W szkole teatralnej został asystentem ówczesnego rektora – Jerzego Treli. Również i Zuzannie, natychmiast po studiach, macierzysta uczelnia zaoferowała stanowisko asystentki.

Zbliżyli się do siebie i postanowili o ślubie. Goulais urodził się wprawdzie w rodzinie katolickiej i został ochrzczony, ale nie praktykował.

- ciąg dalszy następna strona

1/2 litra piwa zawiera
25 gramów czystego
alkoholu etylowego.

Sprzedaż alkoholu osobom do lat 18
jest przestępstwem

REKLAMA

Dopiero w Polsce, aby zadowolić wybrankę i jej rodzinę, przyjął komunię i bierzmowanie oraz odbył nauki przedmałżeńskie. Świadkami na ślubie zostali kompozytorka Ewa Kornecka i pochodzący z Milkowej grafik Mieczysław Górowski.

Na egzaltowanym Francuzie ceremonia w kościele przy starosądeckim klasztorze klarysek wywarła duże wrażenie. 16 kwietnia 1988 r. stanął przed ołtarzem ubrany w białą koszulę bretońską z lnu. Jego matka Marie (podobnie jak rodzice synowej upowszechniała kulturę – pracowała w domu kultury w Nantes) wyhaftowała na niej kwiaty. On, reżyser „Antygony" monumentalnie wystawionej na dziedzińcu zamku książąt Bretanii, głęboko przeżył obrządek zaślubin w świątyni.

Pobrali się w niej, lekceważąc „złą sławę, która [w ich czasach] ciążyła na kościele klarysek w Starym Sączu". Od ćwierćwiecza unikano tam bowiem zawierania małżeństw, gdyż ponoć „kończyły się nieszczęściami"...

Dla Zuzanny ślub kościelny stanowił rutynowy składnik obyczajowości. Nie odczuła tego tak głęboko, jak mąż. Ona, płocha dziewczyna, bardziej troszczyła się o wygląd, suknię i welon. Kiedy więc na weselu koleżanka dla żartów założyła welon Zuzanny i ruszyła w nim w tany, panna młoda nie widziała w tym nic zdrożnego. Za to Goulais potraktował to jak profanację istotnego dla niego symbolu.

Po ślubie do własnego dołączył nazwisko żony i zawsze nim się posługiwał. Chciał dla niej zmienić również obywatelstwo, ale potem od tego odstąpił – to ona przyjęła francuskie. Od męża uczyła się języka i porwała się na repertuar legendarnej Edith Piaf. Zakrawało na arogancję, że z recitalem jej piosenek zuchwale wybrała się do samego Paryża.

Rozdźwięki małżeńskie

W trakcie małżeństwa ujawniły się różnice oczekiwań. Francuz chciał dzieci. Jego ojciec odszedł od matki, ożenił się po raz drugi i chociaż syn zaakceptował nową żonę ojca, to pragnął, aby jego życie rodzinne potoczyło się odmiennie. Zuzanna była natomiast aktorką i nadal chciała nią być. Występowała w Bagateli i związała się z Teatrem STU: w „Markietantkach" według „Opery za trzy grosze" Brechta grała rolę Jenny i była asystentką reżysera Krzysztofa Jasińskiego. Potem występowała w spektaklach „Kur zapiał" i „Stryczek dla dwóch". Wciąż brała prywatne lekcje śpiewu, potrafiła po 6 godzin sama ćwiczyć w pustej sali teatralnej. Miała apetyt na granie – dziecko nie było tym, czego najbardziej życzyła sobie w najbliższej przyszłości.

Wcześnie straciła ojca, więc w mężu szukała oparcia. Goulais nie zastąpił jej taty i nie nadawał się na ojca, bo sam przypominał dziecko. Techniczny niedołęga, który nie potrafił wbić gwoździa. Artysta, który spał do południa, a ona w tym czasie uganiała się za pieniędzmi.

Wydawało się, że wychodząc – w czasach permanentnych braków rynkowych drugiej połowy lat 80. XX wieku – za cudzoziemca dewizowego, chwyciła Pana Boga za nogi! Tylko pozornie, podobnie jak z zewnętrznymi atrybutami zamożności. Piętro w willi, jakie początkowo zajmowali przy ul. Kasprowicza w Krakowie, wzięło się z zamiany mieszkania w Nowym Sączu, które Zuzanna odziedziczyła po rodzinie. Często musiała pożyczać pieniądze na opłacenie wydatków.

Wzięła Francuza do galopu. Dzięki koneksjom w światku teatralnym załatwiła mu trochę przedstawień do wyreżyserowania. Gdy pracował w Toruniu, wieczorem wsiadała w pociąg, w drodze czytała sztukę, robiła notatki i nazajutrz Goulais przekazywał aktorom wskazówki reżyserskie. Tak jak własną, rozkręcała również jego karierę.

Siedzenie na kolanach

Gdy przebywał w Krakowie, znajomi zauważyli, że Goulais coraz częściej odwiedza ich bez pary. Kiedy zapraszał do siebie (z czasem kupił mieszkanie w kamienicy przy pl. Szczepańskim), nierzadko musiał gościom tłumaczyć nieobecność Zuzanny. Za plecami gospodarza uśmiechano się ironicznie...

Ponieważ aktorka niedomagała na serce i zdarzały jej się omdlenia, to jak mąż wyjeżdżał, prosiła przyjaciół, aby nie zostawiali jej samej. A najbliżej miał Zaucha, który mieszkał naprzeciwko i przyjaźnił się z Goulais-Leśniakami. W książce „Serca bicie. Biografia Andrzeja Zauchy" opisano jej zalotne zachowanie, kiedy w czasie odbywającego się w Teatrze STU benefisu z okazji 20-lecia kariery piosenkarza, wykonała dla jubilata piosenkę z repertuaru Piaf: „Andrzej siedzi na fotelu stylizowanym na tron wpatrzony w nią, uśmiechnięty. Zuzanna śpiewa, trzyma rękę na jego szyi, siada mu na kolanach. (...) Wtedy, w 1989 r., prawie nikt nie doszukuje się w słowach i zachowaniu Zuzanny niczego poza sympatią dla starszego kolegi i dobrze odegraną rolą. Zresztą na widowni siedzą żona i córka Zauchy". Zazdrosna małżonka wokalisty zdążyła jednak o zalotnicy powiedzieć „Co za zołza!" i zmarła w tym samym roku.

Romans

Po pewnym czasie dotarły do Goulaisa pogłoski, że jego żonę coraz częściej widuje się z sąsiadem, wykonawcą m.in. piosenki „Baby, ach te baby", zawierającej słowa „czlek by je łyżkami jadł". Bagatelizował, ale gdy na miesiąc przed tragedią, po powrocie z Francji, zastał drzwi zamknięte, a klucz tkwiący w zamku od środka – ogarnął go gniew i niemal włamał się do domu. Andrzej stał przed nim bez butów, nerwowo zapinając pasek od spodni, a Zuzanna leżała na materacu. Wprawdzie ubrana, ale i tak doszło do rękoczynów pomiędzy mierzącym ponad 1,90 m Francuzem a piosenkarzem o wzroście niespełna 1,60.

Ten pierwszy był przecież reżyserem, a zatem interpretatorem dzieł, odczytywanych dzięki rozsianym w treści tropom i znaczeniom. Bywa, że reżyser odczytuje je tylko z poszlak, których domyśla się jego nadwrażliwa wyobraźnia.

Na pytania o ewentualny romans pomiędzy Zauchą a Zuzanną, znajomi aktorki z krakowskiego środowiska teatralnego (np. w rozmowie ze mną Maja Barełkowska i Piotr Cyrwus) reagowali kiedyś oburzeniem. Po latach ta wersja nie jest wszakże przypuszczeniem. Bo nawet już 35 lat temu „jaszczurowe bractwo", czyli najbliżsi kompani piosenkarza

z klubu „Pod Jaszczurami" przy krakowskim Rynku, przyznawali, że Andrzeja i Zuzannę łączyła miłość. Mówili, że być może Zuzanna była wyrachowana, gdyż liczyła na wzlot przy jego boku, ale Andrzej darzył ją szczerym uczuciem. Na rok przed śmiercią ich obojga miał prosić aktorkę o rękę, ona zaś miała poinformować o tym męża. Powinien zrozumieć... C'est la vie! Taki tytuł nosiła zresztą jedna z najpopularniejszych piosenek wykonywanych przez Zauchę.

Natomiast w książce „Serca bicie. Biografia Andrzeja Zauchy" przyjaźniąca się z piosenkarzem Małgorzata Bogdanowicz mówi: „Znajomy widział Zuzannę z jej mężem w lipcu czy sierpniu na Mazurach. Wyglądali na zakochanych, ona Yves'a adorowała, siadała mu na kolanach, przymilała się, nadskakiwała. Jednocześnie w Krakowie spotykała się z Andrzejem, opowiadała mu, że się z mężem rozwodzi. To perfidia, tak nie wolno". A także: „zorientowała się, że mąż wielkim reżyserem już nie będzie, i kombinowała, jak zrobić karierę przy Andrzeju". Oraz: „Kiedyś Andrzej dzwoni: >Zuzka twierdzi, że jest w ciąży ze mną<. A my słyszeliśmy, że podczas wczasów z mężem jemu też mówiła, że jest z nim w ciąży. (...) Nie do końca wybrała między Yves'em a Andrzejem, to prawda. Chyba nie zagrała uczciwie w stosunku do nich".

Miłość do szaleństwa

A mąż wariował z miłości. Mówił innym, że jego żona jest złą aktorką, bo widać, że kłamie. Psycholog Leszek Mellibruda, z którego porad korzystała Zuzanna, zeznał potem, że pacjentka skarżyła się, iż małżonek groził jej śmiercią – „tak jak to się robi z niewiernymi żonami na Sycylii".

A Zaucha, po tym, jak Goulais nakrył go z Zuzanną, unikał Francuza, bo nie chciał słuchać pogróżek. Odkładał słuchawkę, słysząc jego głos. Niechętnie opuszczał mieszkanie, bał się i oglądał za siebie jakby wypatrując wroga. Coś przeczuwał – coraz częściej wymykały mu się słowa o rychłej śmierci.

Tymczasem w mężu, który czuł się zdradzony, wszystko kipiało, a wzbierający gniew nie znajdował ujścia. Goulais włóczył się po mieście i przechadzał pod oknami pokoju gościnnego Teatru STU, dokąd wyprowadziła się Zuzanna. Do późna wylegiwał się w łóżku i bił z myślami. Niby zaczął szukać adwokata do przeprowadzenia rozwodu i wyglądało, że pogodził się z sytuacją, ale, mimo że przecież nie był gorącokrwistym Sycylijczykiem, to i dla niego, Bretończyka, takie pojęcia, jak honor i zemsta nie były pustymi słowami! Udał się do Francji, skąd przywiózł broń – belgijski karabinek automatyczny FN Unique X51 kaliber 5,6 mm. Żeby łatwiej przemycić przez granicę, skrócił mu lufę i kolbę.

Przestrzelenie broni

Jego znajomi opowiadali, że po sprzeczkach z żoną jeździł do Łazów Biegonickich, aby szukać wsparcia u matki i siostry Zuzanny. Mimo to bliscy aktorki twierdzili, że nie zauważyli rozdźwięków w małżeństwie. Matka aktorki przebywała z nimi przez cały lipiec we Francji na pierwszym tak długim wspólnym urlopie córki i zięcia i podobno ani razu nie słyszała nawet podniesionych głosów. Na początku października 1991 r. przyjechali do Łazów Biegonickich na wesele w rodzinie i ponoć nic nie wskazywało na to, że się wadzą.

Tymczasem znajomi Francuza informowali, że na wesele małżonkowie pojechali już osobno i podobno głównym celem tej wizyty był przedrozwodowy podział majątku. Potem okazało się, że Goulais miał już wtedy broń – z Łazów wyjechał w poniedziałek, po drodze do Krakowa przestrzelił broń w lesie, a w czwartek zastrzelił Zuzannę.

Otello, zbrodnia i kara

Podobnie jak Raskolnikow, bohater „Zbrodni i kary", który parę razy wycofywał się zanim zabił lichwiarkę, również Goulais jeździł feralnego dnia pod Teatr STU i wracał, aby leżąc na łóżku, gorączkowo rozważać szalony zamiar.

Robił teatr. Wyreżyserował kiedyś „Romea i Julię" – natomiast „Otella" nigdy, zagrał go dopiero sam na parkingu w pobliżu Teatru STU.

- ciąg dalszy następna strona

ALE, ŻE SERIO? JAZZ? W STARYM SĄCZU?

SĄCZ JAZZ FESTIVAL

REKLAMA

Artykułowi w „Sukcesie" nadałem tytuł „Otello w kostiumie Romea". Otello słowami Szekspira nazywał siebie człowiekiem, „co nieroztropnie, ale bardzo kochał, co nie był skory do zazdrości, ale raz ją powziąwszy, nie był panem siebie".

Czy zabił oboje z premedytacją? Gdy oddalał się z miejsca zbrodni, drogę zastąpił mu parkingowy Jan Szajowski. - Chcesz zginąć, jak tamci? - warknął Goulais, co świadczy o tym, że zdawał sobie sprawę, iż zabił także żonę. - Sam zgłoszę się na policję – dodał, po czym wsiadł do zielonego peugeota i odjechał na posterunek.

Wszakże kiedy policjantom oświadczył: - Z tej broni zastrzeliłem człowieka! - użył już tylko liczby pojedynczej. Utrzymywał, że o śmierci żony dowiedział się dopiero w areszcie. W teatralnym geście ujął wtedy głowę w dłonie i zaszlochał.

Początkowo mówił, że nie ma dla niego życia, że chce umrzeć i nie życzy sobie adwokata. Później jednak skorzystał z usług obrońcy.

Miłosierdzie dla zięcia i szwagra

W książce „Serca bicie. Biografia Andrzeja Zauchy" przyjaciółka tak charakteryzowała Zuzannę: „uwielbiała przygody, lubiła się śmiać, miała fajną energię. Była uroczą wariatką. Zawsze w emocjach, u niej wszystko było >na tak<. Ja się dziesięć razy zastanawiałam, czy mi się coś chce, ona chciała zawsze. I zawsze mówiła: >Chodź, coś zrobimy, chodź, pójdziemy, chodź, coś zjemy. No chodź, fajnie będzie!<. Tak jakby chciała szybko przeżyć życie. Jakby się chciała nachapać, ciągle w pędzie".

35 lat temu napisałem: „Nie ma już Zuzanny, która wpadała do domu w Łazach jak ciepły wiatr halny. (...) Nie ma Zuzanny, a jej rodzina martwi się o... Yvesa. Kochają tego nieszczęśnika. Nekrolog Zuzanny podpisali również w jego imieniu. Nie słychać też słów potępienia pod adresem Zauchy. Nie im sądzić tę trójkę".

Elżbieta Pietruch, siostra aktorki, powiedziała w „Kobiecie i Życiu": „Nadal kocham szwagra. Nie wierzę, żeby mógł z rozmysłem zabić siostrę. Gdybym mogła mu pomóc, zrobiłabym to. Chciałabym go zobaczyć, przytulić. Bo wiem, że jest najbardziej nieszczęśliwy. Nie umiem go winić". A w „Przeglądzie Tygodniowym": „To najnieszczęśliwszy pod słońcem człowiek, bardziej niż ja, bardziej niż matka". Rodzina Zuzanny złożyła na jej grobie wieniec również w imieniu męża.

Potem jednak, na czas procesu zięcia i szwagra, matka i siostra ustanowiły adwokatkę Jolantę Ostrowską-Jaźwiecką jako pełnomocniczkę pokrzywdzonej rodziny Leśniaków i oskarżycielkę posiłkową. Skorzystali z prawa do odmowy zeznań i nie przyjeżdżali na rozprawy – ich pełnomocniczka wyjaśniła, że „byliby obecni, gdyby to mogło przywrócić życie ich córce i siostrze". Miłosierna Elżbieta Pietruch, która nie wyrzekła się szwagra w chwili próby, zmarła w 2020 r., a matka – dwa lata później.

Wieczne odpoczywanie

Zuzanna Leśniak spoczęła na nowosądeckim cmentarzu w Biegonicach – obok nieżyjącego od dawna ojca (zmarł 1 stycznia 1970 r. w wieku 36 lat) i pod nazwiskiem swego mordercy. Niektórzy mogliby przysiąc, że od około 20 lat nad jej grobem widywany jest niekiedy wysoki mężczyzna w płaszczu...

Grób Zuzanny Leśniak-Goulais na cmentarzu w Nowym Sączu-Biegonicach. Leży razem z ojcem, siostrą i matką. Fot. IrP

Zauchę pochowano na krakowskim cmentarzu w Batowicach, w tej samej mogile, w której pogrzebano jego poślubioną w Krynicy i zmarłą 31 sierpnia 1989 r. żonę Elżbietę, o której śpiewał „Byłaś serca biciem". Pogrzeb piosenkarza zgromadził większe tłumy niż jakikolwiek jego występ za życia. Upiornym szyderstwem losu był fakt, że w czasie sekcji zwłok wykryto u denata zaawansowanego wodniaka nerki. Być może miał przed sobą zaledwie kilka tygodni życia.

Osierocił 17-letnią córkę Agnieszkę. Odbyły się w Krakowie (wystąpili m.in. Maryla Rodowicz, Michał Bajor, Marek Grechuta, Andrzej Sikorowski i Zbigniew Wodecki) i Chicago (m.in. Irena Jarocka) koncerty na pokrycie kosztów jej studiów na ASP, co było życzeniem zmarłych rodziców. Studia w krakowskiej ASP, gdzie profesorem był Mieczysław Górowski, grafik-świadek ślubny zabójcy jej ojca, ukończyła z wyróżnieniem, ale pracowała jako barmanka, a potem w salonie tatuażu przy ul. Grodzkiej w Krakowie.

Wstrząśnięty Janusz Grzywacz, kompozytor musicalu „Pan Twardowski", mówił zaraz po zbrodni w „Gazecie Krakowskiej": „Musical napisałem specjalnie dla Andrzeja i zmarł on razem z nim. Nie widzę tego przedstawienia bez niego". Niebawem Zauchę zastąpił jednak na scenie Mieczysław Szcześniak.

Więzień idealny

Przed sądem Goulais znów wcielił się w rolę Raskolnikowa, tym razem gotowego na pokutę. Zapytany przez sędziego na pierwszej rozprawie o to, czy był karany, odpowiedział: „Jeszcze nie". W tzw. ostatnim słowie mówił: „Popełniłem rzecz straszną... (...) Zuzannę zabiłem niechcący. Gdyby było inaczej, przyznałbym się do tego. (...) współczuję rodzinom skrzywdzonych i swojej rodzinie. Sam nie zasługuję na współczucie. Chcę odpokutować... Żadna kara nie będzie dostateczna dla mnie, bo ludzkie życie nie ma ceny". Skazano go na 15 lat – Goulais nazwał wyrok „miłosiernym". Jego matka dwukrotnie zwracała się do prezydenta Lecha Wałęsy o ułaskawienie – syn sprzeciwił się: uznał, że skoro popełnił zbrodnię, zasłużył na karę. Po 11 latach odsiadki sam jednak poprosił o ułaskawienie – prezydent Kwaśniewski postąpił solidarnie z Wałęsą.

Wyrok odbywał w krakowskim więzieniu przy Montelupich i wtedy skończył studia na uniwersytecie w Grenoble – oczywiście z konieczności zaoczne, a potem w jednoosobowej celi półotwartego Zakładu Karnego w Ruszczy (Kraków-Nowa Huta), gdzie współwięźniów obsadzał w filmach, które tam kręcił. Półgodzinne „Więzienne sny samochodziarza Harry'ego, czyli odyseja na pryczy" zostały pokazane na Ogólnopolskim Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie oraz nagrodzone przez przewodniczącego Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji Bolesława Sulika na Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni. Ze zrozumiałych względów Goulais nie mógł odebrać nagrody osobiście, toteż przewodniczący Sulik, aby ją wręczyć, pofatygował się do więzienia w Krakowie. „Nie jestem człowiekiem sukcesu, lecz klęski" – skomentował Goulais. Potem w ramach projektu Studio zza Krat zrealizował dalsze filmy, w tym „Wyjście".

Scenarzysta kryminalny

Siedział także w zakładach karnych w Trzebini i na Służewcu w Warszawie. Służby penitencjarne opiniowały go jako „więźnia idealnego" – np. w ciągu 5 lat udzielono mu aż 59 przepustek, w tym 5-dniowych, i ani razu, wracając za kraty, się nie spóźnił. W tym ostatnim więzieniu zezwolono mu na pracę poza murami - w Telewizji Canal+. Mikroskopijne zarobki przekazywał Agnieszce Zausze, oddał jej również mieszkanie.

Zwolniono go na 10 miesięcy przed upływem kary – już z więzienia w Białołęce. Na wolności zmienił personalia na Iwo Kardel i w TVP został scenarzystą seriali (zgodnie z kompetencjami – przeważnie kryminalnych) oraz zrealizował dokument o księdzu Blachnickim. Do dzisiaj nie skorzystał z propozycji zarobienia na napisaniu książki o swej zbrodni. Film fabularny o niej planował sfinansować były koszykarz NBA Marcin Gortat.

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY

Jedna znajomość może zmienić wszystko.

Rekrutacja już otwarta

PRAWO
ZARZĄDZANIE
INFORMATYKA
PSYCHOLOGIA

STUDIA PODYPLOMOWE

REKLAMA

Nowy Sącz
Miasto Królewskie

LUDOMIR HANDZEL
PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA
ZAPRASZA

Projekt realizowany pn.„KOMPLEKSOWE WSPARCIE USŁUG SPOŁECZNYCH W SĄDECKIM OBSZARZE FUNKCJONALNYM"

DZIECI I MŁODZIEŻ W WIEKU 6-18 lat z Nowego Sącza
NA BEZPŁATNE ZAJĘCIA

realizowane w ramach projektu przez Zespół Świetlic Środowiskowych w Nowym Sączu

OFERUJEMY BEZPŁATNIE

- zajęcia rozwijające
- warsztaty plastyczne
- zajęcia muzyczne
- aktywności sportowe
- wsparcie w nauce
- profesjonalną opiekę wychowawców i specjalistów
- podwieczorek

NASZE ŚWIETLICE

- Świetlica „Barskie" ul. Broniewskiego 5 - tel. 696-639-360
- Świetlica „Klub Kotłownia" ul. Barbackiego 64 - tel. 453-027-170
- Świetlica „Centrum" Al .Wolności 39a -tel. 698-138-891
- Świetlica „Helena" ul. Starowiejska 2 -tel. 453-027-169
- Świetlica „Przydworcowe" ul. Żółkiewskiego 23- tel. 660-446-726
- Świetlica „Nawojowska" ul. Kusocińskiego 4a - tel. 505-680-607
- Świetlica „Kilińskiego" ul. Stolarska 28 - tel. 664-037-916

pierwsze takie miejsce dla młodzieży od 14 roku życia !

ZAPISY W BIURZE PROJEKTU

ILOŚĆ MIEJSC OGRANICZONA!

Adres biura projektu

ul. Barbackiego 64
33-300 Nowy Sącz

18 441 01 11

zss@zss.nowysacz.pl

Ludomir Handzel
PREZYDENT MIASTA NOWEGO SĄCZA

Fundusze Europejskie dla Małopolski | Rzeczpospolita Polska | Dofinansowane przez Unię Europejską | MAŁOPOLSKA

„Projekt realizowany z Funduszy Europejskich dla Małopolski na lata 2021-2027"

Rozmawiał WOJCIECH MOLENDOWICZ

NEMAWASHI - PRZYGOTOWANIE KORZENI PRZED POSADZENIEM ROŚLINY

Rozmowa z Michałem Klockiem dyrektorem ds. rozwoju biznesu i partnerstwa w Hyundai Connected Mobility we Frankfurcie.

- Po latach wróciłeś zawodowo z Japonii do Europy. Jesteś w szoku kulturowym, przestawiłeś się? Łatwiej było o aklimatyzację w Japonii czy w Niemczech?

- O szoku kulturowym nie ma mowy. Frankfurt jest bardzo wygodny dla ekspatów. 30 procent mieszkańców to obcokrajowcy, a blisko połowa ma korzenie nieniemieckie, czyli są na przykład drugim pokoleniem imigrantów. Miasto jest więc jednym z tych miejsc, w których nie czujesz się jak obcy. Przeprowadzka do Japonii w 2017 r. wymagała na pewno nieco dłuższej aklimatyzacji. Z drugiej strony, latałem do Japonii kilka razy rocznie już od 2011 r., więc też nie było takiego szoku, o którym mówisz. Ale faktycznie, przyjechać na tydzień jako gość, a mieszkać i pracować na co dzień to dwie różne sprawy (śmiech).

- Gdybyś miał przenieść kilka rzeczy z japońskiej kultury pracy do Polski to...

- Dużo rzeczy bym przeniósł, ale równie wielu bym jednak nie przenosił. Powiem może o dwóch takich, które bardzo mi się podobały i które stosuję do dziś. Po pierwsze, na pewno mocną stroną japońskiej kultury pracy jest planowanie. Przed rozpoczęciem jakiegokolwiek projektu poświęca się bardzo dużo czasu na przygotowanie wszystkich scenariuszy, potencjalnych awarii i pełnego budżetu – tak, aby nic nikogo nie zaskoczyło. Ta popularna sztuka strategicznego planowania to dandori (段取り). Trochę jak planowanie wsteczne, ale jeszcze bardziej rozszerzone. Najpierw określasz cel końcowy, a potem (idąc od końca) identyfikujesz kluczowe etapy, tzw. kamienie milowe. Potem cofasz się i układasz kolejność działań tak, żeby nic nie zablokowało zaplanowanych kroków. Na tym etapie synchronizujesz ludzi i inne zasoby, żeby cała praca przebiegała płynnie i bez niespodzianek.

Druga rzecz, o której chciałabym powiedzieć, wymaga czasu, ale procentuje. To tzw. nemawashi (根回し) – dosłownie oznacza to przygotowanie korzeni przed posadzeniem rośliny. W biznesie oznacza proces budowania zgody między kluczowymi interesariuszami. Dam przykład. Zamiast zwołać spotkanie, podczas którego chcemy o coś zawnioskować, coś osiągnąć, i ryzykować, że nowy pomysł się nie spodoba i zostanie odrzucony, w Japonii rozmawiasz indywidualnie z każdą kluczową osobą. Każdemu przedstawiasz pomysł, zbierasz informację zwrotną i dostosowujesz swoją ofertę tak, żeby na oficjalnym spotkaniu jej zatwierdzenie było tylko formalnością.

- ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

REKLAMA

- Polubileś coś szczególnie w Japonii, w życiu codziennym poza biurem?

- Oczywiście! Ja absolutnie kocham jeść. Uwielbiam kuchnię japońską, to, jak potrawy są podane i jak bardzo celebruje się tam jedzenie. Jedzenie tam to nie tylko zaspokojenie głodu czy przyjęcie określonej ilości białka (śmiech), ale faktycznie specjalny czas, delektowanie się tym, co na talerzu. Inne elementy życia codziennego, takie jak bezpieczeństwo, czystość i legendarna punktualność, również są bardzo imponujące. Oczywiście statystyki są minimalnie różne w zależności od źródła, ale można śmiało przyjąć, że średnie całoroczne spóźnienie superszybkich pociągów Shinkansen jest na poziomie 30-50 sekund. Przy spóźnieniu około 5 minut pasażerowie otrzymują formalne przeprosiny. Gdyby doszło do większego opóźnienia, wysoki rangą przedstawiciel operatora przeprosi formalnie w telewizji, na przykład w głównym wydaniu wiadomości.

- Do czegoś tam nigdy nie mogłeś się przyzwyczaić i polubić?

- Osoby urodzone w Polsce pewne rzeczy biorą za pewnik. Że w nocy jest ciemno, że w dzień jest jasno oraz że... ziemia się nie trzęsie. No właśnie. Po tylu latach przyzwyczailem się jakoś do trzęsień ziemi, ale nie powiedzialbym, że je polubilem. Przeżylem ich wiele, mniejszych i większych, ale za każdym razem bylo to malo komfortowe uczucie. Już samo to, że sprawdzasz ciągle w specjalnej aplikacji aktualne trzęsienia, że zawsze musisz mieć z tylu głowy potencjalny plan ewakuacji, telefon naladowany na minimum 50 procent, trochę gotówki przy sobie na wypadek przerwy w dostawie prądu, sprawia, że zawsze jesteś w stanie gotowości. My mieszkaliśmy na dwudziestym drugim piętrze, więc kiwanie się budynku i towarzyszące mu charakterystyczne skrzypienie konstrukcji odczuwało się wciąż długo po samym trzęsieniu...

MOCNĄ STRONĄ JAPOŃSKIEJ KULTURY PRACY JEST PLANOWANIE. PRZED ROZPOCZĘCIEM JAKIEGOKOLWIEK PROJEKTU POŚWIĘCA SIĘ BARDZO DUŻO CZASU NA PRZYGOTOWANIE WSZYSTKICH SCENARIUSZY, POTENCJALNYCH AWARII I PEŁNEGO BUDŻETU – TAK, ABY NIC NIKOGO NIE ZASKOCZYŁO

Fot. Arch. Michała Klocka

W WOLNYM CZASIE PROWADZĘ WARSZTATY CZY WYKŁADY NA UCZELNI I POMAGAM JAKO MENTOR ZAZWYCZAJ CZTEREM MŁODYM OSOBOM KAŻDEGO ROKU. NAJCZĘŚCIEJ JESTEM MENTOREM W USTRUKTURYZOWANYCH PROGRAMACH, ALE CZASEM PISZE KTOŚ DO MNIE WIADOMOŚĆ NA LINKEDIN, I TEŻ STARAM SIĘ POMÓC. NAJBARDZIEJ MNIE NIEPOKOI TO, ŻE WIĘKSZOŚĆ OSÓB NIE WIE, JAKIE MA MOCNE STRONY

- A praca na Hawajach da się porównać z tą w Japonii?

- Nie, absolutnie nie da porównać, to zupełnie inna bajka (śmiech). W Japonii dzień pracy jest niemal dwukrotnie dłuższy niż na Hawajach. Hawaje to absolutnie raj na ziemi, ale wiesz, jak jesteś młodym, w miarę energicznym managerem, który chce coś osiągnąć, to tempo pracy na Hawajach szybko staje się trochę zbyt wolne. Praca w Japonii, mimo że ciężka i z długimi godzinami w biurze, jest mega wciągająca. Zatem wakacje na Hawajach, biznes w Tokio.

- Zdecydowałeś się na powrót do Europy i przejście do Hyundaia, bo...

- Bo to kolejny etap. Jestem bardzo wdzięczny za okres w Japonii. Natomiast pojawila się nowa możliwość, która wyglądala bardzo atrakcyjnie i poszedlem w to. Hyundai zdecydował się stworzyć nową spółkę, która będzie budować od zera usługi wokół mobilności, aut elektrycznych, usług danych, usług tzw. connected car. Potrzebował kogoś, kto zbuduje skalowalny biznes. Do grupy Hyundaia dołączyłem początkiem 2024 r., a w kwietniu utworzyliśmy nową spółkę. Jesteśmy obecnie w ponad 40 krajach, dynamika jest ogromna.

- Jakie są trzy najważniejsze zadania szefa rozwoju w globalnym koncernie? Wstajesz rano i o czym myślisz w drodze do biura?

- Te zadania się zmieniają. Budujemy cały biznes od zera, więc raczej nie polegamy na procesach, bo ich zwyczajnie nie ma. Nie ma też sztywnych ram dotyczących tego, jak ta praca ma wyglądać. Natomiast prawdopodobnie kluczowym zadaniem jest zbalansowanie działań ukierunkowanych na jak najszybszy sukces finansowy z tym, jakie usługi świadczymy dziś i jakie mamy w planie dodać do portfolio – podjęcie decyzji, które usługi mają być darmowe i służyć satysfakcji klienta, a które będziemy chcieli zmonetyzować. Oczywiście zespół też musi mieć zupełnie inne podejście w kanale B2B niż w B2C. Wyzwaniem jest również sprawne zarządzanie kluczowymi interesariuszami i poddostawcami z Korei. Właśnie teraz, podczas naszej zdalnej rozmowy, jestem w Seulu. Czasem załatwienie spraw idzie dużo sprawniej podczas osobistego kontaktu, zwłaszcza w kulturze wysokokontekstowej, takiej jak koreańska. Relacje są tu kluczowe.

- Jakie Twoje umiejętności miały decydujące znaczenie w awansie na stanowisko szefa rozwoju biznesu?

- Też to chciałbym wiedzieć! Nie chciałbym zabrzmieć jakoś specjalnie skromnie, ale uważam, że często ważne jest mieć trochę szczęścia, trochę wyczuć – powiedzmy - dobrą okazję, i znaleźć się w odpowiednim miejscu i w odpowiednim czasie. Co do samych cech, niektóre są dla mnie bardzo naturalne, jak budowanie długoterminowych relacji, zorientowanie na wyniki czy przywództwo. Nad innymi, również ważnymi, ciągle pracuję. Na przykład niestety dość szybko się nudzę, więc przy mniej ekscytujących tematach mam tendencję do uogólnienia i chodzenia na skróty. Inne cechy, które uważam za bardzo istotne, to elastyczność, kreatywność i odporność psychiczna. Z doświadczenia wiem, że ta ostatnia cecha jest nabywalna... Dodatkowo, bardzo lubię przyznawać się do jakichś moich słabych stron. Oczyszcza to atmosferę, obniża oczekiwania w danym obszarze i przede wszystkim pozwala szybciej i sprawniej dobrać zespół, pod warunkiem oczywiście, że inne osoby też są skłonne przyznać się do swoich słabości (śmiech)!

- Wiedza wyniesiona z Nowego Sącza i WSB?

- Przede wszystkim podejście do pracy. Myślę, że to coś, co nas, absolwentów WSB-NLU, wyróżnia. Jesteśmy elastyczni, bardzo praktyczni, nie poddajemy się.

- Jesteś okładkowym przykładem hasła lansowanego przez lata przez rektora Krzysztofa Pawłowskiego: nie bójcie się marzyć! Marzenia nie mają sufitu. No chyba, że w najśmielszych marzeniach nie marzyłeś o takiej karierze?

- To bardzo miłe, dziękuję. Dostałem szansę i poszedłem w to.

- Trzy zdania do młodych ludzi, którzy właśnie zaczynają marzyć.

- Myślę, że dzisiejsze warunki są bardziej skomplikowane niż, powiedzmy, dziesięć czy piętnaście lat temu. Od około dziesięciu lat w wolnym czasie prowadzę warsztaty czy wykłady na uczelni i pomagam jako mentor zazwyczaj czterem młodym osobom każdego roku. Najczęściej jestem mentorem w ustrukturyzowanych programach, ale czasem pisze ktoś do mnie wiadomość na LinkedIn, i też staram się pomóc. Najbardziej mnie niepokoi to, że większość osób nie wie, jakie ma mocne strony, słabe strony, jakie ma predyspozycje zawodowe. Uogólnienie typu: „najlepiej to idź na informatykę, bo po tym jest praca" jest dla mnie przerażające. Jeśli miałbym dać jedną wskazówkę, to taką, aby każdy zainwestował czas w poznanie samego siebie, i to jak najwcześniej. Można skorzystać z jednego z wielu bardzo dobrych narzędzi, również dostępnych on-line, można porozmawiać z kimś, komu się ufa, kto ma trochę więcej doświadczenia i będzie umiał spojrzeć obiektywnie, i odrobinę naprowadzić.

- Podobno tylko raz byłeś w sądeckim salonie Hyundaia, w celu... wyregulowania ciśnienia w oponach. To był żart czy zabieg marketingowy, że Hyundai się nigdy nie psuje i nie wymaga wizyt w serwisie.

- To też, ale byłem faktycznie tylko i wyłącznie w tym celu. Akurat trafiłem na premierę jednego z nowych modeli. Było super.

- Jak będzie wyglądała motoryzacja za 5-10-15 lat? Znikną auta spalinowe? Szybciej jeździć się nie da, bo po pierwsze nie wolno, po drugie, ilość samochodów powoduje wszędzie korki. Co proponujesz?

- Kluczowe są trendy które dziś jeszcze bardziej przyspieszyły. Przede wszystkim rośnie znaczenie software-u. Funkcjonalność, poręczność czy usługi szybkiego ładowania coraz częściej decydują o tym, czy klient jest zadowolony z auta jako finalnego produktu. Drugi bardzo silny trend to przechodzenie od posiadania auta do używania auta. Coraz częściej mówimy o usługach mobilnych. W wielu przypadkach już dziś auto nie jest wcale drugą największą i najważniejszą inwestycją rodziny, a raczej jego struktura kontraktowa i kosztowa coraz bardziej przypomina korzystanie z telefonu komórkowego lub usług mobilnych opartych o subskrypcję.

- Polubiłeś życie w Niemczech?

- Ja po tych wszystkich przeprowadzkach adaptuję się bardzo szybko. We Frankfurcie mieszka się wygodnie, bo miasto wcale nie jest takie duże, jest bardzo międzynarodowe i bliżej mi do Polski, którą kocham. Natomiast dla mnie bezdyskusyjnie najwspanialszy benefit mieszkania w Niemczech to autostrady bez ograniczeń prędkości...

- A kiedy wracasz do Nowego Sącza, to gdzie kierujesz pierwsze kroki?

- W sezonie wiosenno-letnim nie ma konkurencji: lody „u Lelity"! Koniecznie 250 gramów w konfiguracji „kakao, kawa, banan i najwięcej truskawki"! Uwielbiam!

Rozmawiała SONIA GROŃ

PERŁA UZDROWISK W NOWOCZESNYM WYDANIU

Są takie miejsca, które definiują tożsamość regionu. Uzdrowisko Krynica-Żegiestów S.A. to nie tylko spadkobierca ponad dwustuletniej tradycji, ale potężne przedsiębiorstwo, które dziś płynnie łączy misję leczniczą z twardymi regułami nowoczesnego rynku produkcji wody. O tym, jak zarządza się żywą legendą, dlaczego „Zuber" jest ewenementem na skalę światową i jak nowa twarz „Kryniczanki" podbija Polskę, rozmawiamy z Krzysztofem Głucem, dyrektorem operacyjnym Spółki.

Od blisko dwóch lat pełni Pan funkcję Dyrektora Operacyjnego w jednej z najważniejszych spółek uzdrowiskowych w kraju. Zanim przejdziemy do wielkich inwestycji i ważnych decyzji – jak Pan, jako człowiek od lat związany z regionem i zarządzaniem, odnajduje się w tej „wodnej" rzeczywistości? Czy woda i jej lecznicze właściwości od zawsze Pana fascynowały, czy to nowa pasja?

W mojej karierze zawodowej woda zawsze zajmowała szczególne miejsce. Pracowałem w Sądeckich Wodociągach, więc temat samej wody i technologii jej przesyłu nie był mi obcy. Z drugiej strony, jestem przewodnikiem beskidzkim, więc walory turystyczne i uzdrowiskowe Sądecczyzny mam w krwiobiegu. Jednak to, co zastałem tutaj w lipcu 2024 roku, przerosło moje wyobrażenia pod kątem skali i odpowiedzialności. Ponadto praca ta pozwoliła mi zgłębić tajniki wód leczniczych, co jest absolutnie fascynujące, bo to naprawdę złoto naszego regionu. Bycie dyrektorem operacyjnym w takim miejscu to nie jest typowa praca za biurkiem. To zarządzanie organizmem, który składa się z kilkunastu ogromnych, legendarnych wręcz obiektów, setek pracowników i tysięcy kuracjuszy, którym musimy zapewnić wszystko: od specjalistycznej opieki medycznej, przez rehabilitację, aż po prozaiczne, ale kluczowe wyżywienie czy komfort w pokojach.

Na logotypie Uzdrowiska widnieje data 1793, zatem zarządza Pan „żywą historią". Czy to dziedzictwo jest dla Pana bardziej wsparciem, czy logistycznym ciężarem?

Nazwałbym to misją. Historia Krynicy to wielkie nazwiska takie jak Dietl, Zuber czy Ebers. To oni stworzyli fundamenty, na których stoimy. Proszę sobie wyobrazić, że Rudolf Zuber, szukając w naszym regionie ropy naftowej, dokonał odkrycia, które zmieniło bieg historii Krynicy – znalazł wodę o tak unikalnym składzie, że do dziś nie ma ona sobie równych. Z drugiej strony, to dziedzictwo to potężne obiekty: Stary Dom Zdrojowy, Nowy Dom Zdrojowy, Pijalnia Główna czy legendarna Patria Jana Kiepury. Zarządzanie nimi to wyzwanie, by w tych historycznych murach zaoferować standard XXI wieku, którego oczekuje współczesny kuracjusz, nie tracąc przy tym duszy tych miejsc.

Wspomnial Pan o Patrii – to obiekt kultowy, symbol luksusu międzywojnia, perła modernizmu. Jaki jest dzisiejszy status tego pensjonatu?

Patria to nasza perła, ale perła, która wymaga bardzo kosztownej renowacji. Obecnie nie prowadzi ona działalności sanatoryjnej, ponieważ skala potrzebnych nakładów inwestycyjnych idzie w dziesiątki milionów złotych. Chcemy przywrócić jej dawną świetność, ale musimy to robić mądrze, szukając źródeł finansowania zewnętrznego. Jednak nie stoimy w miejscu z innymi inwestycjami. Już w przyszłym roku planujemy duży projekt związany ze Starymi Łazienkami Borowinowymi. Chcemy je zmodernizować i dedykować tzw. „silversom". Społeczeństwo się starzeje, a my mamy idealne warunki, by odpowiednio na te zmiany zareagować i stworzyć komfortowy ośrodek opieki długoterminowej, łączący medycynę, leczniczą moc wody z najwyższym standardem pobytu.

Uzdrowisko opiera się na dwóch nogach: działalności sanatoryjnej i produkcji wody – leczniczej i komercyjnej. Skupmy się teraz na tej drugiej. „Kryniczanka" przeszła ostatnio radykalny rebranding. Czym ta decyzja była podyktowana?

Rynek wody mineralnej w Polsce jest niezwykle nasycony. Nasze badania pokazały, że stara etykieta, choć darzona sentymentem, stała się dla nowoczesnego konsumenta mało wyrazista. Brakowało jej czegoś, co wyróżni ją na półce pełnej innych butelek wód. Podjęliśmy odważną decyzję – zaprosiliśmy do współpracy studentów krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. Chcieliśmy świeżego spojrzenia, które połączy tradycję z nowoczesnym designem. Wybraliśmy projekt Tycjana Twardowskiego, studenta wydziału form przemysłowych. Nowa etykieta jest dynamiczna, elegancka i od razu rzuca się w oczy na półce. W tej chwili głównymi bohaterami etykiet są nasze poszczególne budynki: Stary Dom Zdrojowy, Nowy Dom Zdrojowy czy Pijalnia. Ale oczywiście zdajemy sobie sprawę, że rebranding to nie tylko etykieta. To cała nowa filozofia sprzedaży. Od stycznia tego roku „Kryniczanka" w nowej odsłonie wyruszyła na podbój Polski i jak na razie odbiór jest bardzo pozytywny.

Ta nowa energia potrzebowała też nowej twarzy. Klaudia Zwolińska jako ambasadorka Kryniczanki to strzał w dziesiątkę?

Zdecydowanie! Klaudia jest idealną ambasadorką. To sportsmenka roku 2025, medalistka, osoba o niesamowitej determinacji, a co dla nas najważniejsze – nasza krajanka, Sądeczanka. No i woda to przecież jej żywioł. Jej sukcesy, postawa i energia idealnie współgrają z wartościami „Kryniczanki". Klaudia pokazuje, że nasza woda to nie tylko uzupełnienie diety dla kuracjuszy, ale paliwo dla ludzi aktywnych, uprawiających sport, dbających o formę. Warto dodać, że przywróciliśmy także linię „Active" – wodę średniozmineralizowaną, o delikatnym stopniu nagazowania, dedykowaną właśnie osobom aktywnym.

Mówiąc o wodach, nie sposób pominąć „króla" wód leczniczych, czyli Zubera. To produkt, który budzi skrajne emocje – od uwielbienia za skuteczność po dystans ze względu na specyficzny smak i zapach.

Zuber to zdecydowanie woda dla świadomych jej walorów zdrowotnych. To ewenement na skalę światową. Wydobywamy go z głębokości niemal kilometra. To woda reliktowa, która ma ponad milion lat! Jej mineralizacja jest tak potężna, że Zuber jest traktowany niemal jak lekarstwo. Ma zbawienny wpływ na układ pokarmowy, pomaga w leczeniu choroby wrzodowej czy problemów z przemianą materii. I tak, krążą o nim legendy, również te o jego skuteczności w łagodzeniu skutków „dnia wczorajszego" – co potwierdzają zresztą stare zapiski lekarskie jeszcze z początku ubiegłego wieku. Obok niego mamy Jana – genialną wodę w schorzeniach urologicznych i cukrzycy, czy Słotwinkę, która dzięki dużej zawartości magnezu i wapnia jest naturalnym środkiem na stres i stany lękowe. To są nasze skarby, których nie da się podrobić w żadnym laboratorium.

A co z samą Pijalnią Główną? To gigantyczna, przeszklona konstrukcja, która od lat służy nie tylko kuracjuszom.

To nowoczesny obiekt, który robi ogromne wrażenie i zaskakuje użytecznością – bo przecież to tam odbywają się np. koncerty. Pijalnia Główna to salon Krynicy. Chcemy, aby żyła nie tylko od 10:00 do 18:00, kiedy wydajemy wodę. To fantastyczna przestrzeń eventowa. Cykl „Krynica Źródłem Kultury" pokazał, że można tam organizować koncerty największych gwiazd, które przyciągają tysiące ludzi. Moim celem jako dyrektora operacyjnego jest optymalizacja tej przestrzeni – chcemy tam gościć kongresy, konferencje i wydarzenia kulturalne na najwyższym poziomie.

Jak widzi Pan Uzdrowisko Krynica-Żegiestów S.A. za 15, 20 lat? Gdzie będzie ta instytucja, gdy dzisiejsze plany inwestycyjne staną się rzeczywistością?

Widzę firmę, która swoją działalność opiera pewnie na tych samych filarach: czyli oferuje sanatoryjne pobyty w pięknych, historycznych obiektach, gwarantując najwyższą jakość usług, nie tylko leczniczych. Firmę, która w pełni wykorzystuje potencjał „srebrnej gospodarki", oferując seniorom pobyty szyte na miarę. Jednocześnie widzę „Kryniczankę" jako jedną z najchętniej wybieranych wód mineralnych w Polsce, obecną na stołach w całej Polsce. Chcę, aby Uzdrowisko było nowoczesną instytucją, która szanuje swoje korzenie, dba o tradycyjny charakter tego miejsca, ale także wykorzystuje najnowsze technologie i produkuje wodę najwyższej jakości. Droga do tego celu jest wyboista, wymaga ogromnych inwestycji, ale fundament, który mamy – czyli nasze unikalne wody – daje nam przewagę, której nikt nam nie odbierze.

Dziękuję za rozmowę i za tę pasjonującą podróż w głąb krynickich źródeł.

Dziękuję bardzo i oczywiście zapraszam czytelników do Krynicy, by korzystać z wyjątkowych walorów leczniczych tej części Sądecczyzny!

Zakończyła się przebudowa ulicy Kilińskiego

Jedną z najważniejszych zmian w przebudowie ul. Kilińskiego to dodatkowy pas ruchu, który ma poprawić przejezdność tej ruchliwej ulicy. Została także wyremontowana nawierzchnia asfaltowa, a także powstała ścieżka pieszo-rowerowa i nowoczesne oświetlenie LED. Podczas otwarcia ulicy prezydent Ludomir Handzel zapowiedział kolejny etap prac na odcinku przy rondzie pod szpitalem.

Autobusy elektryczne wyjadą na ulice Nowego Sącza

Miejskie Przedsiębiorstwo Komunikacyjne w Nowym Sączu zakupiło pięć autobusów elektrycznych marki Irizar. Autobusy mają ponad 10 metrów długości i mogą zabrać maksymalnie 76 pasażerów, w tym 16 na miejscach siedzących. Są wyposażone m. in. w klimatyzację, platformę dla osób poruszających się na wózkach, monitoring, porty USB oraz system zliczania pasażerów. Zasięg autobusów to minimum 250 km na jednym ładowaniu, zaś ładowanie pojazdów odbywać się będzie w zajezdni MPK (utworzono tam pięć stanowisk do ładowania autobusów elektrycznych poprzez dwie dwustanowiskowe ładowarki typu plug-in oraz jedną ładowarkę mobilną). Autobusy są objęte pięcioletnią gwarancją, natomiast baterie dziesięcioletnią.

Otwarcie Centrum Informacji Turystycznej

Centrum Informacji Turystycznej ma nową siedzibę. Teraz mieści się w kamienicy przy ul. Jagiellońskiej 21. Można tam znaleźć aktualne i rzetelne informacje o najpiękniejszych zabytkach Nowego Sącza i regionu, malowniczych ścieżkach rowerowych i szlakach pieszych, festiwalach i wydarzeniach kulturalnych, a także atrakcjach przyrodniczych. Centrum Informacji Turystycznej w Nowym Sączu jest czynne od wtorku do piątku od godz. 8 do 16 oraz w poniedziałek od godz. 9 do 17. Przy ul. Jagiellońskiej 21 mieści się również redakcja Rocznika Sądeckiego.

Bezpłatne szczepienia przeciwko zakażeniom wirusem brodawczaka ludzkiego HPV

Szczepienia przeciw HPV są szczepieniami zalecanymi. Zapobiegają przede wszystkim rakowi szyjki macicy oraz innym nowotworom (rak odbytu, sromu, pochwy, niektóre nowotwory głowy i szyi), które może powodować wirus brodawczaka ludzkiego (HPV).

Warunki uczestnictwa:

- dostępna szczepionka - 9-walentna, skierowana przeciw 9 typom wirusa HPV **dla mieszkańców Nowego Sącza (dzieci, kobiet i mężczyzn)** w wieku od 15 do 26 roku życia (za pisemną zgodą rodzica w przypadku osób niepełnoletnich).

Zapisy telefoniczne od dnia 09.04.2026 r. pod numerami telefonu: 573 860 153, 798- 002-465, (18) 333-50-15 od poniedziałku do piątku w godz. 10.00 do 18.00.

W pierwszeństwie szczepieniami będą objęte osoby, które otrzymały szczepienie przeciw HPV w 2025 r. i konieczne jest dokończenie cyklu szczepień (nie finansowanych z NFZ i Programu Powszechnych Szczepień)

Szczepienia i kwalifikacja lekarska będą odbywały się w siedzibie Komendy Straży Miejskiej w Nowym Sączu, ul. Lwowska 71, **w soboty i niedziele w indywidualnie wyznaczonych godzinach i dniach przez podmiot leczniczy KRYMED Sp. z o.o.** Szczepienia realizowane będą do dnia 30.11.2026 r. lub do wyczerpania limitu szczepionek - decyduje kolejność zgłoszeń.

- **Schemat szczepienia zależy od wieku, w którym rozpoczęto szczepienie.**

Wiek w czasie rozpoczęcia szczepienia	2-walentna szczepionka	4-walentna szczepionka 9-walentna szczepionka
9 - 14 lat włącznie**	Schemat 2-dawkowy. Druga dawka w okresie od 5 do 13 miesięcy po podaniu pierwszej dawki.	Schemat 2-dawkowy. Druga dawka w okresie od 5 do 13 miesięcy po podaniu pierwszej dawki.
	Jeśli druga dawka szczepionki zostanie podana wcześniej niż 5 miesięcy po pierwszej dawce – podać trzecią dawkę.	
15 lat i powyżej	Schemat 3-dawkowy (0, 1, 6 miesięcy)	Schemat 3-dawkowy (0, 2, 6 miesięcy)

*wiek 9 lub 14 lat oznacza dziecko, które ukończyło 9 lub 14 lat.

**jeśli w wieku <14 lub 15 lat (w zależności od użytej szczepionki) odstęp między 2 dawkami jest krótszy niż zalecany, powinna być podana 3. dawka szczepionki (co najmniej 5 miesięcy po 1. dawce i co najmniej 3. miesiące po 2. dawce).

Obraz źródło : https://szczepienia.pzh.gov.pl/dla-lekarzy/szczepienia-hpv/schematy-szczepien-przeciw-hpv/

KATARZYNA MAGIERA

WŁASNA DROGA ZACZYNA SIĘ W „PRAKTYKU”

Każda historia zaczyna się inaczej. Jedni od początku wiedzą, co chcą robić, inni długo szukają swojej drogi. Wspólne jest jedno – moment decyzji, który wszystko rozpoczyna.

Dla wielu młodych ludzi takim momentem jest wybór szkoły. Branżowa Szkoła I stopnia „Praktyk” od lat pomaga przekuć tę decyzję w realną ścieżkę zawodową. Od 2009 roku szkołę ukończyło 1541 absolwentów, a w tym roku kolejne 94 osoby zakończą edukację i rozpoczną pracę lub dalszą naukę. Dzięki współpracy z firmami – w tym z partnerem WIŚNIOWSKI – uczniowie zdobywają doświadczenie już w trakcie nauki.

To właśnie tu zaczynają się historie, które pokazują, jak różne mogą być dalsze drogi.

„Nie zatrzymałem się na starcie” – od warsztatu do branży gier

Aleksander zdobył w „Praktyku” zawód i praktyczne umiejętności, które dały mu samodzielność. Po szkole pracował w firmie WIŚNIOWSKI i jednocześnie uczył się w liceum dla dorosłych. Z czasem odkrył swoją pasję do dźwięku.

Studiował w Warszawie i Katowicach, pracując i zdobywając doświadczenie – nawet kosztem częstych wyjazdów z Norwegii. Po kilku latach prób dostał się do branży gier. Dziś od ponad czterech lat pracuje jako sound designer w firmie Simteract, współtworząc gry, m.in. „Bus Simulator 27”.

- ciąg dalszy następna strona

ALE, ŻE SZTUKA WSPÓŁCZESNA? W STARYM SĄCZU? ‘SERIO?

GALERIA

REKLAMA

TEATR NOWY
NOWY SĄCZ

17/05
15:00

“KSIĘŻNICZKA NA ZIARNKU GROCHU”

JAGIELLOŃSKA 36
REZERWACJA
506 205 595

REKLAMA

– *Możemy robić wszystko, trzeba tylko mieć odwagę, żeby po to sięgnąć* – podkreśla.

„Najpierw praktyki, potem pewna praca”

Jarek swoją drogę zaczął od praktyk w firmie WIŚNIOWSKI jako uczeń ślusarstwa. Dzięki temu po szkole nie zaczynał od zera – znał już realia pracy.

Został zatrudniony, rozwijał się na różnych stanowiskach i dziś pracuje przy produkcji paneli do bram segmentowych, obsługując maszyny i kontrolując jakość. Brał też udział w testowaniu nowoczesnych rozwiązań, jak egzoszkielet wspierający pracę fizyczną.

Podkreśla, że szkoła dała mu konkretne umiejętności i pozwoliła płynnie wejść na rynek pracy.

„Zrobiłam to na przyszłość”

Dominika po szkole zaczęła pracę, ale zdecydowała się wrócić do nauki i zdać maturę. Choć początkowo towarzyszył jej stres, dziś daje jej to większe możliwości i poczucie bezpieczeństwa.

„Były dni bez klientów” – własny biznes

Natalia i Ewelina od początku chciały prowadzić salon fryzjerski. Początki były trudne – zdarzały się dni bez klientów i chwile zwątpienia.

Z czasem ich biznesy się rozwinęły. Dziś prowadzą własne salony, planują dalszy rozwój i szkolenie innych. Podkreślają, że szkoła dała im solidne podstawy.

„Każdy tort opowiada historię”

Kasia odnalazła się w cukiernictwie artystycznym. Już w trakcie nauki rozwijała swoje umiejętności i brała udział w konkursach.

Dziś tworzy torty artystyczne, łącząc precyzję z kreatywnością. – *Każ-*

dy tort to inna historia – mówi. Planuje dalej się rozwijać i poszerzać swoje kompetencje.

Nie ma jednego scenariusza

Losy absolwentów są różne – jedni rozwijają się zawodowo, inni pracują za granicą, zakładają rodziny lub kontynuują naukę. Wszystkie te drogi łączy jedno: praktyczne umiejętności zdobyte w szkole, które dają realny start.

„Tu zaczyna się konkret"

„Praktyk" to szkoła dla osób, które chcą zdobyć zawód i mieć możliwość dalszego rozwoju. Uczniowie uczą się w praktyce, odbywają płatne praktyki i zdobywają doświadczenie w wielu branżach – od technicznych i budowlanych, przez mechanikę, po zawody usługowe.

Szkoła działa w Wieloglowach i Chelmcu, oferując nowoczesne zaplecze oraz wsparcie w wyborze ścieżki zawodowej, znalezieniu praktyk i rozwoju kompetencji. Nauka jest bezpłatna, a uczniowie mogą liczyć na dodatkowe kursy i pomoc specjalistów.

We współpracy z firmą WIŚNIOWSKI szczególny nacisk kładziony jest m.in. na zawód montera stolarki budowlanej, który daje stabilne zatrudnienie i duże możliwości rozwoju.

„Od decyzji do działania"

Nie musisz mieć gotowego planu na przyszłość. Wystarczy pierwszy krok. „Praktyk" pomaga znaleźć kierunek, zdobyć zawód i rozpocząć własną drogę.

Proces rekrutacji jest prosty – wystarczy wybrać kierunek, skontaktować się ze szkołą i złożyć dokumenty.

Bo wszystko zaczyna się od decyzji.

REKLAMA

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY
INSTYTUT DIAGNOSTYKI, OPINIODAWSTWA I POMOCY PSYCHOLOGICZNEJ

Instytut Diagnostyki, Opiniodawstwa i Pomocy Psychologicznej w Nowym Sączu

- Badania diagnostyczne
- Opinie i ekspertyzy
- Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna
- Terapie
- Warsztaty i treningi
- Wczesne wspomaganie rozwoju
- Mediacje
- Poradnictwo seksuologiczne
- Działalność edukacyjna

Również online

ABCEKODOM
CENTRUM OKIEN DACHOWYCH

Nowy Sącz, ul. Węgierska 153
tel. (18) 547 11 36
602 518 623

www.**abcekodom**.pl
biuro@abcekodom.pl

35 lat razem

FAKRO®

Okna i rolety - Twoje wnętrze, Twoje chwile

Życie jest mozaiką niezliczonych historii, a w naszej pamięci pozostają chwile przyjemne i wyjątkowe. Na poddaszu stwórz swoją przestrzeń pełną radości i wspólnych opowieści, które towarzyszyć Ci będą każdego dnia.

Nowa generacja okien dachowych **GREEN**VIEW dostarcza naturalne światło, poprawiając samopoczucie i jakość życia. Rolety dekorują wnętrze oraz zapewniają kontrolę nad światłem, tworząc idealne warunki do pracy i odpoczynku. Stwórz wnętrze, w którym każda chwila będzie wyjątkowa.

Zeskanuj kod
i odkryj świat rolet

Rozmawiał PIOTR JAGIELSKI

NA PŁYCIE „DŹWIĘCZNOŚĆ" CHODZI O POCHWAŁĘ ŻYCIA

Mówi PAP Wojciech Waglewski, pochodzący z Nowego Sącz, gitarzysta i wokalista grupy Voo Voo. Ostatnia płyta „Dźwięczność" ukazała się 21 kwietnia w dniu jego 73 urodzin.

PAP: Czy „Dźwięczność" to rzeczywiście ostatnia studyjna płyta Voo Voo? Czy też ostatnia w dotychczasowym wcieleniu zespołu?

Wojciech Waglewski: *Miałem zamiar już nie nagrywać więcej albumów. Taką decyzję podjąłem jeszcze w 2024 r., żeby jeśli już, to nagrywać single, piosenki na Spotify, jak większość muzyków. Płyty się nie sprzedają. Wiele zespołów wydaje muzykę na winylach, które następnie sprzedają na koncertach, kompaktów jest coraz mniej. Nagraliśmy tych płyt bez liku, sam nie wiem, ile dokładnie. Mamy własną publiczność, którą w dodatku tworzą przedstawiciele różnych pokoleń. Czasami wracamy do starszych rzeczy, czasem gramy nawet całe albumy. Fajnie się to gra - tym bardziej, że improwizujemy. Nie czułem więc potrzeby rozszerzania repertuaru.*

Piosenka „Dźwięczność" została napisana w zasadzie jako pożegnanie z nagraniami studyjnymi. Ukazała się w maju ubiegłego roku pod wpływem sugestii mojej żony, która chciała, żebym zagrał na gitarze prawdziwe solo, jak normalny człowiek, a nie te moje dziwactwa. Taka piosenka nieco w stylu „wychowani na Trójce", a nigdy za taką muzyką nie przepadałem. Podszedłem do tego z dystansem, ale to się zmieniło. Żona wysłuchała utworu, zaakceptowała. A po niedługim czasie zmarła, wszystko się wywróciło. Wszystko to nabrało zupełnie innego znaczenia, prawie jak requiem. W nas wszystkich spowodowało to chęć, by raz jeszcze wejść do studia. Nazbierało się mnóstwo w ciągu miesiąca. Nagraliśmy tę płytę w wyjątkowych okolicznościach, chyba pierwszy raz robiliśmy próby, napracowaliśmy się. Wspólnotowa rzecz z tego wyszła, nie ma popisów, solówek, jest to rzecz zespołowa. W dodatku nagrana w studiu, w którym nie nagrywaliśmy od kilkudziesięciu lat. Wszystko przebiegło w bardzo przyjacielskiej, wspólnotowej atmosferze.

PAP: W zapowiedziach tej płyty mówił pan, że jest dołująca, smętna. A nie jest taka.

W.W.: *Była sugestia, by „Dźwięczność" nie była tytułem, żeby w ogóle ukazała się osobno. Zaczynałem od bardzo mocnych, emocjonalnych tekstów. Całe przygotowanie moje do tej płyty polegało na tym, by nabrały optymizmu, żeby pozbyć się złych emocji. Chciałem, by była płytą apelującą o docenienie tej chwili, w której żyjemy. Co, oczywiście, jest bezpośrednio związane ze śmiercią. Ale chodzi o pochwałę życia, otulinę.*

- ciąg dalszy następna strona

REKLAMA

WYŻSZA SZKOŁA BIZNESU
NATIONAL-LOUIS UNIVERSITY

Jedna znajomość może zmienić wszystko.

Rekrutacja już otwarta

PRAWO
ZARZĄDZANIE
INFORMATYKA
PSYCHOLOGIA

STUDIA PODYPLOMOWE

REKLAMA

Pozwala na chwilę uciec od tego, co dzieje się na zewnątrz, nie przejmować się tym. No i są wspaniali goście.

PAP: Czemu ci goście służą? Co panu daje obecność na przykład Darii ze Śląska?

W.W.: *Darię zasugerował nam menedżer, pojawiła się na naszych koncertach unplugged. Zaimponowała mi bardzo, posłuchałem jej płyty, podobała mi się jej osobność. Nie wpisuje się w schemat, jaki obecnie panuje w muzyce popowej w Polsce. Wszystko brzmi irytująco podobnie, powiela ten sam schemat, jeśli tylko przyniesie sukces. Daria potrafi pisać piosenki proste, ale pełne treści i wiarygodne. To było wspaniałe spotkanie, podobnie jak współpraca z Hanią Rani. Poczułem radość obcowania z osobą, która dobrze wie, o co jej chodzi. Była to praca wykraczająca ponad zwykły kontakt zawodowy.*

PAP: Jak pan mówi, płyty się nie sprzedają. Czy w dobie muzycznego streamingu, krótkich komunikatów, „Dźwięczność" jest umyślnie niedzisiejsza?

W.W.: *Obowiązują - można powiedzieć - dwie formy konsumowania muzyki. Z jednej strony jednorazowe, długie wydarzenia, jak Męskie Granie czy inne festiwale, podczas których słuchacz przyswaja muzykę przez jakieś sześć godzin i w sumie może nabrać poczucia sytości na resztę roku. Ja osobiście tego nie akceptuję. W dawnych czasach raz do roku niektórzy wybierali się na Jazz Jamboree, nie mając zielonego pojęcia o tej muzyce. Ale wypadało się tam pokazać. Poświęcali się więc raz w roku, czuli się lepsi i usatysfakcjonowani. Teraz jest nieco podobnie. Zanikła przyjemność i zwyczaj spotykania się przy winie i wspólnego słuchania płyt. Fisz mi mówił, że jeszcze pamięta coś takiego, ale to w zasadzie zanikło. Muzyki słucha się najczęściej jako akompaniamentu do porannej krzątaniny, śniadania, jazdy samochodem. Piosenki w stacjach radiowych mają nie przekraczać trzech minut, muzyka została sprowadzona do roli „zapychacza". To się wiąże z systemem pracy, walką na rynku, utrzymywaniem się w systemie korporacyjnym.*

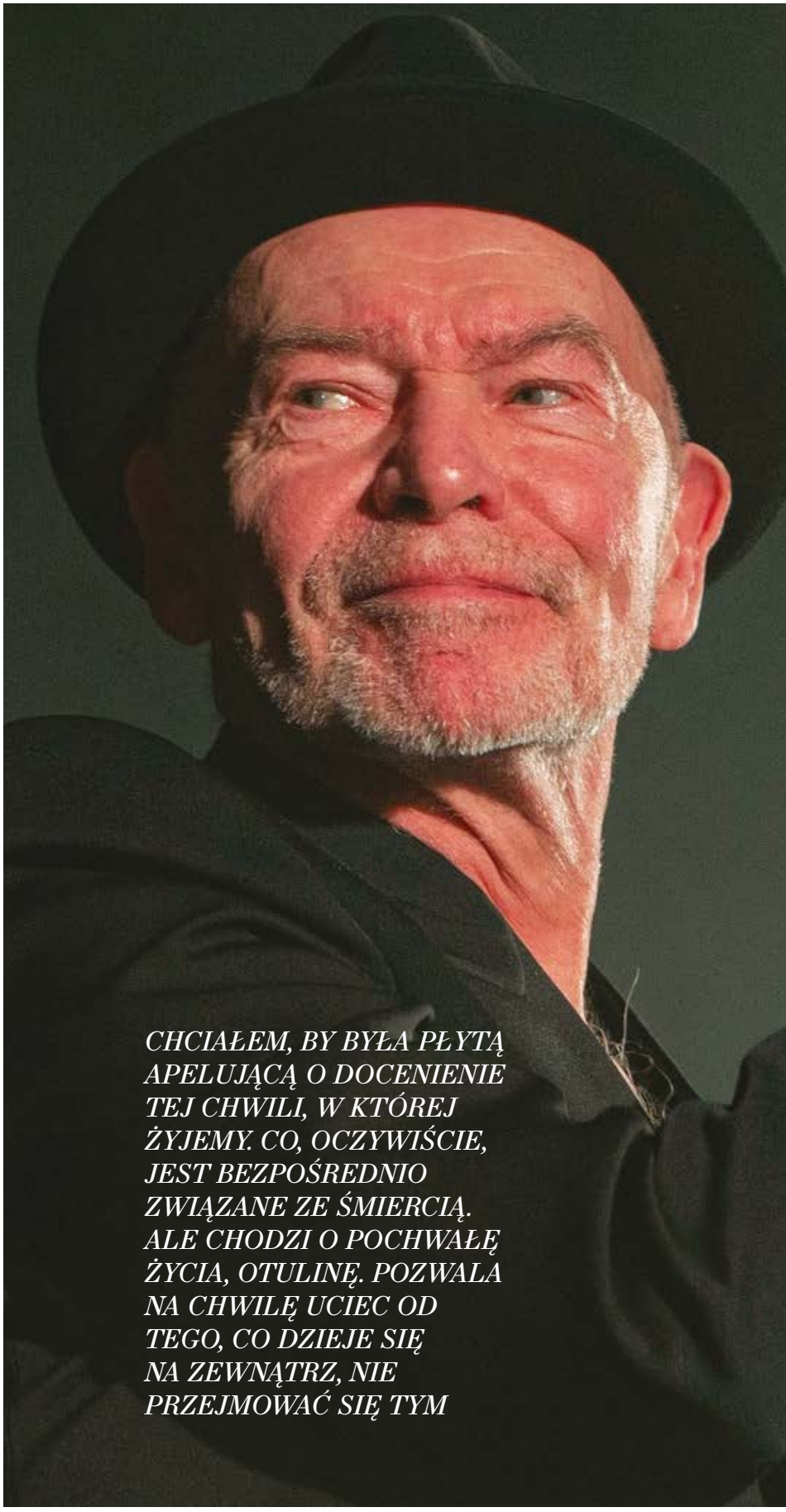

CHCIAŁEM, BY BYŁA PŁYTĄ APELUJĄCĄ O DOCENIENIE TEJ CHWILI, W KTÓREJ ŻYJEMY. CO, OCZYWIŚCIE, JEST BEZPOŚREDNIO ZWIĄZANE ZE ŚMIERCIĄ. ALE CHODZI O POCHWAŁĘ ŻYCIA, OTULINĘ. POZWALA NA CHWILĘ UCIEC OD TEGO, CO DZIEJE SIĘ NA ZEWNĄTRZ, NIE PRZEJMOWAĆ SIĘ TYM

Moi sąsiedzi żyją w rzeczywistości kredytów, splacania ich, zaharowywania się. W tym świecie wartość pracy oceniana jest na podstawie ilości polubień czy reakcji internatutów. Był taki serial „Black Mirror" - żyjemy już w rzeczywistości, którą nakreślał jeszcze jako fikcję.

Druga strona tego zagadnienia to małe kluby. Jest ich mniej niż kiedyś, ale wciąż działają, wciąż przyciągają ludzi. Zagraliśmy w takich miejscach „przedsionek" trasy koncertowej i pomyślałem sobie, że wolałbym zagrać pięć koncertów w takich klubach niż w jednej wielkiej sali. Na przykład graliśmy w Ursynowskim Centrum Kultury „Alternatywy", świetnie się gra w takich miejscach, jest poczucie interakcji z widownią.

Pojawiają się, choć nieśmiało, ciekawe kapele rockowe. Dezerter wrócił ze świetną płytą, Trupa Trupa to zespół o coraz większej światowej renomie, jest Dziwna Wiosna - zespół świetnie grający na żywo. Cały czas jednak stolicą muzyki pozostaje Londyn. Flea właśnie nagrał solową płytę z czołówką brytyjskiej sceny jazzowej, zupełnie nie przejmuje się komercyjnym wymiarem tej płyty. Jest fantastyczny Damon Albarn i jego Gorillaz, jest Shabaka Hutchings. Rozpadło się niestety Black Midi, jeden z najciekawszych zespołów ostatnich lat. Może byli zbyt dobrzy. Kiedyś w polskim jazzie często tak bywało, że to muzycy najlepiej się bawili na scenie. Lepiej niż słuchacze.

PAP: Czy problem jazzu w Polsce polegał na niedostatecznym braniu pod uwagę słuchaczy?

W.W.: *Nie ma problemu jazzu, ponieważ zawsze - i teraz też - polski jazz to była marka licząca się bardzo na świecie. Czasem chodziło się na koncert zespołu, czasem, żeby słuchać konkretnego muzyka, członka zespołu, gitarzysty czy perkusisty. Natomiast bardzo ważną rzeczą jest dbałość o słuchaczy, czyli dramaturgia i wizerunek. Dobrze wie o tym Wojtek Mazolewski, który dba o wizerunek i przekaz.*

PAP: A rock and roll - czy ma przed sobą jakąś przyszłość?

W.W.: *Przyzwyczailiśmy się do robienia pieniędzy bez myślenia o przyszłości. Jeśli coś się sprawdziło, powielano ten schemat, ile wlezie. Były utalentowane wokalistki, które wszystkie brzmiały dokładnie tak samo, bo nagrywały w tym samym studiu, u tego samego producenta. Teraz troszkę podobnie wygląda produkcja utworów popowych i choć mamy wysyp fantastycznych piosenkarek i piosenkarzy, to sukces tych najzdolniejszych powoduje, że produkcje kolejnych starają się być podobne, by ich dogonić. A producentów nie jest za wielu i tu tkwi kłopot. Mamy więc klęskę nadurodzaju, ale daj nam Boże takich klęsk jak najwięcej. Problem pojawia się wtedy, kiedy ci wykonawcy grają na wszystkich możliwych imprezach te same utwory w tym samym anturażu i staje się to trochę monotonne.*

Gralem na zagranicznych festiwalach - rockowych i jazzowych - organizatorzy płacili nam za to, żebyśmy nie grali przed i zaraz po planowanym koncercie w pobliżu. Umiar wydaje się jedynym sensownym rozwiązaniem. Pozostawianie uczucia niedosytu zdecydowanie lepiej rokuje niż przesyt.

- ciąg dalszy strona 83

Gmina Łososina Dolna

Centrum Kultury i Promocji Gminy Łososina Dolna

02.05.2026

30. ŚWIĘTO KWITNĄCYCH SADÓW

WRAZ Z OFICJALNYM OTWARCIEM SEZONU LOTNICZEGO

PROGRAM ŚWIĘTA

13:00 MSZA ŚWIĘTA KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W ŁOSOSINIE DOLNEJ

14:30 OFICJALNE OTWARCIE ŚWIĘTA

15:00 KONCERT PARAFIALNO-GMINNEJ ORKIESTRY DĘTEJ Z ŁOSOSINY DOLNEJ

15:30 WIDOWISKOWE POKAZY LOTNICZE ZAKOŃCZONE KONKURSAMI DLA DZIECI Z WIEDZY O AEROKLUBIE PODHALAŃSKIM

16:30 TEATR KULTURESKA SPEKTAKL DLA DZIECI „BUKIET TALENTÓW"

17:30 RODZINNE KONKURSY I ZABAWY Z WIEDZY O ŚWIĘCIE KWITNĄCYCH SADÓW

17:45 REGIONALNY ZESPÓŁ JAKUBKOWIANIE 30 LAT DZIAŁALNOŚCI

18:30 WIKTOR DYDUŁA

20:00 ANNA WYSZKONI

21:45-23:45 ZABAWA TANECZNA Z DJ SROMKIEM

SPONSORZY STRATEGICZNI

SPONSORZY

PARTNERZY

PARTNERZY MEDIALNI

PATRONAT HONOROWY WOJEWODY MAŁOPOLSKIEGO

WOJEWODA MAŁOPOLSKI
KRZYSZTOF JAN KŁĘCZAR

LOTNISKO
AEROKLUBU PODHALAŃSKIEGO
W ŁOSOSINIE DOLNEJ

WSTĘP: 20 ZŁ

DZIECI SZKOŁA PODSTAWOWA
PARKING NA PŁYCIE LOTNISKA
BEZPŁATNIE

PAP: W ostatnich latach renesans popularności przeżywa płyta winylowa.

W.W.: *To oczywiste... Ckni nam się za czymś naturalnym, trzeszczącym, ludzkim tak naprawdę - jak za domem na wsi. Nadmiar technologii, spłycenie kontaktów międzyludzkich, ogólna bieżączka zaczynają uwierać. Ja już nie kupuję kompaktów. Płyty winylowe mają okładkę, zapach, historię. „Dźwięczność" wygląda pięknie w wydaniu analogowym, ma wspaniałą okładkę autorstwa Jarosława Koziary. Winyl prowokuje do takich działań. Gdybyśmy mieli to robić na kompakcie, pewnie nie miałoby to sensu. Szkoda, że ten rynek wciąż jest jeszcze niewielki.*

PAP: Czy ułatwiając sobie zdobywanie muzyki, nie pozbawiliśmy się czegoś ważnego?

W.W.: *Oczywiście, internet zmienił wszystko, wystarczy kliknąć i płyta jest zdobyta, kupiona. Lubiłem jeździć do Berlina i łazić po tamtejszych sklepach płytowych. Ich właściciele byli pasjonatami, prawdziwymi kopalniami wiedzy o muzyce. Tej starej i tej najnowszej. We Florencji mam taki sklep, był tam pies właściciela na środku, sprzedawali jazz. Jak się dowiedział, że jestem z Polski, wykrzyknął: wy to dopiero macie scenę jazzową! Zaczął mówić z entuzjazmem o Tomku Stańce, Urszuli Dudziak... Duma! W Polsce też są takie sklepy, tylko trzeba ich poszukać.*

Internet zmienił wszystko także pod względem tworzenia i nagrywania. Mogę zaprosić kogoś do współpracy i nigdy się z nim nie spotkać, nie muszę już nawet opuszczać mieszkania. Wystarczy, że wymienimy maile.

PAP: Ta łatwość to sytuacja korzystna czy niekorzystna?

W.W.: *Niekorzystna, choć przyspiesza cały proces. Miałem to szczęście, że spotkałem się ze wszystkimi artystami, z którymi chciałem współpracować. Mieliśmy kontakt osobisty. Graliśmy z nimi, z Donem Cherrym, Dave'em Douglasem, Alimem Quasimowem, Esperanzą Spalding, nie mówiąc o czołówce naszej rodzimej sceny. Kiedyś poznaliśmy w Chicago rapera Antara Jacksona, przypomnieliśmy sobie o nim teraz i zaprosiliśmy do udziału w nagraniu. Zgodził się i przysłał swoją ścieżkę, właśnie mailem. Ale potem przyjechał, a przy okazji okazało się, że świetnie śpiewa, o czym nie wiedziałem. Wymiana maili i praca na odległość pozbawiona jest też kluczowej sprawy, czyli interakcji, wymiany poglądów, wspólnego działania w studiu. Zawsze jestem za spotkaniami, gdy tylko jest to możliwe.*

PAP: W Stanach Zjednoczonych powstał raport, z którego wynikało, że sprzedaż płyt winylowych po raz pierwszy od dekad wyprzedziła sprzedaż kompaktów. Inna rzecz, że z tego samego badania wynikało, że nie wszyscy kupujący winyle kupowali też gramofony.

W.W.: *Z tego co wiem od moich znajomych-muzyków, powróciła także sprzedaż bardziej organiczna, prowadzona na koncertach. Ja tak sprzedawałem prawie całe życie, czy to w Osjanie czy w pierwszych latach Voo Voo. Te płyty stają się niemal czymś w rodzaju programu w teatrze. Mnie to cieszy, jest też okazja, żeby usiąść na chwilę, podpisać album, porozmawiać z ludźmi.*

Dzielę koncerty na widowiska i koncerty. Widowisko to zdarzenie na stadionie, ogląda się artystów na telebimie, robi się zdjęcie na pamiątkę, pije się sporo piwa, żeby wytrzymać sześć godzin festiwalowego dnia. Moim zdaniem człowiek nie przyjmie za jednym podejściem więcej niż trzy godziny muzyki. Koncert to coś innego, to zdarzenie muzyczne. To zupełnie inny odbiór muzyki i relacji z ludźmi. Najbardziej lubię grać w małych klubach, ale czasami trzeba też zagrać na festiwalu. Forma telebimowa zawsze będzie popularna. Jakiś czas temu chciałem pojechać do Niemiec na koncert Petera Gabriela, zadzwoniłem do mieszkających w Berlinie znajomych, żeby spytać, czy by nie poszli, a oni popukali się w głowy: koncert na stadionie? Oszalałeś? Potem sobie pomyślałem, że w sumie mają rację, co ja bym tam robił? Stał i patrzył na telebim?

AEROKLUB PODHALAŃSKI
NOWY SĄCZ

AEROKLUB PODHALAŃSKI
OFERUJE LOTY WIDOKOWE
SZYBOWCEM
ORAZ LOTY ZAPOZNAWCZE
SAMOLOTEM

WSZYSTKICH CHĘTNYCH
ZAPRASZAMY DO KONTAKTU:
509 988 055
e-mail: aeroklubpodhalanski@wp.pl

SZKOLIMY PILOTÓW
SAMOLOTOWYCH
I SZYBOWCOWYCH

REKLAMA
REKLAMA

Wyprzedaż 2025

NISSAN

Nissan Qashqai MHEV 4x4

Cena 149 500 PLN

WIKAR tel. 18 4140420 **Nowy Sącz** ul. Węgierska 168

CHERY Wyprzedaż rocznika 2025 Zyskaj do 25 000 zł**

TIGGO 4

DOSTĘPNY W WERSJI SUPER HYBRID HEV

CENA OD **95 900 ZŁ**

TIGGO 7

DOSTĘPNY W WERSJI BENZYNOWEJ I SUPER HYBRID TYPU PLUG -IN (PHEV)

OPCJA Z NAPĘDEM **AWD**

CENA OD **106 900 ZŁ***

TIGGO 8

DOSTĘPNY W WERSJI BENZYNOWEJ I SUPER HYBRID TYPU PLUG -IN (PHEV)

CENA OD **130 900 ZŁ***

TIGGO 9 AWD

DOSTĘPNY W WERSJI SUPER HYBRID TYPU PLUG -IN (PHEV)

CENA OD **209 900 ZŁ**

** SUMA KORZYŚCI | UBEZPIECZENIE OC/AC NA 1 ROK ZA 1 ZŁ | FINANSOWANIE OD 100% | OPONY ZA 1 ZŁ (DOTYCZY POJAZDÓW W WERSJI SPALINOWEJ | 7 lat gwaracji lub 150 000 km

*Cena obowiązuje dla wybranych pojazdów w ramach wyprzedaży rocznika 2025

WIKAR tel. 506190520 **Nowy Sącz** ul. Węgierska 168

SURSUM CORDA. PLAN NA NAJBLIŻSZE MIESIĄCE

W Stowarzyszeniu Sursum Corda pomysłów nie brakuje, a kalendarz na najbliższe miesiące wypełniają działania, które łączą ludzi wokół jednej idei - że warto robić coś dobrego razem. Z sercem, uważnością i otwartością na drugiego człowieka.

Wypoczynek

Wakacje z Sursum Corda to od lat sprawdzona propozycja dla rodziców, którzy szukają dla swoich dzieci wartościowego i aktywnego wypoczynku. W Nowym Sączu zaplanowano cztery tygodniowe turnusy półkolonii letnich (29 czerwca – 24 lipca), a od 2 do 11 sierpnia dzieci i młodzież wyjadą na kolonię do nadmorskich Dąbek – 10 dni pełnych przygód i wakacyjnych emocji.

Wolontariat – od spotkań po pochód ulicami Nowego Sącza

Wolontariat nie wymaga wielkich deklaracji – wystarczy chęć działania. Przez cały rok odbywa się cykl spotkań **„Agrafka"** – nieformalne warsztaty i rozmowy dla osób zaangażowanych w pomoc seniorom. Z myślą o młodych liderach we wrześniu ruszy nabór do konkursu mini-grantowego **„Projektor Młodzieżowy"** – wolontariusze otrzymają wsparcie merytoryczne i środki na realizację własnych inicjatyw społecznych w szkołach i lokalnych społecznościach. 20 października w Krakowie odbędzie się **Festiwal Wolontariatu** – jedno z największych spotkań środowiska wolontariackiego w regionie. 4 grudnia Nowy Sącz wypełni się energią młodych wolontariuszy – ulicami miasta przejdzie **Pochód Wolontariuszy**, a następnie odbędzie się **Wolontariada**, integrująca Szkolne Kluby Wolontariatu: sportowa rywalizacja, quizy, zadania kreatywne i dużo dobrej zabawy.

Akcje społeczne i dobroczynne

Do wspólnego pomagania zachęcają dwa wydarzenia, podczas których każdy może realnie wesprzeć leczenie podopiecznych Stowarzyszenia Sursum Corda. 30 maja w Miasteczku Galicyjskim odbędzie się **Run4Smile** – bieg charytatywny, w którym każdy kilometr zamienia się w pomoc. Miesiąc później, 28 czerwca, odbędą się XV **Charytatywne Zawody Wędkarskie o Puchar Ani**. Za tymi wydarzeniami stoją firmy, instytucje, grupy znajomych, których połączyła chęć pomocy podopiecznym programu „Na Ratunek". W ostatnią sobotę maja odbędzie się również **Piknik Rodzinny dla Podopiecznych Stowarzyszenia Sursum Corda**. Będzie to czas integracji, radości i beztroskiej zabawy, pozwalający choć na chwilę oderwać się od codziennych zmagań.

Końcówka roku to najbardziej ciepły czas w kalendarzu Stowarzyszenia. W listopadzie ruszy akcja **„Zostań Dyplomowanym Mikołajem"** – każdy może wybrać list dziecka z programu „Na Ratunek" i spełnić jego marzenie, a wolontariusze zajmą się resztą. Do rodzin w trudnej sytuacji trafią **Paczki Dobra**, a samotni seniorzy spotkają się przy wspólnym stole podczas **Wigilii dla Seniorów** – z kolędami, rozmową i upominkami.

To oczywiście nie wszystko, co szykuje Stowarzyszenie – w planach jest znacznie więcej inicjatyw i działań. Sursum Corda zaprasza Sądeczan do śledzenia swoich działań i włączania się w inicjatywy – bo każda z nich to okazja, by zrobić coś dobrego razem. Szczegóły: www.sc.org.pl.

REKLAMA

Studia, które zaczynają się po zajęciach

WSB-NLU to nie tylko kierunki i zajęcia, ale ludzie, wydarzenia i doświadczenia, które zostają na lata.

Jedna znajomość może zmienić wszystko - czasem zaczyna się od zwykłej rozmowy na uczelni, wspólnego projektu, udziału w wydarzeniu albo wyjazdu ze znajomymi. Studia to nie tylko zdobywanie wiedzy, ale również relacje, doświadczenia i aktywności, które zostają na lata. WSB-NLU w Nowym Sączu to uczelnia z prawie 35-letnią tradycją. Już w październiku będziemy obchodzić wyjątkowy jubileusz, co pokazuje, że od lat tworzymy miejsce nowoczesne i przyjazne studentom.

Nasza oferta obejmuje 4 kierunki studiów: psychologię, zarządzanie, prawo oraz informatykę. Studenci mogą wybierać spośród 3 form studiowania: stacjonarnej, niestacjonarnej oraz Real-Time - hybrydowej. Dzięki temu każdy może dopasować sposób studiowania do swoich potrzeb, jednocześnie korzystając z możliwości, jakie daje życie akademickie na naszej uczelni.

Szczególnie dużo dzieje się u nas z myślą o studentach stacjonarnych, którzy poza zajęciami mają dostęp do wielu aktywności, wydarzeń i inicjatyw. WSB-NLU to miejsce, w którym można nie tylko studiować, ale także rozwijać zainteresowania, poznawać nowych ludzi i angażować się w życie uczelni. To właśnie tutaj jedna znajomość może przerodzić się we współpracę, przyjaźń, a czasem nawet w pomysł na przyszłość.

Organizujemy wiele wydarzeń, które integrują społeczność akademicką i angażują studentów w życie uczelni. Jednym z najbardziej rozpoznawalnych jest Run 4 a Smile - charytatywny bieg organizowany w Miasteczku Galicyjskim. Wydarzenie odbywa się z okazji Dnia Dziecka i łączy aktywność, dobrą energię oraz pomoc innym. To inicjatywa, która pokazuje, że na naszej uczelni ważna jest nie tylko edukacja, ale również wspólne działanie i wrażliwość społeczna.

Na naszym kampusie odbywa się Potęga Informatyki - wydarzenie skierowane do szkół partnerskich. To cykl inspirujących prelekcji realizowanych na terenie uczelni, dzięki którym młodzież może poznawać świat nowych technologii i rozwijać swoje zainteresowania. Takie inicjatywy pokazują, że kampus WSB-NLU stale tętni życiem i jest miejscem spotkań i inspiracji.

Na terenie uczelni znajduje się także Student's House - nowoczesny akademik, który oferuje studentom komfortowe warunki. Do ich dyspozycji pozostaje ogród na dachu, zielone atrium, sala komputerowa oraz sala rozpraw. Na miejscu działa również restauracja z możliwością zamawiania posiłków do pokoju w obrębie kampusu.

Studenci stacjonarni mają możliwość aktywnego spędzania czasu i uczestniczenia w inicjatywach rozwijających pasje. Na naszej uczelni działa Koło Akademickie WSB-NLU przy oddziale „Beskid" Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Dzięki temu studenci ruszają na szlaki okolicznych gór, między innymi Beskidu Sądeckiego i Pasma Jaworzyny. To świetna okazja do integracji, budowania relacji i przeżywania wyjątkowych chwil poza salą wykładową.

WSB-NLU to miejsce, w którym studia mają wiele wymiarów. To nauka, wydarzenia, aktywność, rozwój i ludzie, których spotykasz na swojej drodze. Bo czasem jedna znajomość może zmienić wszystko.

Byłeś na którymś z tych wydarzeń? Tak? To świetnie! Zapisz się do nas i zamień rolę uczestnika na organizatora.

REKLAMA

newag GROUP | ISC LAT 1876 - 2026

GRIFFIN 200

NEWAG S.A. to lider innowacji i niezawodności na polskim rynku kolejowym. Dzięki stabilnej pozycji i wieloletniemu doświadczeniu firma wyznacza kierunki rozwoju w produkcji nowoczesnych lokomotyw oraz elektrycznych zespołów trakcyjnych.

W ostatnich latach grupa kapitałowa NEWAG S.A. umocniła swoją dominującą rolę, dostarczając rozwiązania, które nie tylko spełniają, ale i wyprzedzają oczekiwania rynku.

PRZYSZŁOŚĆ NABIERA TEMPA

fot. J. Mierzwa

fot. R. Kamieński

fot. A. Rams

fot. A. Sebald

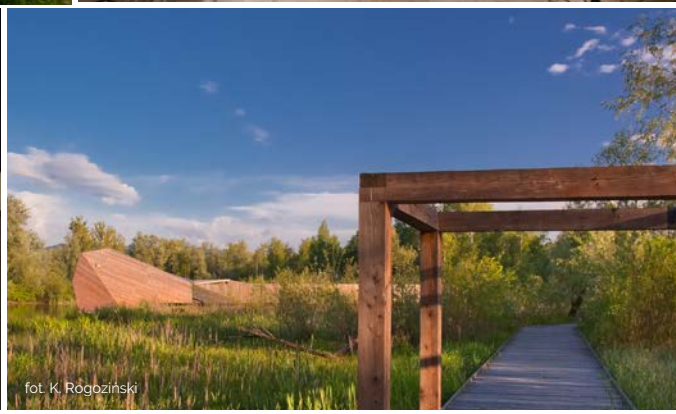
fot. K. Rogoziński

STARY SĄCZ
miasteczko z klimatem

fot. R. Kamieński

fot. K. Rogoziński

DWIE TWARZE STAREGO SĄCZA

Co najbardziej zaskoczyłoby turystę, który nie był w Starym Sączu powiedzmy dekadę?

Ludzie przyjeżdżają do nas z różnych pobudek. Na wydarzenia kulturalne, dla dobrej muzyki, dla dziedzictwa i historii, dla piękna przyrody. Staramy się w każdym z tych obszarów uczynić Stary Sącz i gminę coraz bardziej atrakcyjnymi dla turystów. Dawniej Stary Sącz był kojarzony przede wszystkim z klasztorem sióstr klarysek, sanktuarium św. Kingi, zabytkowym centrum, nieco później z wizytą Jana Pawła II i ołtarzem papieskim. I bardzo dobrze. Pielęgnujemy to dziedzictwo i dbamy o to, by Stary Sącz był... stary! Chcemy zatrzymać tutaj historię i podkreślić wagę dziedzictwa, którym przyszło nam się opiekować. Turyści przyjeżdżają do Starego Sącza nie tylko by odpocząć, ale też by zachwycić się niezwykłą atmosferą miasteczka z klimatem. Chcieliśmy naszą paletę niejako tradycyjnych atutów poszerzyć i zaoferować coś więcej.

Platforma widokowa w Woli Kroguleckiej ma już ponad 10 lat ...

I nadal cieszy się wielką popularnością. To kultowe miejsce dla fotografów, miłośników gór, ale i tych, którzy szukają ciekawego miejsca na krótki wypad. Po sukcesie „ślimaka" w Woli Kroguleckiej poszliśmy za ciosem i powstały kolejno: enklawa przyrodnicza Borowisko, Leśne Molo na Miejskiej Górze, a za kilka tygodni oddamy do użytku Orbisferę. Chcemy nasz potencjał przyrodniczy i krajobrazowy maksymalnie wykorzystać. Mamy ścieżki rowerowe, kąpielisko, poszerza się oferta noclegów, w turystykę inwestują podmioty zewnętrzne. Zapewniam, że można w Starym Sączu aktywnie i ciekawie spędzić kilka dni. Tym bardziej, że kalendarz imprez kulturalnych na wysokim poziomie jest bogaty i w zasadzie całoroczny, nie sprowadza się tylko do okresu wakacji.

Wspomniał Pan o Orbisferze, która ma uzupełnić ofertę miejskiego lasu na Miejskiej Górze. Dlaczego ten projekt jest szczególny?

To jeden z najbardziej wyjątkowych projektów, jakie realizujemy. Orbisfera nie jest zwykłą inwestycją – to przestrzeń, która ma inspirować, edukować i zachwycać. Nie chcę za wiele zdradzać. Najlepiej będzie Orbisferę odwiedzić. Trwają jeszcze ostatnie prace, ale na początku wakacji powinniśmy być gotowi. Myślę, że mieszkańcy i turyści będą mile zaskoczeni finalnym efektem. Orbisfera to projekt, który łączy pokolenia: dzieci, młodzież, dorosłych i seniorów. Ma być miejscem spotkań i aktywności dla mieszkańców, które zachęci ich do obcowania z naturą, do kreatywnego spędzania czasu, do spacerów i odkrywania przyrody. Dodam, że jest to element większego projektu realizowanego wspólnie z Lewoczą. Nasz samorządowy słowacki partner gruntownie rewitalizuje amfiteatr, dawną lokalną ikona. Wierzę, że będzie to ważny krok w budowaniu polsko-słowackiej turystyki.

Stary Sącz wydaje się być idealnym miejscem na wycieczki rowerowe dla całej rodziny?

To nasz kolejny atut. Niewątpliwe ostatnie lata to prawdziwa moda na rowery, ale nie byłoby jej w takiej skali bez inwestycji w ścieżki i trasy rowerowe. Potwierdzam - to znakomite miejsce na rowerową rodzinna eskapadę, bo to u nas łączą się dwa duże szlaki Euro Velo 11 i Velo Dunajec, mamy dość gęstą sieć rowerowych ścieżek, trasy rowerowe na Miejskiej Górze, czy wreszcie znakomite warunki dla wyczynowego kolarstwa. Nie bez powody pan Marek Kosicki prezes Małopolskiego Związku Kolarskiego od wielu lat organizuje tutaj finał Małopolskiego Wyścigu Górskiego z podjazdem na Przehybę. Tak, Stary Sącz i rowery to dobry pomysł.

Stary Sącz słynie również z bogatego kalendarza wydarzeń kulturalnych, które też przyciągają gości z różnych stron...

Niewątpliwie wśród różnych wydarzeń każdy może znaleźć interesujący temat i regionalnie Stary Sącz jest ośrodkiem ważnym, a mamy też imprezy przecież o renomie ogólnopolskiej jak Jesienny Festiwal Teatralny, Omnia Beneficia Festiwal, czy Pannonicę. Ale też Sącz Jazz Festiwal, Starosądecki Jarmark Rzemiosła, Festiwal Przygody i Podróży Bonawentura, festiwal filmowy Peryferiadę. To może być świetne uzupełnienie wycieczki do Starego Sącza, ale też główny powód odwiedzin u nas. Muszę jeszcze wspomnieć o świetnej ofercie wystawowej IMO Galerii, która powstała przy nowej siedzibie Centrum Kultury i Sztuki im. Ady Sari. Zrewitalizowaliśmy budynek w centrum miasta tak, by lepiej służył mieszkańcom i jesteśmy z tej inwestycji, która już służy mieszkańcom kilka lat, niesamowicie dumni. To kolejny punkt na naszej turystycznej mapie, który warto polecić. Można powiedzieć, że Stary Sącz i mam tu na myśli całą naszą gminę, ma dwie twarze – tradycyjną, znaną z pocztówek i osadzoną w historii i drugą, za którą skrywa się moc atrakcji, nowoczesności, muzyki, sztuki. Warto odkryć dwa oblicza Starego Sącza.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

OGROPARK
MACIEJOWA

ogropark.pl
+48 533 288 929

BRAMY
OGRODZENIA
DRZWI i OKNA
pvc, aluminiowe, stalowe

WIŚNIOWSKI

Alfen
ogrodzenia aluminiowe

SCHÜCO

Krynickie wody to dar natury

Krynica-Zdrój od blisko dwóch stuleci kojarzona jest z wyjątkowymi wodami mineralnymi, które stanowią fundament jej uzdrowiskowej sławy. To właśnie one ukształtowały charakter miasta i przyciągają kuracjuszy z całej Polski oraz z zagranicy. Krynickie źródła należą do najcenniejszych w Europie – zarówno pod względem składu, jak i właściwości leczniczych.

Wody mineralne Krynicy są głównie wodami kwasowęglowymi i szczawami alkaliczno-solonymi, zawierającymi znaczne ilości dwutlenku węgla oraz pierwiastków takich jak wapń, magnez, sód, żelazo czy lit. Każde źródło ma nieco inny skład chemiczny, dzięki czemu oddziałuje na organizm w odmienny sposób. Dzięki swojemu składowi wykazują działanie wspomagające leczenie wielu schorzeń, zwłaszcza układu pokarmowego, krążenia oraz chorób metabolicznych. Stosowane zewnętrznie, w formie kąpieli leczniczych czy inhalacji, wspierają również terapię chorób kobiecych, reumatycznych oraz układu oddechowego.

Budowa głównej pijalni

Nowe Łazienki Mineralne

Pijalnia Jana

Deptak StaryDom Zdrojowy

Najbardziej znane to „Zdrój Główny", „Jan i Józef", „Zuber", „Słotwinka", a także „Tadeusz" i „Mieczysław", których nazwy na stałe wpisały się w krajobraz uzdrowiska. Szczególne miejsce zajmuje tu woda o nazwie „Zuber" – jedna z najsilniej zmineralizowanych wód leczniczych w Europie i śmiało można powiedzieć że na Świecie, stosowana głównie pod kontrolą lekarską. Swoją nazwę zawdzięcza słynnemu geologowi Rudolfowi Zuber, który wzorem europejskich kurortów, postanowił „rozwiercić" Krynicę. Początkowo jego pomysł głębokich wierceń „okrzyczany niesłusznie za zbrodnię przeciwko bezpieczeństwu zakładu krynickiego" doczekał się realizacji ostatecznie, co stało się przełomem w rozwoju uzdrowiska. Dzięki działaniom profesora w 1912 r. w Krynicy rozpoczęto pierwsze głębokie wiercenia udostępniające złoże. Dwa pierwsze – nadzoruje sam prof. Rudolf Zuber, kolejne jego następcy. Ostatecznie do lat dzisiejszych powstaje aż 29 nowych ujęć. Cztery z nich udostępniają słynną wodę Zuber, niezwykle „aromatyczną" mocno słonawą o silnym działaniu leczniczym. Stosowaną na wszelkiego rodzaju refluks, choroby wrzodowe oraz jedną z chorób cywilizacyjnych nazwaną „zespołem dnia drugiego".

Krynickie wody to dar natury, który od pokoleń wspiera zdrowie i dobre samopoczucie. Ich unikatowe właściwości, połączone z górskim klimatem Beskidu Sądeckiego, czynią Krynicę-Zdrój jednym z najważniejszych uzdrowisk w Polsce.

REKLAMA

REKLAMA

INWESTYCJA „OSIEDLE ZIELONY GAJ"

Jedną z Inwestycji w regionie nowosądeckim jest Zielony Gaj w Świniarsku, w gminie Chełmiec. To rozwijające się osiedle, który doskonale wpisuje się w ideę nowoczesnego i ekologicznego budownictwa mieszkaniowego. Położone w zielonym otoczeniu, zaledwie kilka minut od centrum Nowego Sącza; oferuje mieszkańcom idealne połączenie spokoju podmiejskiego życia z wygodnym dostępem do miejskiej infrastruktury.

Na osiedlu powstają zarówno domy jednorodzinne, segmenty, bliźniaki; jak i mieszkania w budynkach wielorodzinnych. Nowoczesna architektura, duże przeszklenia, funkcjonalne układy pomieszczeń oraz wysoki standard wykończenia – to jedne z wielu zalet, które wyróżniają wybudowane przez dewelopera nieruchomości. Dodatkowym atutem są ogródki z tarasami i duże osłonięte loggie, które zapewniają prywatną przestrzeń do relaksu po pracy i rodzinnych spotkań na świeżym powietrzu.

Grupa Harper jako lokalny deweloper, stawia na dalszy rozwój okolicy, nowoczesne technologie i ochronę przestrzeni zielonej. Świadczy to o długofalowym myśleniu o przyszłości, korzystnej dla mieszkańców i środowiska. Inwestor zadbał o rozbudowę infrastruktury towarzyszącej: chodników, oświetlenia ulicznego oraz miejsc parkingowych dla przejezdnych. Komfortową komunikację z okolicznymi miejscowościami zapewnia połączenie z drogą krajową DK75 – w tym nowa zatoczka autobusowa z przystankiem, którą Gmina Chełmiec wybudowała w Zielonym Gaju w porozumieniu z MPK Nowy Sącz.

Deweloper Szczęśliwych Sąsiedztw

Inwestycja **Osiedle Zielony Gaj** to przykład inicjatywy budującej lokalną wspólnotę, wzmacniającej jakość sąsiedztwa. Na miejscu w jednym z budynków wielorodzinnych powstało biuro Wspólnoty Mieszkaniowej, skąd mieszkańcy wspólnie zarządzają inwestycją. Wielu z nich należy do lokalnego KGW, które w porozumieniu z Zarządem organizuje na osiedlu różnego rodzaju wydarzenia oraz spotkania integracyjne; m.in. coroczny Piknik Rodzinny.

Dzięki takim przemyślanym rozwiązaniom ze strony dewelopera oraz zaangażowaniu mieszkańców w dalszy rozwój okolicy, Inwestycja otrzymała wyjątkowe wyróżnienie ze strony organizatorów ogólnopolskiego konkursu „Deweloper Szczęśliwych Sąsiedztw". Jest on organizowany przez Otodom i PZFD, gdzie zostają wybrane realizacje wzmacniające jakość sąsiedztwa i dobrostan mieszkańców. Patronatem Sąsiedzkich Relacji i wydarzenia jest marka Milka. Wygrana w konkursie jest dowodem na to, że sposób funkcjonowania przestrzeni wspólnych Inwestycji został doceniony. Osiedle zostało uznane za miejsce przyjazne do życia, w którym pielęgnowane są relacje sąsiedzkie. Projekt stał się wzorem „szczęśliwego sąsiedztwa", co potwierdza certyfikat uzyskany przez dewelopera.

Lokalne zaangażowanie

Grupa Harper od lat realizuje projekty z myślą o ludziach, którzy będą z nich korzystać. Solidne wykonanie, wysoka jakość i zrozumienie potrzeb klientów - to wartości jakimi kieruje się deweloper budując swoje inwestycje. Firma oferuje kompleksowe wsparcie na każdym etapie zakupu nieruchomości: od doradztwa finansowego, przez wybór idealnego lokalu, aż po aranżację i wykończenie wnętrz.

Deweloper od początku wspiera rozwój regionu i aktywnie współpracuje z samorządem gminy Chełmiec. Przykładem jest m.in. przystąpienie firmy do programu **„Karta Chełmiecka"**, dzięki któremu mieszkańcy gminy mogą liczyć na specjalne zniżki przy zakupie nieruchomości. Prezes Zarządu Grupy Harper Pani Beata Bernady-Chochla, przynależy również do Rady Biznesu Gminy Chełmiec, gdzie sprawuje funkcję przewodniczącej.

Inwestor angażuje się w tworzenie przestrzeni sprzyjającej integracji mieszkańców. Na osiedlu umieszczono m.in. oznakowania tras Miodnego Szlaku, które zachęcają do aktywnego spędzania czasu w otoczeniu natury. Pani Beata Bernady-Chochla szczególną wagę przywiązuje także do polityki senioralnej. Jako członek Gminnej Rady Seniorów oraz osoba wspierająca Fundację Ludzi i Miejsc Aktywnych „MILA", realizuje inwestycje z uwzględnieniem potrzeb osób starszych.

REKLAMA

SĄDECKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. JÓZEFA SZUJSKIEGO W NOWYM SĄCZU
ROK ZAŁOŻENIA 1891

SĄDECKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
IM. J. SZUJSKIEGO W NOWYM SĄCZU
UL. FRANCISZKAŃSKA 11
33-300 NOWY SĄCZ

18 443-87-52 / sekretariat@sbp.nowysacz.pl

sbp.nowysacz.pl

Biblioteka publiczna w Nowym Sączu łączy tradycję z nowoczesnością, oferując bogaty księgozbiór i szeroką gamę wydarzeń dla czytelników w każdym wieku. To więcej niż miejsce pełne książek – to tętniące życiem centrum kultury, edukacji i inspiracji dla mieszkańców regionu.

Biblioteka Główna - ul. Franciszkańska 11
Zbiory Regionalne i Zabytkowe - ul. Lwowska 21
Oddział dla Dzieci i Młodzieży - ul. Lwowska 21
Filia os. Gołąbkowice - ul. Armii Krajowej 27
Filia os. Gorzków-Wojska Polskiego - ul. Jana Freislera 4a
Filia os. Kochanowskiego - ul. Kochanowskiego 37
Filia os. Millenium - ul. Królowej Jadwigi 29
Filia os. Przydworcowe - ul. Ignacego Daszyńskiego 3
Filia os. Biegonice-Dąbrówka - ul. Węgierska 170
Filia os. Wólki - ul. Barbackiego 46

ODWIEDŹ NASZĄ BIBLIOTEKĘ JUŻ DZIŚ! ODKRYJ ŚWIAT LITERATURY I DOŁĄCZ DO CZYTELNICZEJ SPOŁECZNOŚCI.

Coroczna oferta edukacyjno-kulturalna:

- OGÓLNOPOLSKI TYDZIEŃ BIBLIOTEK – święto bibliotekarzy i czytelników (8-15 maja 2026 r.)
- SĄDECKIE DNI LITERATURY – festiwal literacki: spotkania z autorami bestsellerów, wykłady, koncerty, panele dyskusyjne i rozmowy o książkach (12-13 czerwca 2026 r.)
- SPOTKANIA AUTORSKIE / PROMOCJE KSIĄŻEK – całoroczna oferta umożliwiająca kontakt z pisarzami i zapoznanie z nowościami rynku wydawniczego
- DYSKUSYJNE KLUBY KSIĄŻEK – comiesięczne spotkania pasjonatów czytania w każdym wieku
- LEKCJE BIBLIOTECZNE – oferta dostosowana do grup wiekowych, w tym specjalna propozycja zajęć o regionie przybliżających historię, tradycje oraz dziedzictwo kulturowe Sądecczyzny
- WARSZTATY Z KSIĄŻKĄ DLA DZIECI – całoroczne interdyscyplinarne spotkania, które łączą literaturę z elementami teatru, sztuki, muzyki i nowych mediów oraz uczą kontaktu z książką od najmłodszych lat.

Projekty literackie dofinansowane ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury:

- LITERATURA BEZ GRANIC – wydarzenia promujące literaturę i kulturę Francji, Japonii i Włoch: spotkania z podróżnikami, literackie dyskusje, czytania performatywne, warsztaty i koncerty z poczęstunkiem (kwiecień-grudzień 2026 r.)
- OBRAZ-SŁOWO. KOMIKSOWO – cykl warsztatów i spotkań dla dzieci i młodzieży wokół komiksu i opowieści (czerwiec-grudzień 2026 r.)

SĄDECKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA - KSIĄŻKI, E-BOOKI, AUDIOBOOKI.
TWOJE MIEJSCE DO SPOTKAŃ, NAUKI I RELAKSU.

ADAM NOWAKOWSKI

NIE KUPUJEMY RZECZY KUPUJEMY OPOWIEŚĆ

Lubimy wierzyć, że kupujemy rozsądnie. Jesteśmy rozsądni, świadomi, nas nie można zwieść nazwą i ładnym logo. Idziemy do sklepu i kupujemy telefon marki, która kiedyś zajmowała się handlem zupełnie innymi rzeczami, buty, za które płacimy więcej, bo mają odpowiedni znaczek, wybieramy lody o nazwie brzmiącej jak skandynawska arystokracja. Nasz chłodny racjonalizm i asertywność stają się skuteczne jak w starciu z domową cytrynówką teścia.

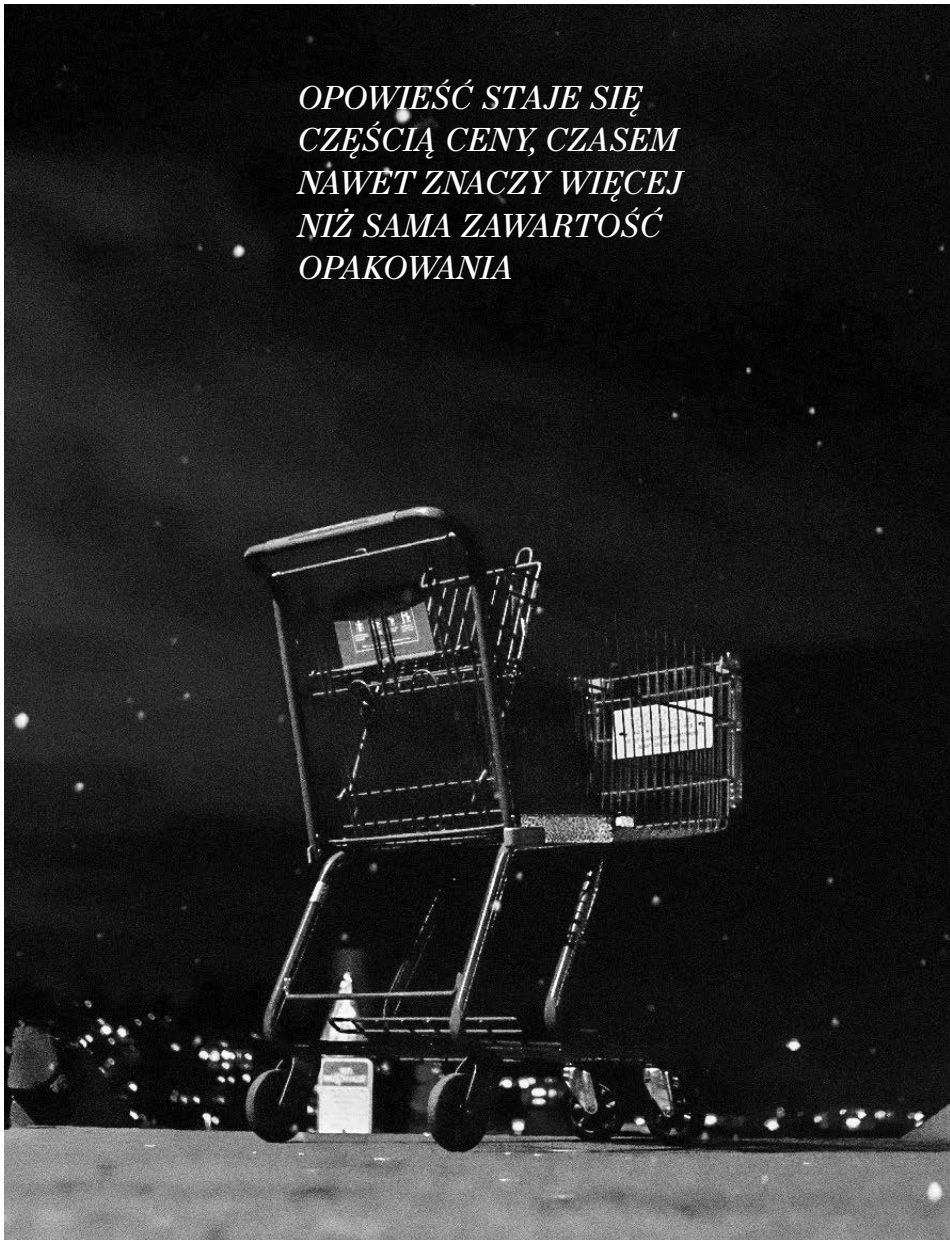

Marki rzadko sprzedają sam produkt, a my sami nie chcemy kupować tylko produktu. Częściej sięgamy po wyobrażenie, obietnicę, historię. O jakości, prestiżu, nowoczesności, młodości, zdrowiu, energii, luksusie, tradycji. Może opowieść o nas samych, którą ta rzecz obiecuje.

Właśnie dlatego historie marek bywają tak ciekawe. Kiedy zajrzymy za kulisy zobaczymy, że za wieloma nazwami stoją pomysły i opowieści tak niesamowite, że poczuć można podziw i zachwyt dla ich twórców.

Luksus wymyślony od zera.

Häagen-Dazs, nazwa brzmi tak, jakby powstała gdzieś miedzy fiordem, a alpejskim kurortem. Widzimy śnieg, drewnianą chatę i mleko od krów słuchających najpewniej Bacha. Tymczasem cała ta nordycka aura była od początku zabiegiem wizerunkowym, wymyślonym tak, by brzmia-

ła europejsko, dostojnie, premium, choć nie była zakorzeniona w żadnym realnym języku czy tradycji. Nowojorskie lody dostają aurę starego świata, jakości i wyrafinowania. Luksus stał się dobrze dobranym brzmieniem wymyślonym przez polsko-żydowskiego imigranta.

Jak z chaosu zrobić legendę.

Wiele marek lubi opowiadać o skromnych początkach, firma wydaje się wtedy bardziej ludzka, bliższa, mniej korporacyjna. Kilku sprytnych ludzi, którzy zaczynali od zera, coś tam sklecili i niechcący zmienili świat. W Google często przywoływana jest historia o tym, że część wczesnej infrastruktury do przechowywania danych była zbudowana z elementów przypominających dziecięce klocki. Nawet jeśli jest to anegdota, to działa znakomicie, pokazuje firmę jako inteligentny eksperyment, który urósł ponad wszelkie wyobrażenie.

A skoro o klockach mowa, to czy LEGO sprzedaje tylko klocki? A może daje coś dużo ważniejszego, jak kreatywność, porządek, dzieciństwo, wspólna praca, a nam troszkę starszym podróż wstecz? Wyjątkowe marki są w stanie sprzedać nam wspomnienia, które właśnie potrafimy dostrzec w pudełku i ta część staje się najdroższą w zestawie.

Fot. Kyle Johnson/Unsplash

Legenda i tak zostaje.

Czy trudno wyobrazić sobie nazwę Samsung w zupełnie innym świecie niż elektronika? A przecież początki były zupełnie inne i miały bardzo niewiele wspólnego z technologicznym rozmachem. Zaczynali w latach trzydziestych XX wieku od eksportu suszonych ryb, warzyw i makaronu. Podobnie Nintendo, które zanim włożyło nam w dłonie pady do grania w Mario, produkowało tradycyjne papierowe karty do gry. To przykłady, że naprawdę silna marka nie trzyma się kurczowo jednej rzeczy. Ona raczej uczy się jak odpowiadać na ludzką potrzebę i to robi największe wrażenie. Nie sam start, co późniejsza przemiana, która potrafi wywołać błysk w oku dorosłego faceta, zarzekającego się, że konsolę kupuje dla dziecka.

Obietnica zostaje.

Są też takie marki, które genialnie sprzedają nam świat wokół swojego produktu. Przykładem wręcz podręcznikowym jest Red Bull, który bardzo skutecznie zbudował wokół siebie klimat prędkości, adrenaliny, sportów ekstremalnych oraz przekonanie, że zwykła energia to za mało. Kupujemy nie produkt, a narrację o sobie, nawet jeśli chodzi o to, by nie zasnąć po obiedzie.

Z przyzwyczajeniem się nie wygra.

Czasem marka przestaje być własnością firmy w sensie emocjonalnym. Należy do ludzi, do ich wspomnień, rytuałów, przyzwyczajeń. Wtedy nawet najlepsza prezentacja i najbardziej natchniony menedżer mogą przegrać z prostym „ale po co to było zmieniać"? Klasyczny przykład to New Coke, gdy Coca-Cola postanowiła zmienić recepturę i zaproponowała nową wersję swojego kultowego napoju. Zastąpić smak, który był częścią rytuału, młodości. Reakcja klientów była gwałtowna i firma dość szybko musiała się z tego pomysłu wycofać.

Dwie marki, jedna rodzinna awantura.

Historia, która gdyby ją ktoś wymyślił do serialu, uznalibyśmy to za lekką przesadę. Dwie potęgi, które wyrosły z rodzinnego konfliktu braci Dasslerów. Buty, które miały opowiadać światu o rywalizacji, zwycięstwie i sporcie narodziły się z podziału, ambicji i urażonej dumy. Trudno o lepszy scenariusz dla brandingu. Znaczek Adidasa lub Pumy przestał być tylko oznaczeniem producenta, zaczął oznaczać przynależność, a my lubimy przynależeć do marek, klubów, przekonań, stylów życia. Człowiek może poczuć, że stoi po właściwej stronie barykady nawet zaglądając do własnej lodówki: Kielecki czy Winiary?

O to właśnie chodzi.

Świat bez marek byłby potwornie nudny. Marka nie jest ozdobą produktu, miłym dodatkiem, wisienką na torcie. Marka jest właśnie tortem, sprawia że dana rzecz nabiera charakteru, że opowieść staje się częścią ceny, czasem nawet znaczy więcej niż sama zawartość opakowania. Dlatego płacimy chętniej nie tylko za rzecz, ale też za historię, którą ktoś opowiedział nam odpowiednim tonem.

MAGIK
PRALNIA
40 lat doświadczenia
MAGIK
pralnia
Dla klientów indywidualnych i firm.
Jakość, która wyróżnia – dla domu i biznesu.
18 400 01 10 | Stary Sącz, ul. Nadbrzeżna 20

Service Plast

ZADASZENIA Z POLIWĘGLANU, WIATY,TARASY I SZKLARNIE

- Doradztwo
- Projekt
- Wycena

POLIWĘGLAN LITY, POLIWĘGLAN KOMOROWY, AKCESORIA DO ZADASZEŃ

ZESKANUJ
i dowiedz się więcej!
www.serviceplast.pl

ZADZWOŃ
tel. 732 500 154 lub 732 850 820
ul. Magazynowa 2, Nowy Sącz

CENTRUM AKTYWNEJ ROZRYWKI ®

BAZA

Miejsce, do którego chce się wracać!

TU ZACZYNA SIĘ ZABAWA
DLA DZIECI I DOROSŁYCH!

Centrum Aktywnej Rozrywki BAZA to przestrzeń stworzona, by bawić, angażować i zaskakiwać – bez względu na wiek. Zabawa spotyka się tu z ruchem i nowoczesną technologią. Trzy strefy – trzy wymiary zabawy → unikatowa strefa RC z profesjonalnymi modelami maszyn budowlanych, kreatywna sala zabaw dla najmłodszych oraz pełna emocji strefa VR z grami i escape roomami – tu każdy znajdzie coś dla siebie.

Dla dzieci. Dla dorosłych. Dla wszystkich, którzy chcą się dobrze bawić.

RC STERUJ MODELAMI MASZYN BUDOWLANYCH

ZABAWA BAW SIĘ W KREATYWNEJ SALI ZABAW

VR GRAJ W ŚWIECIE WIRTUALNEJ RZECZYWISTOŚCI

URODZINKI

KAWIARNIA

SZKOŁY

sprawdź

www.bazacentrumrozrywki.pl
kontakt@bazacentrumrozrywki.pl
tel. 517-327-934

CH GOŁĄBKOWICE
NOWY SĄCZ
UL. PRAŻMOWSKIEGO 11

TikTok

Wyjdź z domu. Odkryj BAZĘ!

BAZA – rozrywka, która łączy pokolenia

Na Sądecczyźnie powstało miejsce, które skutecznie przełamuje stereotyp, że centra rozrywki są wyłącznie dla dzieci. Centrum Aktywnej Rozrywki BAZA w Nowym Sączu to przestrzeń zaprojektowana tak, by bawić, angażować i zaskakiwać zarówno najmłodszych, jak i dorosłych. To właśnie jej międzypokoleniowy charakter stanowi o sile i wyjątkowości.

BAZA to trzy uzupełniające się strefy: BAZA ZABAWY, BAZA RC oraz BAZA VR. Każda oferuje inne doświadczenia, ale razem tworzą spójną całość, w której każdy znajdzie coś dla siebie – niezależnie od wieku.

Prawdziwym wyróżnikiem BAZY jest strefa RC – unikatowa nie tylko w regionie, ale i w skali kraju. Na mapie Polski trudno szukać drugiego takiego miejsca. Centralnym punktem jest realistyczna makieta budowlana, odwzorowująca prawdziwy plac budowy, na której odwiedzający samodzielnie sterują maszynami w skali 1:14. Co istotne, są to profesjonalne modele hydrauliczne, a nie zabawki. Ich precyzja, odwzorowanie detali i sposób działania robią ogromne wrażenie na odwiedzających. Sterowanie nimi daje ogromną satysfakcję i pozwala poczuć się jak operator prawdziwego sprzętu. To przestrzeń, która przyciąga dorosłych równie mocno jak dzieci i często staje się początkiem wspólnej pasji.

BAZA ZABAWY to sala zabaw dedykowana najmłodszym, zaprojektowana z myślą o swobodnej i kreatywnej aktywności. Dzieci wchodzą tu w świat zabawy inspirowanej codziennym życiem – mogą odgrywać role, eksperymentować i uczyć się poprzez działanie. To miejsce, które naturalnie rozwija wyobraźnię, uczy samodzielności i zachęca do odkrywania. Co ważne, rodzice nie są tu jedynie obserwatorami – mogą aktywnie uczestniczyć w zabawie, budując relacje i tworząc wspólne wspomnienia.

BAZA VR to propozycja dla tych, którzy szukają nowoczesnych wrażeń. Wirtualna rzeczywistość przenosi uczestników do dynamicznych, pełnych emocji światów. To coś więcej niż gry – dostępne są także zespołowe escape roomy w technologii VR, wymagające współpracy, logicznego myślenia i sprytu. To świetna forma rozrywki dla grup znajomych, którzy chcą przeżyć coś nietypowego i angażującego. Strefa VR skierowana jest zarówno do dzieci, jak i dorosłych poszukujących wrażeń na wyższym poziomie.

Całość dopełnia BAZA CAFE – klimatyczna kawiarnia, w której można odpocząć i spędzić czas w spokojniejszym rytmie. BAZA to także przestrzeń idealna do organizacji wydarzeń – od urodzin i przyjęć rodzinnych po spotkania firmowe i integracyjne, z możliwością dopasowania scenariusza do charakteru wydarzenia. Dla najmłodszych dostępna jest odrębna sala urodzinowa, zapewniająca komfort, swobodę świętowania i możliwość personalizacji przyjęcia.

BAZA udowadnia, że dobra rozrywka nie zna wieku – bez względu na to, czy masz kilka, kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. Sprawdza się jako pomysł na rodzinne wyjście, spotkanie ze znajomymi czy aktywne popołudnie po pracy. W świecie, w którym tak łatwo zamknąć się w czterech ścianach, daje prosty powód, by zrobić coś innego i naprawdę spędzić czas razem.

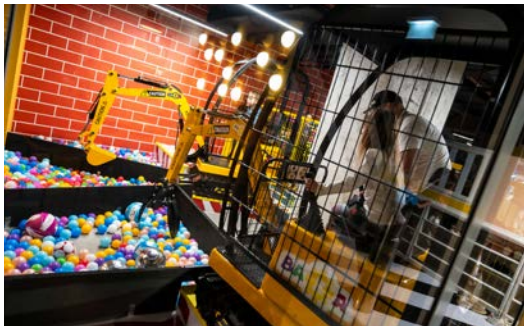

BAZA – tu zaczyna się zabawa!

Jesteśmy w:
CH GOŁĄBKOWICE
(Nowy Sącz, ul. Prażmowskiego 11)

REKLAMA

Radni znów podnieśli

Nie wszystko da się zamazać
Pełny obraz jest na

dts 24

AUTOPROMOCJA

REKLAMA

SBB

TOUR 2026

SKRZEK PIOTROWSKI ANTHIMOS

fot. Jacek Raciborski

7 maja 2026
czwartek, godz. 19:00

Małopolskie Centrum Kultury
SOKÓŁ w Nowym Sączu
ul. Długosza 3

BILETY: **130 zł**

SOKÓŁ Małopolskie Centrum Kultury
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
KULTURALNA MAŁOPOLSKA
mcksokol.pl
/mcksokol

PODRĘCZNIK, MAPA I KOMPAS

„Otwarte Serce Boże. P r a k t y k o w a n i e nabożeństwa ku czci Najświętszego Serca Pana Jezusa" – to tytuł nowej pozycji książkowej, którą za kilkanaście dni wyda Krajowy Sekretariat Apostolstwa Modlitwy z siedzibą w Krakowie pod redakcją o. Roberta Więcka SJ. Ks. Więcek pracował m.in. w sądeckiej parafii kolejowej i był felietonistą DTS.

Pragniemy oddać rąk Czytelników „elementarz", w którym prezentujemy smaki kultu Serca Bożego tzn. kilkanaście najbardziej znanych, prostych i użytecznych form tego kultu przekazanych nam przez Pana Jezusa za pośrednictwem Jego umiłowanych. Wymieńmy: osobiste poświęcenie się Najświętszemu Sercu Pana Jezusa, poświęcenie rodzin i wspólnot; czym jest wynagrodzenie Sercu Jezusa, litania ku czci Serca Jezusa, Godzina Święta, pierwsze piątki miesiąca, Tarcza Serca Jezusa, obraz NSPJ, koronka do Miłosierdzia Bożego, Arcybractwo Honorowe NSPJ, Niepokalane Serce Maryi i nabożeństwo pierwszych sobót miesiąca, i to najpiękniejsze: Eucharystyczne Serce Jezusa.

Książka licząca 140 stron wydana jest w poręcznej formie, a prosta grafika ma pomóc w lekturze i praktykowaniu czci Najświętszego Serca Pana Jezusa. Autorzy są czcicielami Serca Jezusa, kapłani, osoby konsekrowane, kobiety i mężczyźni.
Papież Franciszek w proroczej wręcz encyklice „Dilexit nos" dał Kościołowi klucz do odczytania swego pontyfikatu, podręcznik, z którego mamy się uczyć, mapę, wedle której iść trzeba i kompas wskazujący Serce. Dał nam również w tym dokumencie swoistą instrukcję obsługi Kościoła, świata i człowieka. Moglibyśmy odważnie powiedzieć, że przypomnienie Franciszka jest podaniem drogi do odnowy Kościoła dziś, ożywienia jego bycia, które czerpie z Serca Bożego. Bez Chrystusa, bez Jego Serca nie odstoimy się na tej ziemi. Bez kontemplacji otwartego boku umrzemy z głodu i pragnienia.

Zainteresowani proszeni są o kontakt:
robert.wiecek@jezuici.pl

REKLAMA

KBA Kodak

Duplo KROMES

SOLUT DRUKARNIA

Druk offsetowy

etykiety, pudełka

katalogi, ulotki

etc

książki, kalendarze

SOLUT

DRUKARNIA

Drukarnia SOLUT sp. z o.o.
ul. Wiśniowieckiego 114
33-300 Nowy Sącz

www.solut.com.pl
a.tobiasz@solut.com.pl
tel. 507 229 508

A JEŚLI PAMIĘĆ CIĘ OKŁAMUJE?

Kilkuletni chłopiec jest milczącym świadkiem dramatu rodziców. Przed kłótniami i traumami codzienności ucieka w Kosmos. Zapatrzony w gwiazdy, komety i nowe światy, w cichej pustce tworzy bezpieczną przystań i gwiezdne alter ego, szukając odpowiedzi na najważniejsze pytania.

Kilka lat później pewien młody malarz walczy z przeszłością i własnymi myślami. Swoje obrazy w atakach szału tnie żyletkami. Funkcjonuje na marginesie życia, a klębiące się pod czaszką myśli ucisza jednym zdaniem: „Pokój moim cieniom". Przypadkowe spotkanie wywraca jego życie do góry nogami, zmuszając do powrotu do niechcianych wspomnień. A jeśli pamięć go okłamuje?

Chłopcu i malarzowi towarzyszy ktoś trzeci, przypominający, że ludzka psychika ma swoje mroczne strony. Ktoś, kto nie pozwala nikomu o niczym zapomnieć.

Szeleścidło to poruszająca opowieść o wypieranych traumach i skomplikowanych relacjach z innymi ludźmi. Historia nieprzystosowanej jednostki okazuje się przenikliwym studium męskiej samotności, tłumiącej swoją wrażliwość aż do obłędu.

Tomasz Maruszewski porzucił Warszawę dla Nowego Sącza. Tu mieszka i pracuje. Jego najnowsza książkę będzie miała za kilka dni premierę.

WYDAWCA:
Wydawnictwo DOBRE
33-300 Nowy Sącz, ul. Żywiecka 25
ISSN 2082-209X
REDAKCJA:
„Dobry Tygodnik Sądecki"
www.dts24.pl
tel. 18 544 64 41
redakcja@dts24.pl
REDAKTOR NACZELNY WYDAWNICTWA DOBRE:
Wojciech Molendowicz
w.molendowicz@dts24.pl
REDAGUJE ZESPÓŁ:
Kinga Gruca,
Iwona Kamieńska,
Agnieszka Małecka,
Adrian Maraś,
Kinga Nikiel-Bielak,
Ireneusz Pawlik,
Natalia Sekuła,
Michał Śmierciak,
Gabriela Wolińska
Redaktor senior:
Jerzy Wideł
DYREKTOR BIURA REKLAM I OGŁOSZEŃ:
Katarzyna Magiera
k.magiera@dts24.pl, tel. 530 032 633
BIURO REKLAM I OGŁOSZEŃ:
Bożena Baran,
b.baran@dts24.pl
Beata Ziemba,
b.ziemba@dts24.pl,
tel. 889 020 766
DYREKTOR PIONU AUDIO-VIDEO
Piotr Gorzawski
PROJEKT I OPRACOWANIE GRAFICZNE:
Adam Nowakowski
adsnowa@gmail.com
DYREKTOR DS. KOLPORTAŻU:
Mateusz Węglowski-Król,
tel. 665 270 230
DRUK:
Drukarnia SOLUT Sp. z o. o.
ul. Jeremiego Wiśniowieckiego 114
33-300 Nowy Sącz

OGŁOSZENIE

Na podstawie art. 35 ust. 1 ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. o gospodarce nieruchomościami (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz. 399), Burmistrz Piwnicznej-Zdroju informuje, że w dniach od 30.04.2026 r. do 20.05.2026 r. w siedzibie Urzędu Miejskiego Piwnicznej - Zdroju na tablicy ogłoszeń, wywieszony zostanie wykazy nieruchomości, stanowiących własność Miasta i Gminy Piwniczna-Zdrój, przeznaczonych do najmu, dzierżawy i zbycia. Szczegółowe informacje można uzyskać w Urzędzie Miejskim w Piwnicznej-Zdroju, Rynek 20 lub tel. pod nr 18 334 77 12.

Piwniczna - Zdrój, 30.04.2026 r.

Tomasz Michałowski
Burmistrz Piwnicznej - Zdroju

REKLAMA

KINO KOBIET

6 maja
Godz. 18:00

www.helios.pl

HELIOS

REKLAMA

OKNA DRZWI

Nowy Sącz, ul. Elektrodowa 47, www.tradycja.biz

TRADYCJA
FABRYKA OKIEN